



seria z warszawą

Czwarty klucz

Zygmunt Zeydler-Zborowski

wydawnictwo wielki sen
warszawa 2009

wolumin # 04



Powieść krymi-
nalna Zygmunta Zey-
dlera-Zborowskiego
„Czwarty klucz” nie miała
dotąd wydania książkowego.
Była publikowana w odcinkach
na łamach „Kurierza Polskie-
go” w roku 1981. Miłośnicy
twórczości tego autora na
pewno nie będą zawiedzeni.
Wielkie emocje i za-
zdrości kulminują
morderstwem przy
użyciu sztyletu.
Ginie piękna kobie-
ta, a podejrzanych
nie brakuje. Brawu-
rowe zwroty akcji,
cięte dialogi oraz
szczypta egzotyki, to
niezaprzeczalne atuty
„Czwartego klucza”. Ka-
pitan Antoni Grabicki
marzy o jakiejś poważnej
sprawie przed przejściem
na emeryturę. Kto wie,
może to właśnie finalne
morderstwo do rozstrzy-
gnięcia w karierze starego
milicyjnego wygi.



Patronat medialny

**Zygmunt
Zeydler-Zborowski**

**CZWARTY
KLUCZ**

WIELKI SEN 2009

Redaktor serii

Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii

Rafał BARTLET

Skład i łamanie

Anna LEWANDOWSKA

© Bimali HORSKA

ISBN 978-83-923649-9-0

Wydawnictwo WIELKI SEN

Al. Jana Pawła II 65/90,

01-038 Warszawa

tel. 0-502-322-705

www.klubmord.com,

prezesik13@wp.pl

ROZDZIAŁ I

Maria skrzywiła się z niesmakiem.

- Tak niemiło wyrażasz się o swojej przyjaciółce.
- Jaka tam przyjaciółka? - zachnęła się Joanna odgarniając z czoła gęste kasztanowate włosy. - Ordynarna, wstrętna świnia!

- A przecież kiedyś przyjaźniłyście się. Byłyście nierozłączną parą.

- To było dawno. Teraz nienawidzę jej. Nienawidzę z całego serca i gdybym tylko mogła...

Maria podniosła się z głębokiego fotela, w którym tkwiła od dłuższego czasu, przeciągnęła się i ziewnęła dyskretnie. Ta rozmowa zaczynała ją nużyć.

- Napijesz się czegoś? - spytała.
- Nie mam ochoty na alkohol.
- Wcale ci nie proponuję alkoholu. Miałam na myśli sok pomidorowy, sok pomarańczowy albo po prostu szklankę zimnej wody.

- Daj mi zwykłej wody.
- A może zaparzę herbaty?
- Nie, nie, wolę wodę. Ale nie fatyguj się. Sama sobie wezmę.

- Zaczekaj - Maria zatrzymała ją ruchem ręki. - Mam chyba jeszcze „Mazowszankę” w lodówce.

Wyszła sprężystym, energicznym krokiem i po chwili wróciła, niosąc na okrągłej tacy dużą butelkę i dwie zwężone u dołu szklanki.

- W pewnych sytuacjach nie ma to jak zimna woda -

powiedziała z uśmiechem.

Joanna spojrzała na nią z wyrzutem.

- Ty sobie ze mnie żartujesz, a ja naprawdę...

Maria postawiła tackę na stoliku, podeszła do przyjaciółki i objęła ją.

- Ależ, kochanie, wcale z ciebie nie żartuję. Usiłuję tylko trochę rozbić ten twój posępny nastrój.

Joanna potrząsnęła głową.

- To nie takie proste. Nie takie proste, jak ci się zdaje.

- Ja wiem, że to nie takie proste. Doskonale cię rozumiem. Mogę cię jednak zapewnić, że nie ty pierwsza i nie ty ostatnia przeżywasz taką historię.

- I to właśnie Magda, właśnie Magda zrobiła mi takie świństwo! - wybuchnęła Joanna.

- Moja droga - Maria lubiła czasem wpadać w mentorski ton. - Musisz wreszcie zrozumieć, że gdy w grę wchodzi mężczyzna, kończą się wszystkie, największe nawet przyjaźnie między kobietami. Tak było, jest i będzie. Walka o samca to odwieczne prawo przyrody.

- A ty? - spojrzała Joanna.

- Co ja?

- Ty także byłabyś zdolna do tego, żeby odebrać przyjaciółce narzeczonego, męża, kochanka? Prawda, że nie? No powiedz, że nie.

Maria uśmiechnęła się.

- Bo ja wiem. W tych sprawach nigdy nie można nic powiedzieć na pewno.

- Ale przecież mogłaś, przecież mogłaś uwodzić Piotra - próbowała argumentować Joanna. - A jednak tego nie zrobiłaś, chociaż wiem, że ci się podobał.

Marta znów ją objęła.

- Posłuchaj, kochanie - powiedziała serdecznie. - Nie

chciałabym, żebyś miała o mnie lepsze wyobrażenie aniżeli ja w rzeczywistości jestem. Piotr podobał mi się i to nawet bardzo, ale nie dlatego nie próbowałam go uwodzić, że jestem twoją przyjaciółką.

Joanna spojrzała zaskoczona.

- A dlaczego?

- Dlatego, że nie jestem w jego typie. Nie podobałam mu się. Nie miałam i nie mam żadnych szans.

- A gdyby było inaczej?

Maria leciutko poruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale nie mogę ci zaręczyć, czy nie starałabym się zdobyć Piotra dla siebie.

- Usiłujesz pozbawić mnie wszelkich złudzeń?

- Nie. Chciałabym tylko, żebyś trzeźwo patrzyła na życie. Już chyba najwyższy czas, żebyś pewne rzeczy zrozumiała. Nie możesz ciągle obracać się w jakimś wyidealizowanym, nierealnym świecie.

- W żaden sposób nie mogę pogodzić się z tym, żeby prawdziwa przyjaciółka... Magda przecież wiedziała doskonale o tym, że mamy się pobrać.

- Moja kochana - Maria znowu weszła w rolę doświadczonej preceptorki. - Po pierwsze - już ci mówiłam, że nie istnieje przyjaźń między kobietami, gdzie w grę wchodzi mężczyzna, a po drugie - nie pozwala się kochanemu mężczyźnie wyjeżdżać tak daleko i na tak długo. Takie wyjazdy są zawsze bardzo ryzykowne i często źle się kończą.

- Nie mogłam mu zabronić - powiedziała z przekonaniem Joanna. - Ten wyjazd to była dla Piotra ogromna szansa. Dali mu bardzo dobre warunki. Miał przywieźć dużo dolarów.

- Ja bym tam nie ryzykowała narzeczonego dla PEWEX-u - skrzywiła się Maria.

- Mieliśmy się za te pieniądze urządzić, kupić mieszkanie,

samochód.

- A teraz nie masz ani mieszkania, ani samochodu, ani narzeczonego.

- Nie męcz mnie! - wykrzyknęła histerycznie Joanna. - Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś rozsądnie spojrzała na sytuację i przestała dramatyzować. Co się stało, to się już nie odstanie i trzeba się z tym pogodzić. Zapomnij o tym, co było i staraj się zorganizować sobie nowe życie.

- Mam pozwolić na to, żeby Magda i Piotr...?

- A cóż ci innego pozostaje? Machnij na to wszystko ręką i znajdź sobie innego amanta. Jesteś młoda, ładna, pełna temperamentu. To przecież dla ciebie nie takie trudne.

- Nigdy! - wybuchnęła z niespodziewaną gwałtownością Joanna. - Nigdy nie pozwolę, żeby oni...

- A czy można wiedzieć, co masz zamiar przedsięwziąć? - spytała spokojnie Maria. - Chyba nie myślisz o popełnieniu morderstwa? To byłoby zbyt melodramatyczne. Zdradzona dziennikarka strzałami z pistoletu zabija niewiernego kochanka oraz jego przyjaciółkę. Nie, nie, to nie na dzisiejsze czasy.

- Znowu sobie ze mnie podkpiwasz.

Maria powtórnie napełniła szklanki „Mazowszanką”.

- Masz, napij się. To ci dobrze zrobi. I siadaj. Przestań wreszcie biegać po pokoju. W głowie mi się kręci.

Joanna usiadła posłusznie i przeciągnęła dłonią po rozpalonym czole. Przez chwilę milczała.

- Tak... tak... - powiedziała spokojniejszym już głosem. - Nie mogę, nie mogę znieść tej myśli. Ale po co ja ci zawracam głowę moimi sprawami? Muszę sama... muszę sama przemyśleć..., zadecydować.

- O czym chcesz zadecydować? Sprawa jest chyba zupełnie jasna.

Joanna zwróciła ku przyjaciółce zamglone, niewidzące oczy.

- Nie wiem... Nie wiem. Zostaw mnie.

- Nie rozumiem cię - powiedziała Maria. - Przecież rozmawiałas z Piotrem.

- Rozmawiałam.

- I powiedział ci, że wszystko między wami skończone.

- Tak, ale ja nie mogę w to uwierzyć.

- Co ci z tego przyjdzie, że nie będziesz w to wierzyć?

Taka twoja postawa przecież nie zmienia rzeczywistego stanu rzeczy.

Joanna znowu zaczęła chodzić po pokoju.

- Nie do wszystkiego można podejść z zimnym rozsądkiem. Wiem, ty każdą sprawę dokładnie i spokojnie wyważasz, logicznie analizujesz wszystkie za i przeciw. Jesteś trzeźwa, rozsądna, beznamiętna. Ja tak nie potrafię.

- Co zamierzasz? - spytała Maria i zapaliła papierosa.

- Muszę się jeszcze raz zobaczyć z Piotrem. Może to tylko jakaś przelotna sprawa. Może się opamięta. Może do mnie wróci.

- Chcesz żebrać o miłość?

- Jeśli chodzi o Piotra to jestem nawet gotowa żebrać o jego miłość.

Na twarzy Marii odmalowała się głęboka troska.

- Nie rób tego. To nic nie da. Zaręczam ci. Mężczyzn nie zdobywa się prośbą.

- A może mu się tylko wydaje, że kocha Magdę - próbowała argumentować Joanna. - Tam przecież wszystko było inne, dalekie, obce. Inny klimat, inni ludzie, inny kraj. W takich zupełnie zmienionych warunkach człowiek się czasem gubi. Może i on się zgubił. Może uległ jakiemuś przelotnemu nastrojowi. Wszystko zapomnę, wszystko mu przebaczę, żeby tylko do mnie wrócił. Ja go kocham. Czy ty nie możesz tego

zrozumieć?

Maria uśmiechnęła się z łagodną wyrozumiałością.

- Ależ rozumiem cię doskonale, kochanie. Radzę ci jednak, żebyś nie robiła sobie nadziei. Nie sądzę, żeby twoja ponowna rozmowa z Piotrem coś dała. To jest człowiek, który wie, czego chce.

- Muszę z nim pomówić. Muszę jeszcze z nim pomówić.

- Rób jak uważasz, ale mnie się zdaje, że tylko zupełnie niepotrzebnie będziesz szarpać sobie nerwy, które już w tej chwili są w opłakanym stanie.

Joanna wyciągnęła rękę po szklankę i napiła się wody.

- Zmieńmy temat - powiedziała zdecydowanie. – Już i tak o wiele za długo nudzę cię moimi sprawami.

- Doskonale wiesz, że wszystko, co ciebie dotyczy, bardzo mnie interesuje - zapewniła ją Maria.

- Tak, wiem. Wdzięczna ci jestem za to, ale wszystko ma swoje granice. Dostyc. - Powiedziane to zostało takim chłodnym, stanowczym tonem, że Maria uważniej spojrzała na przyjaciółkę. Zobaczyła twarz spokojną, opanowaną. Ani śladu niedawnego wzburzenia, tylko w ustach wyraz twardej, zimnej zaciętości. Ta nagła zmiana zaniepokoiła ją.

- Może dobrze by było, żebyś na jakiś czas wyjechała z Warszawy. Powinnaś zmienić otoczenie, odprężyć się. Weź urlop.

- Teraz nie mogę wziąć urlopu. Potrzebna jestem w redakcji. Dopiero we wrześniu...

- To wobec tego poszukaj sobie jakichś rozrywek. Pochodź do kina, do teatru, staraj się przebywać w wesołym towarzystwie. Musisz się rozerwać, zapomnieć. Nie można tak bezustannie rozmyślać o przykrych sprawach. Bądź dzielna. Skończ z tym wszystkim.

Joanna uśmiechnęła się drwiąco.

- Jesteś stworzona do dawania dobrych rad. Powinnaś prowadzić rubrykę zatytułowaną „Dobre rady cioci Marysi”...

Maria odpowiedziała uśmiechem.

- Kto wie. Może kiedyś, kiedy się zniechęcę do roli lekarza? W życiu nigdy nic nie wiadomo.

- Tak. W życiu nigdy nic nie wiadomo - powtórzyła Joanna. - Ciągle jakieś niespodzianki. Powiedz mi, kochana, a jak twoje sprawy z Konradem?

- Bez większych zmian. Wszystko w porządku, przynajmniej na razie. Co będzie dalej, nie wiadomo. Myślę, że będziesz we wtorek.

Joanna zamyśliła się.

- Ach, prawda, to już we wtorek. Sama nie wiem...

- Przyjdź koniecznie. Konrad bardzo serdecznie cię zaprasza. Będzie dużo ciekawych ludzi. Rozerwiesz się.

- Nie mam nastroju. Chyba rozumiesz.

- Przyjdź, a o nastroju porozmawiamy na miejscu.

- Nie wiem. Zobaczę. Zobaczę, Jak się będę czuła we wtorek.

- Będzie Wiesiek Sobański - usiłowała ją zachęcić Maria.

- Ten adwokat?

- Tak. Chyba się orientujesz, że on się tobą od dawna interesuje?

Joanna wzruszyła ramionami.

- Nie podoba mi się. Mydłek.

- Nie mów tak. To bardzo fajny chłopak. Świetnie się zapowiada. Powierzają mu już poważne sprawy karne. Ma przed sobą przyszłość. Przyjdź, Joasiu, bardzo cię proszę. A niezależnie od wtorku, wpadnij jeszcze do mnie, zadzwoń. Nie trać ze mną kontaktu.

- Dziękuję ci - Joanna wstała. - Na mnie już czas. Wybacz, że cię zanudzałam swoimi sprawami, ale tak mi się jakoś

zebrało. Cześć. Zadzwoń do ciebie.

Po wyjściu przyjaciółki Maria odetchnęła z widoczną ulgą. Dosyć już miała tej „dusznej udręki”, a poza tym lada chwila mógł przyjść Konrad. Nie chciała go narażać na spotkanie z przygnębianą Joanną. Zaraz wytworzyłby się nastrój, którego sobie wcale nie życzyła.

Pospiesznie otworzyła okna, wyrzuciła niedopałki papierosów i postawiła wodę na herbatę. „A może będzie wolał kawę?” pomyślała i otworzyła kredens. W tej chwili zadźwięczał dzwonek.

Był efektywnym mężczyzną. Wysoki, świetnie zbudowany, szeroki w ramionach. Sylwetka sportowca. Twarz niebanalna, mocno zarysowana, pokryta mocną opalenizną, miała w sobie coś z drapieżnego ptaka. Głęboko osadzone szarzielone oczy, lekko zgięty suchy nos, wypukłe czoło. Wąskie zaciśnięte wargi odsłaniały w uśmiechu białe ostre zęby.

Przywitał się z powściągliwą serdecznością i dosyć oszczędnie odpowiadał na pocałunki Marii. Nie należał do mężczyzn, którzy z dużą wylewnością manifestują swoje uczucia.

Maria знаła jego chłodne usposobienia i nie spieszyła się.

- Cieszę się, że przyszedłeś.
- Ja również się cieszę, że cię widzę. - Głos miał niski, o przyjemnym brzmieniu. - Jak się czujesz?
- Doskonale. Mam wprawdzie dużo roboty, ale jakoś sobie radzę.
- Czy zawsze będziesz tyle czasu spędzała w tym szpitalu?
- Lubię swoją pracę,
- To nie jest zajęcie odpowiednie dla kobiety.
- Masz jakieś przedpotopowe poglądy.
- Być może.

Maria nie chciała kontynuować tej rozmowy. Miała ochotę na zupełnie inny nastrój.

- Napijesz się czegoś?

- Jeśli masz whisky?

- Whisky nie mam, ale mogę poczęstować cię niezłym koniakiem. Właśnie wczoraj dostałam w prezencie od pacjenta. Nie chciałam przyjąć, ale tak prosił... Nie mogłam zrobić mu przykrości.

- No to napijmy się tego szpitalnego trunku.

Podeszła do baru, wyjęła pękatą butelkę i kieliszki. Nalał. Umoczył wargi w koniaku.

- Nawet niezły - pochwalił. - Możesz powiedzieć twojemu pacjentowi, żeby w przyszłości trzymał się tego gatunku. A wiesz... idąc tutaj do ciebie, minąłem chyba tę twoją przyjaciółkę, tę dziennikarkę. Jak jej tam...?

- Joanna. Była tu u mnie przed twoim przyjściem. Przeżywa biedaczka ciężkie chwile. Narzeczony ją rzucił.

- O, to przykre. To zdaje się ładna dziewczyna.

- Bardzo atrakcyjna. Ale... niestety. Nigdy nie należy mężczyzny puszczać od siebie tak daleko.

- Ja także wyjeżdżam bardzo daleko i na długo - uśmiechnął się. - A jednak...

Poląła jeszcze trochę koniaku.

- Za każdym razem jestem przygotowana na najgorsze.

- Nie ufasz mi?

Pokręciła głową.

- Bo ja wiem. Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Uważam, że lepiej nie ufać mężczyznom. Zresztą znajduję się w tym uprzywilejowanym położeniu, że nie wymagam od ciebie wierności.

- Wyobraź sobie, że jestem ci wierny. Nie lubię kolorowych kobiet.

- Zawsze, w każdym najdalszym zakątku świata, można znaleźć jakąś białą.

- „Jakaś” mnie nie interesuje. A dokąd to wyjeżdżał narzeczony tej twojej przyjaciółki?

- Niedawno wrócił z Afryki. Siedział tam zdaje się blisko dwa lata.

- To kawał czasu. I czym się tam zajmował?

- Pilotował samoloty i helikoptery sanitarne. Zakochał się w lekarce, a ona w nim. Wcale jej się zresztą nie dziwię. Bardzo przystojny mężczyzna. Może się podobać.

- Któż to taki?

- Nazywa się Piotr Szczerbiński. Może się z nim spotkałeś? Może go znasz?

- Nie. Nigdy nie spotkałem człowieka o tym nazwisku. Zresztą ja w ogóle unikam kontaktów ze służbą zdrowia. Sądzę, że dlatego tak dobrze się czuję. I w kim się tak zakochał ten niestały w uczuciach pilot?

- Wyobraź sobie, że w mojej koleżance ze studiów. Magda Wysznacka. Bardzo fajna dziewczyna. I odważna. Żeby pojechać na parę lat do Afryki, do tych dzikusów, to trzeba mieć odwagę. Nie sądzisz?

Wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Afryka to olbrzymi kontynent. Jakikolwiek uogólnienia są zupełnie niemożliwe. Wszystko zależy od tego, w którym miejscu człowiek się znajduje. Tyle tam przecież ludów, plemion, tyle różnych zwyczajów, temperamentów, przesądów, zabobonów. Możesz spotkać ludzi niechętnie, a nawet wrogo usposobionych do białych, a znowu w innym miejscu doznasz życzliwego, serdecznego, przyjacielskiego przyjęcia.

- Ja bym chyba nie miała odwagi pojechać tam i pracować. Podziwiam Magdę. Dzielna dziewczyna.

- I powiadasz, że zakochała się w tym pilocie?
 - Tak. Dla niej rzucił Joannę. Mieli się niedługo pobrać.
 - Afrykański klimat działa na kobiety.
 - A na mężczyzn?
 - Mężczyźni są chyba bardziej odporni. Najlepszy dowód, że ja się w nikim nie zakochałem na Czarnym Łądzie.
 - Któż to wie?
 - Sądzę, że dowiedziałabyś się o tym najwcześniej ze wszystkich moich znajomych.
 - Mam nadzieję.
- Dopił koniak i wyjął z kieszeni papierosa.
- Czy ta twoja koleżanka po fachu wróciła już z Afryki?
 - Jeszcze nie. Ale z jej ostatniego listu wynika, że powinna wrócić w najbliższym czasie. Pisała, że przyjeżdża na urlop, który chce spędzić w kraju. Spodziewam jej się najpóźniej w przyszłym tygodniu.
 - Chętnie, bym ją poznał.
 - A ja wcale nie jestem pewna, czy tak chętnie bym was ze sobą zaznajomiła. Magda to bardzo ładna, atrakcyjna dziewczyna.
 - Boisz się?

ROZDZIAŁ II

Leżał na tapczanie i, paląc papierosa, patrzył w sufit. Wspomnienia tamtych dni znowu ogarnęły go z trudną do zniesienia gwałtownością...

...Noc. Ciemność gęsta, przytłaczająca, lepka. Zwały kosmatych chmur kłębią się nisko nad ziemią, grożąc łąda chwila nawałnicą. Od zachodu dmie silny wiatr, wznecając

piaszczystą kurzawę. Sztormowa fala wali się, jak cielsko zranionego zwierza, na przybrzeżne skały.

...Pochyla się nad sterami i ostrożnie zaczyna sprowadzać do lądowania. Zna doskonale teren, ale w tych ciemnościach nietrudno zboczyć z kursu. Taki błąd może drogo kosztować...

...Szum wzburzonego morza zagłusza warkot silnika. To jedyna korzyść z nadchodzącej zawieruchy. Jakiś czas krąży ponad jaśniejszą plamą, która wydaje mu się powierzchnią prowizorycznego lotniska. Daleko, bardzo daleko żółtawe światła Algieru. Wreszcie na dole pojawia się ledwie dostrzegalny sygnał.

...Koła samolotu dotykają ubitego piasku. Odpina pasy i wydobywa się z kabiny pilota. W całym ciele niepokój, nad którym trudno zapanować.

...Piasek jeszcze nie zdążył całkowicie ostygnąć po palących promieniach słońca. Zatrzymuje się i gwizdże w umówiony sposób. Odpowiada mu podobne gwizdnięcie. Z ciemności wyłania się postać mężczyzny w nieprzemakalnym płaszczu.

- Cest toi, Charles?
- Tak. Wszystko w porządku?
- Musimy natychmiast uciekać. Lada chwila będzie tu policja.

- Co się stało, Victor?
- Piotr sypnął. Prędko do samolotu...

...Za późno. Od strony maszyny błyskają światła latarek. Zbrojni ludzie otaczają ich ze wszystkich stron.

- Arreter! Halt! Arreter!

Skłębione chmury otworzyły się i na spaloną słońcem ziemię gruchnęła ulewa tak gwałtowna, że pod jej naporem ludzie z trudnością mogą utrzymać się na nogach.

Wali w szczękę najbliższego policjanta. Uciekać, uciekać... Grzechoczą strzały. Kule zagwizdały koło uszu. Nikt go nie

goni. Szalejąca burza wstrzymuje pościg.

...Tułaczka. Wioski, osady, pustynia. Pieniądze trzeba wydawać oszczędnie. Wreszcie jakiś mały port. Grecki frachtowiec. Kapitan potrzebuje ludzi. Godzi się przyjąć nowego marynarza...

...Marsylia. Parę tygodni włości po porcie. Pieniądze się kończą. Co dalej?

...Wreszcie polski statek. Kapitan, po długich pertraktacjach, decyduje się zabrać wynędzniałego pilota. Potem Gdynia i Warszawa...

Miał nadzieję, że jakoś to „przyschnie”. Pomylił się. Już po kilku dniach został aresztowany. Najwidoczniej Victor sypnął w czasie przesłuchania. Władze algierskie zawiadomiły Warszawę. Ładunek heroiny przewożony służbowym sanitarnym samolotem. Dowód rzeczowy nie do obalenia. Sprawa sądowa, wyrok skazujący. Trzy lata zamieniono mu na półtora roku. Iza energicznie chodziła koło tej sprawy. Nie żałowała pieniędzy. Miesiąc temu wyszedł z więzienia. Jeszcze nie bardzo mógł się przyzwyczaić do życia na wolności. Nic nie robił. Oglądał telewizję, chodził do kina, czytał pisma. Coraz częściej pił.

...Piotr sypnął. Victor powiedział prawdę. Piotr sypnął. On jeden orientował się w sytuacji. Sypnął łajdak. Zależało mu na tej posadzie. Miał zostać odwołany do kraju i dlatego... Postanowił pozbyć się konkurenta. Kanalia.

Postłyszał trzask otwieranych drzwi. Weszła Iza. Drobna, kształtnie zbudowana brunetka o dużych, błyszczących energią oczach i zdecydowanych, precyzyjnych ruchach. Położyła torbę i rękawiczki na bocznym stoliku, rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku męża i zaniósła siatkę z zakupami do kuchni. Po chwili wróciła, ubrana w niebieski dres, który jej służył jako domowy strój.

- Co nowego w twoim zespole? - spytał, żeby coś powiedzieć.

- W porządku. Nic nowego. Myślałby kto, że ciebie to tak szalenie interesuje.

- Sprawy żony powinny interesować męża - mruknął nie odrywając oczu od sufitu.

- Niezmiernie cenna maksyma. Nie wydaje mi się jednak, żeby interesowały cię moje sprawy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Chyba nietrudno się zorientować. Może byś usiadł?

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę z tobą pomówić, a nie mam zwyczaju rozmawiać z leżącymi mężczyznami, choćby nawet to był mój mąż.

- To się połóż.

- Tę rozmowę wolę z tobą przeprowadzić na siedząco.

Westchnął, z pewnym wysiłkiem dźwignął się z tapczanu i usiadł na fotelu.

- Więc słucham? O czymże to tak niesłychanie ważnym chcesz ze mną pomówić?

- O tobie.

- O mnie? Czy nie masz ciekawszych tematów do rozmowy?

- Nie wykręcaj się głupimi dowcipami. To się musi skończyć.

- Co mianowicie?

- To twoje idiotyczne nieróbstwo. Nie możesz przecież bez końca leżeć na tapczanie i palić papierosy. Zajmij się czymś, weź się do jakiejś roboty.

- Wiesz przecież, że przez najbliższe trzy lata nie mam prawa latać. Wykończyli mnie. Rozumiesz? Wykończyli!

- Sam się wykończyłeś, idioto. Potrzebny ci był ten handel

narkotykami. Narkotyki sanitarnym samolotem. To trzeba mieć źle w głowie. Ale mniejsza z tym. Wiem, że nie masz prawa latać. Ale przecież znasz się dobrze na budowie silników. Możesz pracować w jakichś warsztatach.

Z pasją cisnął niedopałek papierosa na środek pokoju.

- Do jasnej cholery! Chcesz ze mnie zrobić pomagiera do przykręcania śrubek.

Wstała, podniosła z podłogi niedopałek i z pewną pedanterią położyła go na popielniczce. Ruchy jej były spokojne i opanowane. Ani śladu rozdrażnienia.

- Po pierwsze, chciałabym cię prosić, żebyś niepotrzebnie nie zaśmiecał mieszkania, a po drugie - wiedz, że nie chcę z ciebie robić żadnego pomagiera ani nie mam zamiaru w ogóle do niczego cię zmuszać. Sam chyba rozumiesz, że nie możesz do końca życia trwać w takiej beczynności.

Zachnął się.

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Dopiero co wyszedłem z kryminału.

- Już przeszło miesiąc jesteś na wolności. Najwyższy czas, żebyś się do czegoś zabrał. Musisz zapomnieć o tym, co było i zacząć nowe życie.

Energicznie potrząsnął głową.

- O nie. Takich rzeczy tak łatwo się nie zapomina. Ja się jeszcze na nim odegram. Przekonasz się, że się odegram. Nie puszczę płazem, nie zapomnę. Nigdy!

Podeszła do fotela, na którym siedział i położyła mu rękę na ramieniu.

- Karolu, proszę cię... Przestań o tym wszystkim myśleć. Nie pozwól żeby ta obsesyjna żądza zemsty zżerała ci nerwy, paraliżowała możliwość powrotu do normalnego życia. Przecież to nie ma sensu. Co ci to da, że będziesz ciągle tkwił w tej idiotycznej sprawie? Zniszczysz swoje życie i moje.

Jestem twoim najlepszym przyjacielem. Pomogę ci. Zawsze możesz liczyć na moją pomoc. Tylko błagam, machnij ręką na to, co było, i nie myśl już o tym. Jesteś dobrym fachowcem. Na pewno znajdziesz odpowiednie zajęcie.

- Nie pójdę do warsztatów - powiedział z uporem. - Pilot lata, a nie siedzi w warsztatach naprawczych. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co to dla mnie za degradacja, jak ludzie będą na mnie patrzyli? Nie, nie i jeszcze raz nie.

- Więc jakie masz plany? - spytała, zdejmując dłoń z jego ramienia.

- Porachuję się z tym łajdakiem i ucieknę za granicę.

- I co będziesz robił za granicą?

- Będę latał. Na szerokim świecie wszędzie się urządzę. Będę latał.

Wzruszyła ramionami.

- Czy, sądzisz, że na tym twoim „szerokim świecie” nic innego nie robią, tylko czekają na ciebie, że tam nie ma pilotów, którzy poszukują pracy?

- Dam sobie radę. Bądź spokojna. Tylko wyrwę się z tej choleralnej dziury. Będę latał choćby mi nawet przyszło pracować dla jakichś gangsterów czy innych terrorystów.

- Nie bądź dziecinny. Nie gadaj głupstw.

- Zobaczysz, że tak zrobię. Przekonasz się.

- W każdym razie nie licz na moje towarzystwo. Nie mam najmniejszego zamiaru współpracować z gangsterami.

- Jak zbiję harmonię dolarów, to przyjedziesz do mnie. Spokojna głowa. Co ty tu możesz zarobić. Nędza, kompletna nędza.

- Mnie wystarcza.

- Ale mnie nie wystarcza. Ale, pomijając sprawę zarobków, ja muszę latać. Rozumiesz? Muszę. Nie mogę tak siedzieć z założonymi rękami.

- Właśnie usiłuję namówić cię do tego, żebyś nie siedział z założonymi rękami, tylko żebyś się zabrał do jakiejś roboty.

- Do warsztatów nie pójde. Rozumiesz? Nie pójde!

- To wymyśl sobie coś innego.

Zapalił papierosa. Wstał i przeszedł się po pokoju.

- A co ja mogę robić? Latanie to mój fach. Jeżeli zabroniono mi latać...

Podszedł do baru i wyjął butelkę koniaku.

- Nie pij! - zareagowała energicznie.

- Nawet tego mi zabraniasz? Będę pił tyle, ile mi się podoba.

- Nie za moje pieniądze.

- Ach tak? - odstawił koniak i zbliżył się do niej z iskrzącymi oczami. - To zaczynasz mi wymawiać, że jestem na twoim utrzymaniu? Zapomniałaś chyba, ile ci dolarów przysyłałem, ile ciuchów sobie za to sprawiłaś. Ty...! Ty...!

Cofnęła się przed jego zaciśniętą pięścią.

- Karol! Oszalałeś? Opamiętaj się.

Opuścił rękę i przesunął dłonią po czole.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie gniewaj się, ale jestem cholernie roztrzęsiony.

Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

- Posłuchaj mnie, Karolu. Ty naprawdę musisz się zabrać do jakiejś roboty. Tak nie można. Nie wytrzymasz nerwowo dłużej takiej beczynności. Zaufaj mi. Zaraz poczujesz się lepiej, jak tylko zaczniesz coś robić. Jeśli chcesz, to wyjedziemy z Warszawy. Zmienimy otoczenie, poznamy nowych ludzi. Nie można żyć tylko wspomnieniami, i to przykrymi wspomnieniami.

- Czy wiesz, że ten skurwysyn wrócił do kraju?! - wybuchnął.

- Przestań wreszcie o nim myśleć. Trzeba raz skończyć z

tą sprawą, zapomnieć.

- Zapomnieć? - zaśmiał się krótkim, złym śmiechem. - Ty chcesz, żebym ja zapomniał? Czy ja wyglądam na człowieka, który takie rzeczy puszcza płazem? Czy ty nie rozumiesz, że ja przez tę kanalię...?

- Uspokój się, Karolu. Proszę cię. - Głos jej zabrzmiał energicznie, rozkazująco.

Odechnął ją od siebie.

- Przestań mnie wreszcie uspokajać! Nie wyobrażaj sobie, że ja zapomnę. Mam do uregulowania rachunki z tym draniem i ureguluję. Możesz być pewna, że ja tego tak nie zostawię.

W jego oczach zobaczyła taką nienawiść, że ogarnął ją lęk. Po raz pierwszy pojawiła się myśl, że Karol może zabić.

Skończył pić herbatę, przejrzał gazety i zastanawiał się nad tym, co robić z resztą popołudnia. Wieczorem umówił się z Karoliną, ale do tego spotkania było jeszcze daleko, cztery godziny.

Wstał z fotela, przeciągnął się, ziewnął i podszedł do półki z książkami. Lektura nie była jego ulubionym zajęciem, ale jakoś przecież musiał zabić czas. Telewizyjny program nie był zachęcający. Do kina na jakiś możliwy film nie można się było dostać. Więc co? Jakiś kryminał. Przywiózł tego całe stopy.

Właśnie wyjął parę książek z mrozącymi krew w żyłach okładkami, kiedy odezwał się dzwonek. Bez pośpiechu poszedł do przedpokoju, przekręcił zamek i odsunął zasuwę.

W drzwiach stała Iza.

- O! - powiedział zdziwiony. - Co za niespodzianka. Jak się masz?

- Czy mogę wejść?

- Ależ oczywiście. Bardzo cię proszę. Nie spodziewałem się twojej wizyty, ale bardzo się cieszę. - Pomógł jej zdjąć

płaszcz i zaprowadził do pokoju. - Bardzo się cieszę - powtórzył.

Usiadła i wyjęła z torby papierosy.

- Wybacz, że przyszedłam bez uprzedzenia. Próbowałam dzwonić. Nikt nie odpowiadał. A że byłam w pobliżu, więc...

Mój telefon chwilowo nieczynny. Coś tam z kablem - wyjaśnił.

- Może jesteś zajęty? Może czekasz na kogoś?

- Nie, nie, na nikogo nie czekam. Właśnie mam sporo czasu. Umówiłem się z kimś dopiero wieczorem.

Mówił z pozorną swobodą ale wyczuwała, że jest speszony jej odwiedzinami.

- Dziwisz się zapewne, że do ciebie przyszedłam.

- Nie, nie, wcale się nie dziwię - zaprzeczył z przesadną skwapliwością. - Jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi.

- Raczej byliśmy dobrymi przyjaciółmi - sprostowała.

- Jeżeli tak uważasz...

- A ty uważasz, że możemy być nadal dobrymi przyjaciółmi?

- To oczywiście zależy od ciebie. Mój stosunek do ciebie nie uległ zmianie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Chyba wiesz, że Karol siedział w więzieniu.

- Wiem.

- I wiesz także, że ty się do tego przyczyniłeś.

- Nie mogłem inaczej. Jako prawniczka powinnaś to rozumieć. Karol wdał się z handlarzami narkotyków. Przewoził heroinę i inne narkotyki służbowym samolotem. Czy uważasz, że mogłem patrzeć na to i nie zareagować? Poczucie przyzwoitości, podstawowe zasady etyki...

- Czy wyłącznie powodowały tobą te twoje „podstawowe zasady etyki”? - spytała, zaciągając się dymem z papierosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że jeden z was miał zostać odwołany do kraju. A ty, za wszelką cenę, postanowiłeś utrzymać się na tym stanowisku. Z chwilą, kiedy zlikwidowałeś na tamtejszym terenie Karola...

- Dlaczego usiłujesz mnie znieważać?

Uśmiechnęła się.

- Nie mam najmniejszego zamiaru cię znieważać... Oceniam tylko trzeźwo i realnie sytuację... A zresztą nie dyskutujemy na temat etyki. To nie ma sensu. Wydaje mi się tylko, że w takiej sytuacji dobry kolega, przyjaciel powinien naprzód porozmawiać.

- A myślisz, że ja z nim nie rozmawiałem? - zaperzył się Piotr. - I to nie raz. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Znasz przecież Karola lepiej niż ja i doskonale wiesz, że jak sobie coś wbije do głowy, to szkoda gadać. Chciał zarobić szybko dużo pieniędzy. No i dograł się.

- Musiałeś akurat ty donieść o tej sprawie?

- Uważałem to za swój obowiązek. Ostrzegąłem Karola.

Energicznym ruchem zgasiła papierosa w popielniczce.

- A ja przyszedłem tu, żeby ostrzec ciebie.

Spojrzał zaskoczony.

- Ostrzec? Mnie? Nie rozumiem.

- A mnie się wydaje, że doskonale rozumiesz. I wiesz co, Piotrze? Coś ci poradzę.

- Słucham? Zawsze chętnie korzystam z dobrych rad od przyjaciół. O, pardon. Zapomniałem, że już nie jesteśmy przyjaciółmi. Więc jakaż to rada?

Spojrzała mu w oczy.

- Myślę, że dobrze by było, żebyś na jakiś czas wyjechał z Warszawy.

- Żebym wyjechał z Warszawy? Nonsens. Dlaczegoż miałbym wyjeżdżać?

- Zrobisz, jak uważasz, ale ja ci radzę wyjechać, nie podając swojego adresu.

- Ale dlaczego?

- Ze względu na Karola.

- A cóż ma Karol wspólnego z moim wyjazdem?

- Przestań się wreszcie zgrywać - powiedziała energicznie.

- Wiesz doskonale o czym mówię. Nie udawaj naiwnego. Karol znajduje się w takim stanie nerwów po wyjściu z więzienia, że wszystkiego się można po nim spodziewać. Dowiedział się, że przyjechałeś i szaleje. Ja nie żartuję. Piotrze. Ja się boję.

Roześmiał się, ale ten śmiech nie zabrzmiał zbyt szczerze.

- Uważasz, że Karol ma zamiar mnie zamordować.

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Znasz mnie nie od dziś i wiesz, że mam zwyczaj spokojnie i trzeźwo zapatrywać się na każdą sprawę. Ale teraz się boję, naprawdę się boję.

- Czy uważasz, że powinienem porozmawiać z Karolem?

- Nie, w żadnym wypadku. Uważam, że powinieneś wyjechać i to jak najprędzej.

- W tej chwili to nieaktualne. Mam tutaj dużo spraw do załatwienia.

- Pamiętaj, że ja cię ostrzegłam. To wszystko, co mogłam zrobić.

ROZDZIAŁ III

Karolina zamówiła jeszcze jedną szarlotkę z kremem. Lubiła słodczyce, a bliskość ukochanego mężczyzny dziwnie wzmagała jej apetyt. Nieśmiałym, delikatnym ruchem pogładziła opaloną, muskularną dłoń. Parokaratowy brylant

czyste] wody błysnął kolorowymi iskierkami.

- Kocham cię. Bardzo cię kocham - powiedziała cicho.

Uśmiechnął się z pewnym przymusem. Absolutnie nie był w nastroju do takiego szczebiotania.

- Ja także cię kocham. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Spojrzała na niego niespokojnie.

- Co się stało, Pierre?

- Nic się nie stało i proszę cię zostaw tę francuszczyznę. To mnie drażni.

Nadała się. wysuwając do przodu mocno uszmiukowane wargi.

- Ciebie dzisiaj wszystko drażni. Jeżeli i ja cię drażnię, to może sobie pójdę.

„Nie ma gorszej rzeczy jak podstarzała baba, udająca podlotka”, pomyślał i pocałował ją w rękę. Widok pierścionka z tym wspaniałym brylantem podzielał na niego kująco.

- Ależ kochanie... - powiedział, nadając swojemu głosowi miękkie, pełne czułości, brzmienie. - Wiesz przecież, jak bardzo się cieszę, żeśmy się spotkali.

- Czy mogę ci wierzyć?

- A dlaczego miałbym cię okłamywać?

Westchnęła.

- Wiesz... Czasem mi się zdaje, że między nami jest jednak za duża różnica wieku.

- Co też ty mówisz? - zaoponował energicznie. - Nie myśl nawet o takich głupstwach. Różnica wieku nie ma między ludźmi żadnego znaczenia. Najważniejsze, żeby się kochać, żeby się lubić. Tyle razy przecież mówiłem ci, że ja nie znoszę takich smarkatych dziewczyn. Dla mnie istnieją wyłącznie kobiety dojrzałe. Ty właśnie jesteś moim ideałem. Wspaniale wyglądasz. Masz figurę greckiej bogini.

Podniosła rękę do włosów i poprawiła fryzurę.

- Nie kpij sobie ze mnie - powiedziała zalotnie.
- Co za pomysł - obruszył się. - Zawsze mówię to, co myślę. Chyba mnie już pod tym względem poznałaś.

- Czyż można wierzyć mężczyźnie?
- Zależy od mężczyzny - uśmiechnął się.
- A ty do jakich mężczyzn należysz?
- Jak ci się zdaje?

Znowu dotknęła jego dłoni.

- Wierzę ci, bo chcę ci wierzyć. Jesteś jedyną, prawdziwą miłością mojego życia.

- A twój mąż...?

Skrzywiła się.

- Albin? Poczciwy był człowiek. Panie świeć nad jego duszą. Ale to nie była miłość.

- Więc dlaczego wyszłaś za niego?

Nie od razu odpowiedziała. Kończyła jeść szarlotkę.

- Widzisz... Będę z tobą zupełnie szczerą. Za Albina wyszłam dlatego, że zawsze lubiłam wygodne i dostatnie życie. On mógł mi takie życie zapewnić. Był bogaty, bardzo bogaty. A ja nienawidzę nędzy. Nie jestem stworzona do nędzy, a nawet do skromnego życia.

- Taka kobieta jak ty wymaga odpowiedniej oprawy - powiedział z przekonaniem. - Jesteś stworzona do luksusu. Wtedy dopiero możesz rozbłysnąć całą pełnią swej urody.

- Miły jesteś, Pierre. Umiesz ocenić walory kobiety.

- Znowu ta francuszczyzna.

- O, pardon. Już nie będę. Przyrzekam. - Wierchem dłoni dotknęła wypielęgnowany przez najlepsze kosmetyczki podbródek, jakby chciała sprawdzać stopień jego zwiotczenia.

- Nie gniewaj się, kochany, ale tyle lat spędziłam we Francji... Tak bym chciała zabrać cię kiedyś do Paryża. Cudowne miasto.

Zobaczysz jacy będziemy szczęśliwi.

Kosztowało go dużo wysiłku, żeby się utrzymać w roli zakochanego amanta.

- Jestem pewien, że będzie nam dobrze ze sobą - powiedział, siląc się, aby te słowa zabrzmiały szczerze i przekonywająco.

Karolina miała ogromną ochotę zamówić trzecią szarlotkę, ale powstrzymała się. Ogarnął ją nagły niepokój, co się stanie z jej sylwetką greckiej bogini.

- Kiedy wreszcie przyjedziesz do mnie, do Madejkowic?

- Przecież już byłem w Madejkowicach.

- Wpadłeś jak po ogień. Chciałabym, żebyśmy razem dłużej tam posiedzieli.

- Przyjadę. Na pewno. Jak tylko uporządkuję wszystkie swoje warszawskie sprawy.

Dotknęła jego ramienia.

- Piotrze...

- Słucham cię, kochanie.

- Tak bym chciała, tak bym bardzo chciała, żebyś jak najprędzej był mój, taki zupełnie mój.

- Przecież jestem twój.

- Czy nie rozumiesz? Pragnę zostać twoją żoną. Twoją na zawsze.

„Egzaltowane babsko” pomyślał i z trudem opanował odruch niechęci. Ale w grę wchodziły bardzo duże pieniądze, które same pchały mu się w ręce i z których nie miał zamiaru zrezygnować. To przecież była ogromna życiowa szansa.

- Jak tylko uporam się ze swoimi sprawami, natychmiast ustalimy datę naszego ślubu.

- Czy te twoje sprawy to dziewczyna? - spytała.

- Skądże - uśmiechnął się niezbyt szczerze. - Mam szereg spraw rodzinnych, które chciałbym uregulować.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Posłuchaj mnie, Piotrze. Jesteś młodym, bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Znamy się stosunkowo niedawno. Jestem pewna, że w twoim życiu były inne kobiety. Musiały być. To naturalne. Gdybyś miał poważniejsze komplikacje z jakąś dziewczyną, to ja jestem gotowa dać jej taką odprawę, że będzie zadowolona i nie będzie miała do ciebie żadnego żalu. Stać mnie na to, żeby taką panienkę hojnie wyposażyć. Takie sprawy należy załatwiać taktownie i nie zostawiać za sobą ludzkiej złości.

- Bardzo to szlachetnie z twojej strony, ale nie mam żadnych kłopotów tego rodzaju. W każdym razie niezmiernie ci jestem wdzięczny za dobre chęci. Jesteś doprawdy wspaniałomyślną kobietą. Jednak takie sprawy każdy szanujący się mężczyzna powinien załatwiać sam bez niczyjej pomocy.

- Mam nadzieję, że cię nie obraziłam.

- Co za pomysł?

- Bo widzisz, Kochany, tak bym chciała, żeby między nami nie było żadnych tajemnic, żadnych niedomówień, żeby nic nie stało na drodze do naszego szczęścia.

- Ja także tego pragnę i nie widzę żadnych przeszkód, żeby tak było.

Skinęła na przechodzącą koło ich stolika kelnerkę i zamówiła sok pomarańczowy. Z szarlotki zrezygnowała definitywnie.

- Chciałabym z tobą poruszyć jeszcze jedną sprawę.

Nie zdołał powstrzymać westchnienia.

- Słucham cię.

- Chodzi o Zenona.

- Mówisz o twoim siostrzeńcu?

- Tak. Martwię się nim.

- Co się stało? Chory?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Chwała Bogu zdrów jak ryba. Chodzi o co innego. Chodzi mi o jego stosunek do ciebie.

- Mianowicie?

- On cię bardzo nie lubi.

- A cóż ja mogę na to poradzić? Nie zrobiłem absolutnie nic takiego, żeby mu się narazić.

- Wiem, wiem - przytaknęła skwapliwie. - Ale... No... jednym słowem bardzo bym chciała, żebyś jakoś nawiązał z nim życzliwy kontakt.

Wzruszył ramionami.

- Jak ty sobie to właściwie wyobrazasz? Co mam zrobić? Wycalować go z dubeltówki?

- Nie żartuj. To jest dla mnie naprawdę bardzo ważna sprawa.

- Co proponujesz?

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie mam pojęcia. Taki doświadczony mężczyzna jak ty powinien się orientować, co można zrobić w takiej sytuacji. Zenon nie jest jakąś skomplikowaną naturą. Sądzę, że można, przy dobrych chęciach, jakoś do niego trafić.

- To syn twojej siostry?

- Tak. Moja siostra umarła i zostawiła jedyne go syna, którym ja się zaopiekowałam. Wychowałam go, wykształciłam. Jest pierwszorzędnym fachowcem. Przecież praktycznie to on prowadzi całe to rybne gospodarstwo. Ostatnio założył wędzarnię... Bardzo energiczny i pracowity chłopiec. Zawsze byliśmy w jak najlepszej zgodzie, Dopiero od niedawna...

- Wspomniałaś mu, że mamy się pobrać.

- Oczywiście. Nie trzymam przecież tego w tajemnicy. Zresztą prędzej czy później musiałby się dowiedzieć.

- Hm... - Piotr wypił łyk zimnej kawy i powiedział: - No cóż... Spróbuję z nim porozmawiać. Nie wiem, co prawda, na jaki temat, ale będę usiłował nawiązać z nim życzliwy kontakt, ponieważ ty sobie tego życzysz.

- Dziękuję ci. Jesteś bardzo kochany. Tak bym chciała, żeby między wami nie było żadnych zadrążeń.

Piotr pomyślał, że to nie będzie takie proste. Karolina miała duże pieniądze, a Zenon Konarzewski był jej jedynym spadkobiercą. Trudno sobie wyobrazić, aby siostrzeniec ichtiolog zapałał przyjacielskim afektem do przyszłego męża ciotki milionerki. Nie zwierzył się oczywiście z tych refleksji, uśmiechnął się pogodnie i powiedział:

- Nic się nie martw. Wszystko to się jakoś ułoży. Zobaczysz.

Spojrzała na zegarek.

- Wybacz, najmilszy, ale musimy się rozstać. Umówiłam się z Dziką Moszczyńską. Znasz ją pewnie.

- Nie znam Dzikki Moszczyńskiej - wyznał ze skruchą. - Bardzo żałuję.

- Muszę was kiedyś poznać. To niezwykle atrakcyjna kobieta. Na pewno ci się spodoba. Albo nie, lepiej cię nie poznam. Mogłaby ci się za bardzo spodobać.

- Jak sobie życzysz - powiedział zgodnie. Nie mógł się doczekać końca tej uciążliwej rozmowy. Z trudem panował nad rozdrażnieniem.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie. Zrobiła to w taki sposób, żeby znowu wyeksponować pierścionek z efektownym brylantem.

- Adieu. O, pardon, znowu ta francuszczyzna. Wybacz, kochany.

Odeszła starannie wyreżyserowanym, sprężystym krokiem, leciutko kołysząc biodrami. Towarzyszył jej silny zapach

francuskich perfum.

Piotr został sam. Zapalił papierosa i odetchnął z ulgą. Coraz częściej łapał się na tym, że z trudem znosił towarzystwo Karoliny. Robił dobrą minę do złej gry, ale to nie było łatwe. A co będzie po ślubie? Zaborczość tej kobiety przerażała go. Kiedy zostanie jego żoną, będzie go chciała mieć wyłącznie dla siebie, zamęczy go. Przychodziły takie chwile, że chciał zrezygnować, zerwać. Zaraz jednak pojawiała się trzeźwa refleksja. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że uczciwą pracą nigdy do takich pieniędzy nie dojdzie. A on lubił pieniądze, duże pieniądze, i zawsze marzył o tym, żeby być bogatym. „Baba już jest mocno podstarzała. Prędzej czy później wykorkuje” pocieszał się. Z tym głupim Zenkiem trzeba będzie pogadać. Nie ma rady.

Okazja do tej rozmowy nadarzyła się nadszpodziewanie szybko...

Na drugi dzień z samego rana, kiedy kończył śniadanie, zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Wstał, wytarł usta i poszedł otworzyć.

Barczysty, potężnie zbudowany mężczyzna, bez żadnych wstępnych uprzejmości, wtargnął do przedpokoju. Wąskie, lekko skośne oczy spoglądały posepnie spod krzaczastych brwi. Nieproporcjonalnie mała głowa pokryta była krótko przystrzyżonymi, rudawymi włosami.

- Nazywam się Zenon Konarzewski - zabrzmiał dudniący bas. Odnosiło się wrażenie, że jego właściciel stale przebywa w studni. - Nie wiem czy pan mnie sobie przypomina.

- Ależ oczywiście, że przypominam sobie pana - przytaknął skwapliwie Piotr. - Miałem przyjemność poznać pana u pańskiej cioci, pani Karoliny Widzewskiej.

- Właśnie ja w sprawie cioci - zadudnił olbrzym.

- Proszę, niech pan wejdzie dalej. Proszę bardzo. Może

pan zechce usiąść.

Zenon Konarzewski zagłębił się w fotelu, aż jęknęły sprężyny, odsapnął i powiedział: - No tak.

Piotr nie bardzo się orientował, co oznacza to „No tak”, ale na wszelki wypadek uśmiechnął się życzliwie. W tym momencie pomyślał, że nie chciałby popaść w konflikt ręczny z tym osiłkiem. Siostrzeniec Karoliny coraz mniej mu się podobał. Nie zrobił na nim wrażenia człowieka, z którym łatwo by było nawiązać przyjacielski kontakt.

- Napije się pan czegoś? Może kieliszek koniaku?

- Nie przyszedłem tu na picie, panie Szczerbiński. - To „panie Szczerbiński” zostało powiedziane ze specjalnym akcentem.

Piotr udał, że nie zwrócił na to uwagi.

- Cieszę się, że mnie pan odwiedził. Już od pewnego czasu chciałem z panem porozmawiać, panie Konarzewski.

- To się świetnie składa. Rozmawiamy.

- Pan zapewne przyszedł do mnie w jakiejś sprawie - zaczął Piotr.

- Owszem. Chodzi o moją ciotkę i o pana.

- Nie rozumiem.

- Doskonale pan rozumie. Pan ma zamiar żenić się z moją ciotką.

- To prawda - przytaknął Piotr. - Mamy zamiar się pobrać.

- Ale z tego nic nie będzie. - W tych słowach wyraźnie zadźwięczała groźba.

Piotr poczuł jak gorąca fala krwi uderza mu do głowy. Pomimo potężnej postury siostrzeńca Karoliny miał ogromną ochotę chwycić go za kark i wyrzucić za drzwi. Opanował się w ostatnim momencie.

- Wydaje mi się, że pani Widzewska jest osobą pełnoletnią i że ma prawo rozporządzać swoją osobą - powiedział, siląc się

na spokój.

Konarzewski dźwignął się z fotela i stanął na rozkraczonych nogach, jak zapaśnik gotujący się do natarcia.

- Niech pan sobie nie wyobraża, że się panu uda ta cała afera. Nie pozwolę skrzywdzić ciotki. Rozumiesz pan, panie Szczerbiński? Nie pozwolę!

- Nie wiem o jakiej krzywdzie pan mówi. Zupełnie nie rozumiem o co panu chodzi.

- Jeżeli pan nie rozumie, panie pilot, to ja panu wyraźnie wytłumaczę. Znalazłeś pan sobie starą babę z forszą i chcesz się zenić. Ale niedoczekanie twoje. Nigdy na to nie pozwolę. Jakem Zenon Konarzewski. Nie pozwolę!

Piotr przestał się już liczyć z przewagą fizyczną swojego gościa. Ostatecznie był wysportowany, trenował swego czasu boks, dżudo. Gdyby doszło do rękoczynów, to niewątpliwie okazałyby się zwinniejszy od tego imponująco zbudowanego, ale ciężkiego i zapewne powolnego ichtiologa. Postanowił jednak nie dać się sprowokować i nie dopuścić do awantury. Obiecał przecież Karolinie, że nawiąże przyjacielski kontakt z jej siostrzeńcem i mordobicie byłoby czymś bardzo niewskazanym w danej sytuacji.

- Dlaczego musimy się kłócić? - powiedział, siląc się na sympatyczny uśmiech.

- Ja się nie kłócę - burknął Konarzewski. - Ja tylko przyszedłem tu po to, żeby panu wybić z głowy małżeństwo z moją ciotką.

Piotr nie przestawał się uśmiechać.

- Sądzę, że moglibyśmy dojść do porozumienia.

- Do jakiego znowu porozumienia?

- No, po prostu możemy chyba żyć w jak najlepszej zgodzie. Dlaczegoż niby mąż ciotki nie może pozostawać w przyjacielskich serdecznych stosunkach z siostrzeńcem?

Zenon wybuchnął rechotliwym śmiechem.

- Pan jesteś lepszy cwaniak, panie Szczerbiński. Ale ja już wielu różnych cwaniaków widziałem i nie dam się nabrać na takie kawały. „W przyjacielskich, serdecznych stosunkach z siostrzeńcem”. Cha, cha, cha. To dobry numer. Dowcipny z pana facet.

Piotr ciągle jeszcze nie rezygnował z polubownego zakończenia tej rozmowy.

- Przecież te ryby moglibyśmy razem hodować. Pomagałbym panu.

- Przestań pan pieprzyć i nie rób pan ze mnie wariata - zachnął się Konarzewski. - Po pierwsze, majątek ciotki to nie tylko rybne stawy. A kamienica w Paryżu, a posiadłość w Belgii, a forsa w bankach szwajcarskich to pies? Czy uważasz mnie pan za takiego frajera, że po ślubie z ciotką nie dałbyś mi kopniaka w tyłek i won. Co tu się będziemy czarować. Chcesz się pan żenić, żeby całą forszę ciotki podgrandzić, a ja do tego nie dopuszczę, nie pozwolę! Rozumiesz pan? Dziesięć lat harowałem jak wół, żeby te stawy doprowadzić do porządku, żeby coś z tego było. Założyłem własną wędzarnię. W tej chwili to jest ciężka forsa. I teraz miałbym z tego wszystkiego rezygnować dlatego, że przyszedł jakiś bubek, jakiś cwaniak, jakiś hochsztapler. Nie, panie Szczerbiński. Wybij pan sobie z głowy ten interes. Pan jest cwaniak, ale ja także mam głowę na karku. Nie wyobrażaj pan sobie, żeś pan trafił na prostego, głupiego chłopa. Ja skończyłem wyższe studia. Jestem inżynierem ichtiologiem.

- Po sposobie wyrażania się nie sądziłem, że pan ukończył wyższe studia - powiedział spokojnie Piotr. - Dobrze, że mnie pan o tym poinformował.

Twarz Konarzewskiego nabiegła krwią. Najwidoczniej został ugodzony w czułe miejsce.

- A co...? - burknął ze złością. - Wyobrażasz pan sobie; że z takim typem jak pan będę się bawił w wytworną konwersację? I tak jeszcze za delikatnie z panem rozmawiam. Najchętniej skułbym ci mordę.

- Spróbuj - powiedział Piotr, stając w pozycji bokserkiej.

Przez chwilę zdawało się, że Konarzewski rzuci się na niego. Zreflektował się jednak. Warknął jakieś przekleństwo i ruszył ku drzwiom. „Przyjacielska rozmowa” nie należała do udanych.

Zaledwie Piotr zasunął zasuwę, kiedy znowu odezwał się dzwonek. Tym razem był to listonosz, który przyniósł lotniczy list polecony. Bitych sześć stron drobnym starannym pismem. Dużo, bardzo dużo o miłości i o tęsknocie, plany na przyszłość, radość, że już niedługo będą razem. Na koniec Magda zawiadamiała o dniu swego przyjazdu i o tym, że jest w ciąży.

Piotr przeczytał list po raz drugi i mocno przygryzł zębami dolną wargę.

ROZDZIAŁ IV

W pierwszy wtorek każdego miesiąca w willi Konrada Zengiera odbywały się zebrania towarzyskie. Projekcje krótkometrażowych filmów, pokazy slajdów, rozmowy o dalekich, egzotycznych krajach, dyskusje na tematy społeczne, socjologiczne i psychologiczne. To były rzeczywiście interesujące wieczory. Brali w nich udział zarówno poważni naukowcy, jak i studenci z różnych uczelni. Sławny podróżnik lubił otaczać się młodzieżą, twierdząc, że widok młodych dziewcząt i chłopców jego samego odmładza i napełnia nową ochotą do życia. Złośliwi twierdzili, że przede wszystkim

zależy mu na rozgłosie i popularności, ale któż nie ma na tym świecie ludzi niechętnych, a nawet wrogów.

Maria skończyła swą działalność. Zdjęła fartuszek i zaczęła ustawiać tace na niskich stolikach. Następnie cofnęła się parę kroków i z nieukrywaną satysfakcją obserwowała bajecznie kolorowe kanapki.

- Prawda, że ładne?

Odłożył gazetę, wstał z fotela i pocałował ją w szyję.

- Wspaniałe. Jesteś prawdziwą mistrzynią. Co za wyczucie kolorystyczne. Zamiast iść na medycynę, powinnaś była skończyć Akademię Sztuk Plastycznych.

- Nie żartuj - roześmiała się. - Ale może moje kanapki ożywią trochę to wnętrze.

Rzeczywiście, duży pokój, przypominający dekorację z pradawnego filmu „Grobowiec indyjski”, tonął w nastroju półmroku. Podłogę prawie całkowicie zakrywał ogromny dywan. Bardzo niskie tapczany zarzucone były ozdobnymi poduszkami. Ściany, przyozdobione mieczami, sztyletami, dzidami i najrozmaitszą egzotyczną bronią, przywodziły na pamięć zbrojownie dawnych władców Wschodu. W głębi umieszczony był ekran, zasłonięty w tej chwili jedwabną kurtyną.

Zengier, ubrany w sportowy strój koloru khaki, chodził po całym mieszkaniu, zaglądał w każdy kąt, dotykał afrykańskich masek wiszących na ścianach, flanelową ściereczką startł kurz ze skóry krokodyla, następnie sprawdził aparaturę projekcyjną i przyszykował kasety z taśmami oraz przezrocza. Widać było, że bardzo starannie przygotowuje się na przyjęcie swych wtorkowych gości.

Pierwsza przyszła Joanna. W skromnym dżinsowym komplecie wyglądała bardzo młodzieżowo. Przez ramię miała przewieszoną dużą czarną torbę.

- Kochana! Jakżeż się cieszę, że przyszałaś! - wykrzyknęła Maria, serdecznie ściskając przyjaciółkę. - Prześlicznie wyglądasz. Znaie się chyba z Konradem - dodała, zwracając się do Zengiera.

- Kiedyś miałem przyjemność panią poznać - uśmiechnął się uprzejmie, wyciągając muskularną dłoń na powitanie. - To miło, że zechciała pani zaszczyścić swą obecnością dzisiejsze nasze zebranie.

„Co za pozer”, pomyślała Joanna, odwzajemniając uśmiech. Nie znosiła ludzi posługujących się takimi banalnymi, gładkimi zdaniem.

- Lubi pani dżin z tonikiem? - spytał Zengier. - Mam na myśli oczywiście „Gordon Gin”.

- Lubię wszystko, co się nadaje do picia - odpowiedziała wesoło Joanna. - A czy Gordon, czy nie Gordon, to wsio rawno.

Podszedł do baru i zajął się przyrządzaniem napitku. Tymczasem z ogromnym zainteresowaniem oglądała broń zawieszoną na ścianach.

- Czy można zdjąć i obejrzyć z bliska? - spytała.

- Ależ oczywiście, bardzo proszę. Każdy z tych sztyletów ma jakąś swoją historię.

Zdejmowała ze ścian, wyjmowała z pochew, próbowała ostrzy.

- Takim czymś nietrudno chyba zabić człowieka.

- Te przyrządy właśnie do tego służą - uśmiechnął się. - W tym celu je skonstruowano. Następnie służyły jako elementy dekoracyjne, uzupełniające strój, ale to już jest przeznaczeniem wtórnym. Pierwotnie każda broń przeznaczona była do zabijania.

- Czyż zawsze ludzie będą się wzajemnie mordować? - wtrąciła się do rozmowy Maria.

Zengier spojrział na nią z pobłażliwym uśmiechem.

- Moja droga, walka i zabijanie to od początku świata jedno z najistotniejszych praw przyrody. Niestety, życie na naszej planecie zostało tak urządzone. I to się nigdy nie zmieni. Wystarczy wejść do dżungli, żeby to zrozumieć. Istnienie jednej istoty uwarunkowane jest śmiercią drugiej. Niech pani spojrzy jeszcze na ten marokański sztylet - dodał, zwracając się do Joanny - Przepiękna inkrustacja.

- Rzeczywiście. Bardzo piękna. Mam do pana prośbę.

- Prośba pięknej kobiety jest dla mnie rozkazem - skłonił się. - Słucham? Czym mogę służyć?

- Chciałabym sfotografować pańskie zbiory. Są naprawdę interesujące. Noszę się z zamiarem napisania książki o Afryce.

- Była pani w Afryce?

- O, to za dużo powiedziane. W zeszłym roku odbyłam taki rejs frachtowcem wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki. Bardzo interesujące. W przyszłym roku chciałabym wziąć udział w jakiejś wyprawie naukowej.

Zengier jakby trochę stracił na humorze. Może bał się, że młoda dziennikarka będzie chciała prosić go o protekcję.

- Jeżeli pani ma ochotę, to oczywiście, bardzo proszę. Proszę fotografować. Ale najprzód napijemy się może tego leciutkiego cocktailu, który przygotowałem.

Podał jedną szklankę Joannie, drugą Marii, a trzecią podniósł do góry.

- Zdrowie naszego uroczego gościa. I życzę powodzenia na literackiej drodze.

Wypili. Joanna wyjęła z torby aparat fotograficzny, lampę błyskową i zabrała się do uwieczniania egzotycznej zbrojowni. Poruszała się szybko i zwinnie. Widać było, że to dla niej nie pierwszozna.

Maria była trochę zaskoczona. Z odrobiną podejrzliwości

przyglądała się swej przyjaciółce. Po ostatniej rozmowie sądziła, że Joanna albo wcale nie przyjdzie, albo, że pojawi się z twarzą posępną i melancholijną. Tymczasem dziewczyna była wesoła, rozmowna, tryskała zdrowiem i radością życia. „Albo pogodziła się z Piotrem, albo tak znakomicie się maskuje”. Maria nie byłaby kobietą, gdyby ta sprawa jej nie intrygowała. Postanowiła przy najbliższej okazji wybadać Joannę.

Goście powoli zaczęli się schodzić. Ze starszej generacji przyszedł profesor Ignacy Maleszycki, specjalista od zagadnień ekonomicznych Czarnego Łądu. Towarzyszyła mu pani Elżbieta Wojnacka, kobieta fenomen, która zdołała opanować aż osiem narzeczy różnych plemion murzyńskich. Wyglądała okazale i poruszała się nader dostojnie, a to zapewne ze względu na swą imponującą tuszę, której nie zdołała się pozbyć nawet przebywając w afrykańskim buszu. W przeciwieństwie do niej profesor Maleszycki był chudym staruszką, robiącym takie wrażenie, jakby stale nie dojadł. Od razu też zaczął okazywać ogromne zainteresowanie kanapkami.

- Co za wspaniałości! Co za przysmaki! - zachwycił się, gładząc swą siwą bródkę, przystrzyżoną a la Napoleon III.

Następnie pojawił się Wiesław Sobański, którego sukcesy na polu kodeksu karnego były już znane niektórym z obecnych. Wysoki, przystojny. Ubierał się bardzo starannie i pachniał dobrą wodą kolońską. Maria wiedziała, że młody adwokat interesuje się od dawna Joanną i początkowo chciała, żeby się ze sobą trochę zbliżyli. Teraz jednak nie wiedziała co o tym sądzić. Zachowanie się Joanny zupełnie ją zdezorientowało.

Napływali różni ludzie i powoli zaczynało robić się tłoczno. Na samym końcu wtargnęła gromada brodatych i kudłatych młodzieńców, którym towarzyszyły smętne dziewczyny z długimi, rozpuszczonymi włosami. Wszyscy oczywiście byli w

dżinsowym umundurowaniu, co sprawiało takie wrażenie jakby pojawił się jakiś oddział formacji specjalnej. Profesor Maleszycki spożył niepostrzeżenie znaczną liczbę kanapek, a następnie zaczął wyjaśniać pani Wojnackiej różne aspekty trudności gospodarczych Libii. Słuchała go uprzejmie, ale z pewnym roztargnieniem. Była właśnie w trakcie kuracji odchudzającej i ogromne tace z kolorowymi kanapkami napawały ją zrozumiałym niepokojem.

Kiedy już towarzystwo nieco się posiliło, a szklanki były parokrotnie napełniane, Zengier wstał i powiedział.

- A teraz, mili goście, po zaspokojeniu pierwszego głodu proponuję, zgodnie z tradycją, przejście do uczty duchowej.

Odezwał się młody człowiek, którego twarz ozdobiona była imponującą liczbą piegów. Długie, rude włosy i zmierzwiona płomienna broda nadawały mu wygląd bohatera dawnych korsarskich opowieści.

- Nie usłyszeliśmy dotychczas nic o pańskiej ostatniej wyprawie do Algierii. Sądzę, że wszystkich tu zebranych bardzo to interesuje.

Zengier spoważniał.

- To bardzo smutna, tragiczna historia.

- Tym bardziej interesująca - upierał się piegowaty. - Słyszeliśmy różne plotki na ten temat, ale chcieliśmy usłyszeć z pańskich ust jak to naprawdę było.

- Właściwie niewiele jest do opowiadania - zaczął ociągając się Zengier. - Zorganizowaliśmy wyprawę...

- Co było celem tej wyprawy? - przerwała mu pani Wojnacka.

- Dłuższy czas przebywałem w Algierze - ciągnął dalej podróżnik. - Szperałem po bibliotekach i różnych archiwach. Interesowałem się wtedy specjalnie zagadnieniami dotyczącymi dawnego państwa Mali. Zupełnie przypadkowo

natrafiłem na bardzo interesujący zapis, z którego wynikało, że przed wiekami pustynia pochłonęła zespół świątyń, znajdujący się mniej więcej w tym miejscu, gdzie obecnie zbiegają się granice Algierii, Mali i Nigru. Porozumiałem się z moim przyjacielem profesorem Gaetano Copettim z Rzymu, który ogromnie się tą sprawą zainteresował. Z prowadzonych przez niego badań wynikało, że hipoteza istnienia tych świątyń jest najzupełniej realna. Dokooptowaliśmy francuskiego archeologa profesora Armanda Jouveta, a ja jeszcze namówiłem na tę wyprawę mojego dawnego kolegę docenta Roberta Kiełbińskiego. Moi towarzysze wybrali mnie kierownikiem tej imprezy. Stało się tak zapewne dlatego, że ja wielokrotnie już zapuszczałem się w głąb Afryki i dosyć dobrze znam Czarny Ląd. Byliśmy dobrze wyekwipowani. Mieliśmy ze sobą tragarzy, poganiaczy wielbłądów, zapasy żywności, wody, różne przyrządy, narzędzia, instrumenty niezbędne do przeprowadzania badań archeologicznych.

- Niezmiernie interesujące przedsięwzięcie - wtrącił się profesor Maleszycki. - Może nie wszyscy wiedzą, że w średniowieczu, w XII-XIII wieku, w dorzeczu Górnego Nigru znajdowało się potężne państwo Mali, o dużej kulturze.

- Zamieszkałe przez lud Mandingo - uzupełniła pani Wojnacka.

- Właśnie. Mandingo - przytaknął profesor. - Życie i obyczaje tego ludu ciągle są stosunkowo mało znane. Tego rodzaju wyprawa mogła przynieść nauce duże korzyści.

- Jechaliście na wielbłądach, a nie samochodami? - spytał piegowaty młodzieniec, którego najwidoczniej najbardziej interesowały środki transportu.

Zengier zwrócił ku niemu swą sępią, chmurną twarz.

- Na pustyni wielbłądy ciągle jeszcze są najpewniejszą komunikacją. Istnieją ogromne przestrzenie, przez które żadna

maszyna nie przejdzie, nawet najmocniejsza.

- I co było dalej? - zniecierpliwiła się dziewczyna o dużych niebieskich oczach i jasnych włosach, sięgających jej nieomal do pasa.

- Początkowo wszystko odbywało się według ustalonego planu - podjął swe opowiadanie Zengier. - Byliśmy w doskonałych nastrojach i nikt nie przeczuwał grożącego niebezpieczeństwa.

- O ile się orientuję, to w tamtych stronach można się spotkać z agresywną postawą niektórych koczowniczych plemion - powiedziała pani Wojnacka.

Zengier pokiwał głową.

- Właśnie. Przed wieczorem, kiedy rozkładaliśmy obozowisko, zaatakowali nas. Mieliśmy oczywiście broń. Wywiązała się strzelanina. Zginęli dwaj poganiacze wielbłądów, a Jovet został ranny. Zdołaliśmy jednak odeprzeć atak. Napastnicy zniknęli tak samo nagle, jak się pojawili.

Pani Wojnacka była zafascynowana opowieścią.

- Ciekawe, co to mogło być za plemię.

- I co dalej? - przynagliła znowu narratora jasnowłosa dziewczyna.

Podróżnik spojrział na nią ze smutnym uśmiechem.

- Dalej było bardzo niewesoło. Okazało się, że przestrelono nam parę pojemników z wodą, a dwa ranne wielbłądy zdechły nad ranem. Na następnym postoju znowu nas zaatakowali. Docent Kiełbiński i profesor Copetti zostali ranni. Poganiacze wielbłądów, tragarze oraz przewodnik uciekli. - Na drugi dzień zaskoczyła nas burza piaskowa, która szalała przez parę godzin. Położenie stawało się krytyczne. Moja sytuacja była bardzo ciężka. Musiałem opiekować się trzema rannymi. Usadowiłem ich na pozostałych wielbłądach i wolno posuwaliśmy się naprzód, licząc na to, że natrafimy

wreszcie na jakąś osadę. Robert Kiełbiński zaczął gorączkować, chwilami majaczył. Obawiałem się gangreny. Mieliśmy wprawdzie antybiotyki, ale w danym wypadku niezbędny był zabieg chirurgiczny. Kula została w ranie. Którejś nocy znowu nas zaatakowali. Tylko ja jeden byłem w stanie strzelać. Miałem automat. Wycofali się. Zostałem ranny w ramię. Potem przyszła nowa burza piaskowa. Straciłem przytomność.

- W jaki sposób pan się uratował? - spytał piegowaty.

- Nieprzytomnego znaleźli mnie jacyś tubylcy, którzy na szczęście nie byli wrogo nastawieni. Przetransportowali mnie do swojej wioski, gdzie bez przytomności przeleżałem parę dni. Jak tylko mogłem ustać na nogach, zorganizowałem poszukiwania moich towarzyszy. Niestety, bez skutku. Nigdzie ich nie znaleźliśmy. Niewątpliwie zmarli na pustyni. Stan ich był bardzo ciężki.

- To straszne - westchnęła jasnowłosa dziewczyna.

- Tak. To było bardzo ciężkie przeżycie.

- Czy pan się orientuje, jacy to ludzie uratowali pana? - spytała pani Wojnacka.

Zengier potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam: że mogli to być Tuaregowie, ale nie jestem pewien. Nie znali ani francuskiego, ani angielskiego. Porozumiewałem się z nimi na migi.

- I nie trafiłby pan do tej wioski?

- Skądże. Nie miałem ani map, ani kompasu. Zresztą w tej sytuacji to było bez znaczenia.

- A jak to się stało, że pana znaleźli na pustyni, a tamtych nie?

Zengier wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Oni byli na wielbłądach, a ja szedłem piechotą. Straciłem dużo krwi. Zemdląłem.

- A jak się pan dostał do Europy? - spytał profesor Maleszycki.

- Miałem przy sobie sporo pieniędzy. Zapłaciłem im za wielbłąda. Dali mi duży zapas wody, żywność i pokazali, w którym kierunku mam jechać. Zaryzykowałem. Nie mogłem przecież reszty życia spędzić w tej osadzie. Tym razem szczęście mi sprzyjało. Po dwóch dniach podróży spotkałem oddział wojska patrolujący pustynię. Oficer mówił po francusku.

Zengier umilkł i pogрузzył się w głębokiej zadumie. Mogło się zdawać, że zupełnie zapomniał o swych gościach.

- Przeżył pan ciężkie chwile - powiedziała z przejęciem Joanna.

- Tak. To nie było łatwe. No cóż... Takie już jest życie. Każda tego rodzaju wyprawa jest pewnym ryzykiem. Do dzisiaj jeszcze nie mogę się z tego wszystkiego otrząsnąć. Trudno mi uwierzyć, że już nigdy nie zobaczę Roberta, Armanda, Gaetana. Ale dajmy spokój tym ponurym nastrojom. Napijmy się czegoś.

Całe towarzystwo ochotnie przyjęło tę propozycję. Zengier, wspomagany przez Marię i Joannę, pośpiesznie rozlewał cocktail do szklanek.

Sobański od dłuższego czasu usiłował znaleźć się w pobliżu Joanny, ale tak jakoś umiejętnie lawirowała, że mu się to nie udawało. Dopiero po dramatycznej opowieści Zengiera zdołał ją przyłapać i usiadł koło niej na małej kanapce. Stało się to tak szybko, że w pierwszej chwili go nie zauważyła.

- Dlaczego pani mnie unika? - spytał wprost.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Ja pana unikam? Nic podobnego.

- Ależ tak. Nie trzeba być genialnym detektywem, żeby to zauważyć.

- Zapewniam pana, że jest pan w błędzie.
- Chciałbym, żeby tak było. Wydaje mi się jednak, że pani mnie bardzo nie lubi.
- Skąd takie przypuszczenie?
- To się wyczuwa. Intuicja. Wprawdzie podobno kobiety mają monopol na intuicję, ale sądzę, że w dobie równouprawnienia istnieje chyba i męska intuicja.

Uśmiechnęła się.

- Chce pan na tym polu robić konkurencję kobietom?
- Nie. Chciałbym tylko... Ale mniejsza o to. Wydaje mi się, że opowiadanie pana Zengiera nie wywarło na pani większego wrażenia.

- Chyba ma pan rację. Od jakiegoś czasu niczyja śmierć zbytnio mnie nie wzrusza. Moja własna także nie. Ta chwila przecież musi nadejść. Trochę wcześniej, trochę później. Co to za różnica.

- Skąd takie pesymistyczne rozważania? - spytał. - Czy nie możemy porozmawiać o czymś weselszym?

- Pewnie możemy. A na jaki to wesoły temat chciałby pan porozmawiać?

- Najchętniej porozmawiałbym o pani.
- Och, mogę pana zapewnić, że to wcale nie jest wesoły temat do rozmowy.
- Trzeba zmienić ten stan rzeczy.
- To nie takie proste.
- Pozwolę sobie zauważyć, że to jest bardzo proste.

Wystarczy, żebyśmy się trochę zaprzyjaźnili.

- W jakim celu?

Teraz on się uśmiechnął.

- Wydaje mi się, że w dzisiejszych ciężkich czasach dobrze jest mieć zaprzyjaźnionego specjalistę od spraw karnych.

Roześmiała się.

- To jedyne rozsądne zdanie, jakie pan powiedział od początku naszej rozmowy.

- Bardzo pani łaskawa. Zrobię co w mojej mocy, aby tych „rozsądnych zdań” było nieco więcej.

Przyjrzała mu się trochę uważniej. „Chyba nie jest taki bardzo głupi” pomyślała. Właściwie dopiero w tej chwili zauważyła, że jest przystojny. Gęsta, falująca czupryna, ciemne, błyszczące oczy, osadzone głęboko w mocno zarysowanej, śniadej twarzy.

- O czym się pani tak zamyśliła?

- O tym, że pan zapewne ma ogromne powodzenie u kobiet.

- Tak się fatalnie składa - powiedział z melancholijnym uśmiechem - że mam powodzenie u tych kobiet, które mnie nie interesują. Natomiast te, które mnie się podobają, nie chcą na mnie patrzeć. Prawdziwy pech.

- Nie trzeba tracić nadziei.

- Więc mogę mieć nadzieję, że mnie pani polubi? Potrząsnęła głową.

- Niezmiernie mi przykro, ale nie może pan mieć nadziei, żadnej nadziei w związku z moją osobą. Jest pan bardzo miły i dlatego serdecznie panu radzę, żeby się pan zainteresował kim innym. W tej chwili mówię zupełnie poważnie. Niech pan sobie mną nie zawraca głowy.

ROZDZIAŁ V

Prawie każdy człowiek ma jakieś hobby. Jeden zbiera znaczki pocztowe, drugi odkrytki z widokami dalekich krajów,

jeszcze inny pudełka od zapalek, a są i tacy, którzy kolekcjonują kapsle, przeróżne etykiety, guziki albo agrafki. Istnieją również zbieracze dzieł sztuki, ale to już jest temat nadający się do szerszego omówienia.

Kapitan Antoni Grabicki nic nie zbierał, ale jednak miał swoje bardzo specjalne hobby. Z zawodu był milicjantem, a z zamiłowania zielarzem. Specjalnie interesowały go zioła lecznicze. Żartowano też z niego w komendzie, mówiąc, że minął się z powołaniem i że powinien być zostać lekarzem, a niektórzy twierdzili, że byłby z niego znakomity znachor. Żarty żartami, ale niejeden korzystał z jego fachowych porad. Koledze, którego męczył uporczywy kaszel, zalecił picie naparu z podbiału z dodatkiem rumianku, innemu znów, skarżącemu się na nerki, zaaplikował skrzyp z dodatkiem ziela poziomek, piołunem wyleczył pewnego sierżanta cierpiącego na brak apetytu oraz zaburzenia przewodu pokarmowego, a stosując nagietki, osiągał bardzo dobre rezultaty w wypadkach trudno gojących się ran, oparzeniach oraz liszajach. Pokpiwano z niego, ale jak komu coś solidnie dolegało, to szedł do Antosia i dyskretnie zasięgał jego rady.

Wystarał się o działkę, którą z ogromnym zapalem przy pomocy żony uprawiał. Hodował oczywiście przeróżne zioła. Pani Jadwiga nie była tym zachwycona i nieraz między małżonkami powstawały niegroźne scysje.

- Posadziłbyś, Antoś, truskawki, maliny albo porzeczki. Byłby z tego jakiś pożytek.

- Truskawki czy porzeczki można kupić w każdym sklepie - argumentował Grabicki.

- Zioła także można kupić w „Herbapolu”.

- Iii... - krzywił się pogardliwie. - Czort ich wie, co oni w tych torbach mieszają.

- Nie obrażaj „Herbapolu” - oburzała się pani Jadwiga.

- Ależ ja nikogo nie obrażam, ale jak sam, osobiście wyhoduję, to wiem, że skrzyp to jest skrzyp, a szałwia faktycznie szałwia. Ale obiecuję ci, Dziuniu, że pogadam z kim trzeba i weźmiemy jeszcze jedną działkę. Tam będziemy sadzić wyłącznie truskawki, maliny i porzeczki.

- I agrest - dodawała pośpiesznie pani Jadwiga, która przepadała za kompotem z agrestu.

- Dobrze, dobrze... i agrest - godził się z uśmiechem Grabicki, rad, że sytuacja została załagodzona.

To nie był typowy oficer milicji. Ale zielarskie hobby bynajmniej nie przeszkadzało mu we wzorowym spełnianiu służbowych obowiązków. Bardzo prędko dał się poznać jako człowiek wyjątkowo inteligentny, bystry, obdarzony niezwykłą intuicją. Szybko awansował. Zaczęto mu powierzać coraz bardziej skomplikowane sprawy, z których wywiązywał się bezbłędnie. Niebawem stał się też prawdziwym postrachem świata przestępczego.

Do milicji wstąpił nie przez przypadek, ale z głębokiego wewnętrznego przekonania. Nienawidził zbrodni i uważał za swój obowiązek bronić społeczeństwa przed zbrodniarzami i wszelkiego rodzaju przestępcami. „Zbrodniarze to jak chwasty”, mawiał. „Trzeba niszczyć, wrywać z korzeniami. Nie pozwolić, żeby się odradzali i znowu siali zło”.

Nie bez znaczenia był tu oczywiście fakt, że oboje jego rodzice zginęli zamordowani przez bandytów.

Dawne to dzieje. Obecnie kapitan Antoni Grabicki zbliżał się do wieku emerytalnego, a właściwie, na dobrą sprawę już mógłby pójść na emeryturę. Zwlekał jednak. Pani Jadwiga namawiała go.

- Na co czekasz, Antoś? Idź już na tę emeryturę. Będiesz miał czas dla siebie. Obiecałeś wziąć drugą działkę, a to dużo roboty. Będiesz mógł się poświęcić swoim ziółkom, a i

truskawki będziemy sadzić, i maliny, i agrest.

- Masz rację, Dziuniu, masz rację - kiwał głową. - Ale widzisz... jeszcze mam nadzieję, jeszcze chciałbym...

- Co chciałbyś?

- Przed odejściem chciałbym czegoś dokonać, czegoś znacznego.

- Mało to się przez te wszystkie lata napracowałeś? Nieraz bywało, żeś nie zjadł o swojej porze. Nie pamiętasz, ile to razy czekałam na ciebie z obiadem? A te nieprzespane noce. Dostyć już. Należy ci się odpoczynek. Zresztą zawsze cię chwalili w komendzie. Otrzymałeś odznaczenia za te różne sprawy, które prowadziłeś.

- E... jakie tam sprawy? - krzywił się lekceważąco. - Nigdy nie prowadziłem takiej rzeczywiście skomplikowanej, ciekawej sprawy. Z tym wszystkim to pierwszy patałach poradziłby sobie.

- Czego ty właściwie chcesz? Tu nie Ameryka.

Grabicki pokiwał głową.

- Masz rację, Dziuniu. Tu nie Ameryka. Nasz teren bardzo ubogi. Nie ma wielkich potentatów finansowych, nie ma wspaniałych rezydencji milionerów, nie ma dużych międzynarodowych afer, nie ma nawet faceta, którego by warto porwać dla wielomilionowego okupu. Oj, jakieś tam nadużycia gospodarcze, mały szmugielek, chuligański wybryk czy prymitywne morderstwo na tle rabunkowym, którego sprawców błyskawicznie się identyfikuje...

- Uważasz, że to źle, że u nas nie ma wielkich zbrodni? - oburzyła się pani Jadwiga.

Roześmiał się.

- Zabawna jesteś. Oczywiście, że to lepiej, że nie hodujemy w naszym kraju zbrodniarzy na wielką skalę. Ale jednocześnie oficer śledczy, który chce się wykazać swoją

inteligencją, swoją fachowością, ma bardzo skromne pole do popisu. Czasem się coś takiego zdarza, ale akurat mnie nie trafiło się. Będę z tobą zupełnie szczerzy. Dlatego czekam. A nuż właśnie przed samą emeryturą...

Uważała, że nie ma nic lepszego do zrobienia, jak tylko wzruszyć ramionami.

- Rób jak chcesz, ale mnie się wydaje, że to nie ma sensu. Nie jesteśmy już młodzi. Coś nam się jeszcze chyba od życia należy, a nie tylko praca i praca. Ja bez przerwy czekam z obiadem, aż ty wrócisz z komendy. Denerwuję się. Nigdy nie wiem kiedy mam wstawić ziemniaki. Potem to wszystko odgrzewane, niesmaczne... Mnie też się należy odpoczynek od tej twojej komendy.

- Wyjeżdżamy przecież na urlopy co roku.

- Jakie tam urlopy? Ile razy wyjedziemy, to leje od rana do wieczora, że nawet na spacer nie można wyjść. A jak będziesz na emeryturze, swobodny, to sobie wyjedziemy wtedy, kiedy będzie ładna pogoda. Będziemy ludźmi niezależnymi od żadnych terminów. A pamiętasz, jak wtedy cię ściągnęli z urlopu, bo sobie bez ciebie rady dać nie mogli?

Uśmiechnął się.

- Nie przesadzaj. Po prostu brakowało ludzi, a trafiła się trochę większa sprawa.

- A widzisz. To znaczy, że i u nas trafiają się większe, poważniejsze sprawy.

- To nie była żadna zagadka kryminalna. Błyskawicznie rozpracowaliśmy tych szmuglerów. Chodziło tylko o przeprowadzenie szybkiej akcji. Potrzebna była większa grupa operacyjna. Dlatego mnie ściągnęli, nie dlatego, że nie mogli sobie dać rady beze mnie.

- Pamiętam, że akurat wtedy mieliśmy trochę słońca w tej Polanicy - westchnęła pani Jadwiga.

- Mogłaś zostać. Nie musiałaś wracać ze mną do Warszawy.

- Akurat - zaperzyła, się. - Tego jeszcze brakowało, żebym cię samego zostawiła. A kto by ci obiad ugotował?

- Zjadłbym w jakiej knajpie.

- Jeszcze czego? Żebyś się rozchorował na żołądek.

- Na żołądek? Spokojna głowa. Zaraz napiłbym się rumianku albo mocnego naparu z macierzanki albo kruszyny. Poradziłbym sobie.

- Jakby cię porządnie struli to na nic by się zdały wszystkie twoje ziółka. Już ja znam te dzisiejsze knajpy. Ani się obejrzysz, a pogotowie trzeba wzywać.

- Bój się Boga, Dziuniu! O czym my właściwie rozmawiamy? Przecież w Polanicy byliśmy z dziesięć lat temu.

- Prawda, że to było dawno - przyznała pani Jadwiga. - Jak ten czas leci.

Popatrzyli na siebie i roześmieli się. Oboje lubili się śmiać.

Nie mógł oderwać oczu od nieruchomej twarzy. Jeżeli to miała być ta jego „wielka” sprawa, to wolałby pójść na emeryturę bez efektownego ostatniego śledztwa. Mimo wieloletniej rutyny zabójstwo zawsze robiło na nim duże wrażenie, a zamordowanie dziecka czy kobiety przeżywał najmocniej.

- Bardzo ładna - postęszął za swymi plecami. Odwrócił się i spojrzał na Stasiewicza. Młody porucznik był blady. Po raz pierwszy brał udział w tego rodzaju sprawie. Widać było, że dużym wysiłkiem woli panuje nad sobą. Powiedział „Bardzo ładna”, żeby przerwać przedłużające się milczenie, żeby usłyszeć swój głos.

Grabicki poklepał przyjacielsko młodszego kolegę po ramieniu i zwrócił się do lekarza, który właśnie skończył

wstępną obdukcję zwłok.

- No i cóż, panie doktorze?

Wysoki, szczupły mężczyzna w białym kitlu zdjął z rąk gumowe rękawiczki i poprawił na nosie okulary.

- Fachowa robota. - Wskazał na leżący na dywanie sztylet.

- Morderca wiedział, że należy wyjąć ostrze z rany, żeby śmierć nastąpiła natychmiast.

- Sądzę pan, że to jest narzędzie zbrodni?

Lekarz przyklęknął i przez chwilę przyglądał się uważnie egzotycznej broni.

- W tej chwili nie mogę oczywiście stwierdzić tego z całą pewnością, ale wszystko wskazuje na to, że ta kobieta została zamordowana właśnie tym sztyletem. Zarówno długość jak i szerokość klingi pasują do rany. Dziwi mnie tylko trochę dlaczego morderca nie zabrał tego ze sobą.

- Może się śpieszył - powiedział bez przekonania Grabicki. - Tak, to rzeczywiście dosyć dziwne. Jak pan w przybliżeniu określa czas zgonu, panie doktorze?

Lekarz zdjął kitel i spojrzął na zegarek.

- Teraz mamy siedemnastą dziesięć. Myślę, że mniej więcej to się stało jakieś sześć, siedem godzin temu.

- Czyli około jedenastej.

- Mniej więcej. Po sekcji będę mógł panu służyć dokładniejszymi informacjami. Jeżeli to pana interesuje, to w tej chwili mogę tylko dodać, że denatka była w ciąży.

- O! - Grabicki był wyraźnie zaskoczony. - W ciąży? Jest pan pewien?

- Co do tego nie mam wątpliwości. Tak, była w ciąży. W piątym albo nawet w szóstym miesiącu. Nie dziwię się, że pan nie zauważył. To jest wyjątkowo mało widoczne.

Grabicki podziękował lekarzowi i zwrócił się do porucznika.

- Gdzie jest pani Nowacka?
- Czeka w sąsiednim pokoju.

Maria już nie płakała. Była spokojna, ale jeszcze bardzo blada. Palila papierosa.

Grabicki usiadł i przez chwilę przyglądał się w milczeniu młodej kobiecie. Wreszcie powiedział:

- Czy pani czuje się na siłach odpowiadać na moje pytania?

Skinęła głową.

- Tak. Czuję się na siłach. Jestem lekarką.

- Proszę mi powiedzieć, kim była dla pani denatka? Z pani zachowania wnioskuję, że to był ktoś bliski.

- To była moja przyjaciółka, koleżanka ze studiów.

- Ach, więc także była lekarką.

- Tak. Wczoraj wróciła z zagranicy. Miałam wyjechać po nią na lotnisko, ale nie mogłam. Zajęta byłam w szpitalu. Umówiliśmy się na dzisiaj i...

- Czy można wiedzieć, skąd pani przyjaciółka wróciła?

- Magda przez kilka lat pracowała jako lekarka w Afryce, wpraw w Egipcie, a potem w Algierii.

Grabicki przesiadł się z krzesła na fotel i ulokował się wygodniej. Nie miał zaufania do tych nowoczesnych krzesłek i zydełków.

- Więc pani umówiła się z przyjaciółką na dzisiaj.

- Tak. Na dzisiaj, na czwartą. Przyjechałam zaraz po skończeniu pracy w szpitalu.

- Kto wiedział o tym spotkaniu?

- Kto? - Maria była trochę zaskoczona pytaniem. - Bo ja wiem. Różnym ludziom mówiłam, że Magda przylatuje z Algieru, a właściwie z Paryża, bo zatrzymała się parę dni w Paryżu.

- Ale konkretnie komu pani powiedziała o tym, że ma

pani zamiar dzisiaj o szesnastej odwiedzić swą przyjaciółkę? -
nastawał Grabicki.

Maria robiła wrażenie zniecierpliwionej.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie pamiętam.

Grabicki westchnął.

- No dobrze. Niech pani spróbuje sobie przypomnieć.
Wrócimy jeszcze do tej sprawy. A teraz proszę mi powiedzieć,
czy pani pierwsza znalazła zwłoki?

- Chyba tak. Gdyby ktoś inny znalazł, to przecież
zawiadomiłby natychmiast milicję.

- Niekoniecznie. Ale mniejsza o to. Załóżmy, że pani
pierwsza znalazła zwłoki. Proszę mi powiedzieć, jak się pani
dostała do mieszkania, do tego mieszkania?

- Drzwi były zamknięte tylko na klamkę.

- Najprzód pani dzwoniła, a później nacisnęła pani
klamkę. Tak?

- Właśnie tak było.

- Doskonale. A teraz może mi pani powie, jakie stosunki
łączyły panią ostatnio z denatką?

- Mówiłam już przecież, że to była moja przyjaciółka.

- To już słyszałem. Chodzi mi o to, jakie w ostatnich
czasach panowały między paniami stosunki. Czy w dalszym
ciągu przyjacielskie?

- Oczywiście. Zresztą, jak już wspomniałam, Magda
siedziała w Afryce i przez wiele lat nie miałyśmy ze sobą
kontaktu.

- Ale zapewne korespondowały panie?

- Bardzo rzadko. Obie byłyśmy zbyt zajęte, żeby pisać
listy.

- Czy pani może ma jakieś listy swojej przyjaciółki?

- Nie. Nie mam zwyczaju przechowywać listów. Czytam i
niszczę.

- Czy w ostatnich listach nie było czegoś takiego, co by pomogło nam w wyświetleńiu tej zbrodni?

- Nie, Magda nic takiego nie pisała.

- Nie pisała, że ma jakichś wrogów, że się kogoś obawia, że z jakichś względów nie ma ochoty wracać do kraju?

- Nie. Absolutnie nic takiego nie pisała.

- Hm. - Grabicki przeczesał palcami siwiejącą czuprynę. -

A czy pani wie, że pani przyjaciółka była w ciąży?

Maria aż się poderwała.

- Magda? W ciąży? To niemożliwe.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Lekarz stwierdził. Cięża, i to dosyć zaawansowana, piąty albo szósty miesiąc.

- Nieprawdopodobne. Nic mi o tym nie pisała.

- Widocznie miała jakieś swoje powody, żeby przyjaciółki nie informować o tej sprawie - powiedział wolno Grabicki i zamyślił się. - A czy pani może się domyśla, kto był ojcem?

Maria zawahała się.

- Trudno mi na ten temat coś powiedzieć. To są takie osobiste sprawy...

- Oczywiście - przytaknął Grabicki. - Ale może pani wie o kimś? O ile się orientuję, to pani przyjaciółka nie była mężatką.

- Nie.

- A czy miała zamiar wyjść za mąż?

- Wiem tylko tyle, że miała narzeczonego.

Grabicki spojrział z zainteresowaniem.

- To już jest jakaś konkretna informacja. A czy pani wie kim jest ten narzeczony?

- To pilot, którego Magda poznała w Afryce. Nazywa się Piotr Szczerbiński.

- I pani przypuszcza, że ten pilot...?

Maria energicznie potrząsnęła głową.

- Ja nic nie przypuszczam, proszę pana. Skąd mogę wiedzieć, z kim Magda sypiała w Algierze? Wiem tylko tyle, że zakochała się w Piotrze. Więc chyba z nim. Ale czy to wiadomo.

- Czy pani przyjaciółka pisała do pani z Algieru, że zakochała się w tym pilocie?

- Nie. Nie pisała.

- To skąd pani o tym wie? - padło szybkie pytanie. Maria zmieszana się.

- Skąd pani o tym wie? - powtórzył Grabicki.

- Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

- Przykro mi, ale zmuszony jestem nalegać, żeby pani odpowiedziała na to pytanie.

Maria zrozumiała, że popełniła błąd, i że nie może się już z tego wycofać.

- Nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie - nalegał Grabicki. - Proszę mi powiedzieć od kogo dowiedziała się pani, że Magdalena Wysznacka zakochała się w Piotrze Szczerbińskim.

- Od mojej przyjaciółki, od Joanny.

- Kto to jest ta pani Joanna?

- Dziennikarka. Przyjaźnimy się od dawna.

- Może mi pani podać jej nazwisko?

- Oczywiście. Markowska, Joanna Markowska.

- Więc od niej dowiedziała się pani, że Magdalena Wysznacka i Piotr Szczerbiński...?

- Tak.

- A można wiedzieć, w jaki sposób pani Markowska weszła w posiadanie tego rodzaju informacji?

- Ponieważ Joanna była narzeczoną Piotra.

- Zaraz... zaraz... - Grabicki pomyślał, że w tej chwili przydałby mu się jakiś napar pobudzający działalność mózgu,

choćby nawet szklanka mocnej herbaty. - Niezupełnie rozumiem. Przed chwilą powiedziała pani, że ten pilot Szczerbiński był narzeczonym Magdaleny Wyszackiej, która została zamordowana. Więc skąd tu Joanna Markowska?

- To proste. Początkowo Piotr był narzeczonym Joanny, a następnie zerwał z nią i zaręczył się z Magdą.

Grabicki pokiwał głową.

- Teraz nareszcie rozumiem. Czy pani Joanna Markowska ciężko przeżyła to rozstanie?

- Raczej tak - odpowiedziała ociągając się Maria. Doskonale zdawała sobie sprawę, jakim torem potoczają się teraz rozważania jej rozmówcy. I nie omyliła się.

- Czy mogłaby mi pani pokrótce scharakteryzować swoją przyjaciółkę, panią Joannę Markowską?

- Nie bardzo się orientuję o co panu chodzi? - Maria usiłowała zyskać na czasie.

- Och, to chyba proste - uśmiechnął się z życzliwą wyrozumiałością Grabicki, który wiedział doskonale, że to jest gra na zwłokę. - Chodzi mi o to, aby mi pani zechciała nakreślić zupełnie ogólną charakterystykę swojej przyjaciółki. Jaka ona jest? Czy opanowana, czy też wybuchowa, skłonna do gniewu? Czy ma zwyczaj długo pamiętać o przykrych sprawach? A może posiada jakieś szczególne cechy, pozwalające mocniej narysować jej strukturę psychiczną?

- Jednym słowem chciałby się pan ode mnie dowiedzieć czy Joanna byłaby zdolna do popełnienia morderstwa, tak?

- Nie chciałem tej sprawy tak bezpośrednio precyzować - powiedział Grabicki takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

Maria ściągnęła brwi.

- Nie traćmy słów na próżno. Po co to całe owijanie w bawełnę. Przecież właśnie o to panu chodzi.

Grabicki robił wrażenie jakby trochę zakłopotanego.

- Widzi pani... Rozpoczynam śledztwo w sprawie morderstwa, dokonanego na osobie Magdaleny Wyszackiej, która była pani przyjaciółką. Liczę na pani współpracę. Przecież ja absolutnie nic nie wiem o zmarłej. Już otrzymałem od pani wiele bardzo cennych informacji. Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, jakie mogły być ewentualne motywy tej zbrodni. Dlatego tak się wypyuję o panią Markowską, która miała pewien powód, aby...

- Więc dobrze - zdecydowała się Maria. - Scharakteryzuję Joannę. Bardzo zdolna, inteligentna, energiczna, przedsiębiorcza, z dużym temperamentem, ciesząca się powodzeniem u mężczyzn. To prawda, że bywa w pewnych sytuacjach wybuchowa, ale jestem absolutnie przekonana, że nie jest zdolna do popełnienia morderstwa, tym bardziej sztyletem.

- Co pani chce przez to powiedzieć „tym bardziej sztyletem”?

- No po prostu... Joanna nie znosi posługiwać się nożem. Nieraz rozmawialiśmy na ten temat, że ona nie mogłaby być chirurgiem i krajać żywego człowieka. Kiedyś byłam świadkiem, jak nie mogła zarznąć kurczaka. Musiałam jej pomóc. Są tacy ludzie, którzy w jakimś bardzo silnym podnieceniu mogą do kogoś strzelić z pistoletu czy z dubeltówki, ale nie nożem...

- Ale z braku broni palnej... - mruknął Grabicki.

- Nie, nie... - zaprotestowała z ożywieniem Maria. - Ja doskonale rozumiem, że w tej sytuacji Joanna może być podejrzana, ale zaręczam panu, że ona tego nie zrobiła. Absolutnie wykluczone. I jeżeli pańskie dochodzenie pójdzie w tym kierunku, to będzie fałszywy trop.

Grabicki uśmiechnął się.

- Przede wszystkim chciałbym rzecz sprostować. Ja,

przynajmniej na razie, absolutnie nikogo nie podejrzewam i nie mam najmniejszego zamiaru iść w żadnym kierunku. To byłoby trochę za prędko, proszę pani. Obecnie znajduję się na etapie zbierania zupełnie ogólnikowych informacji. Dlatego też proszę się nie niepokoić o swoją przyjaciółkę. Porozmawiam z nią oczywiście, ale mogę panią zapewnić, że jej nie zaaresztuję ani nie postawię w stan oskarżenia. A teraz chciałbym pani zadać jeszcze takie pytanie: Kto wyjechał po panią Magdalenę Wysznaćką wczoraj na lotnisko? Bo wspomniała pani, że pani nie mogła.

- Tak. Byłam do późna zajęta w szpitalu.
- Więc kto? Jak pani sądzi?
- Na pewno nie wiem, ale chyba Piotr. Wydaje mi się to najbardziej prawdopodobne.

- Tak. To brzmi logicznie - przyznał Grabicki. - Nie dzwoniła pani jeszcze do niego?

- Nie. Nie zdążyłam. Przede wszystkim zawiadomiłam milicję.

- Bardzo słusznie. Będę musiał porozmawiać z panem Szczerbińskim.

- To nie będzie takie trudne. Zaraz dam panu jego telefon.

- Będę pani bardzo wdzięczny. Poproszę także i o adres. Chciałbym również, żeby mi pani dała adres i telefon pani Joanny Markowskiej.

Maria wyjęła z torby notatnik i długopis. Grabicki czekał cierpliwie, rozglądając się po pokoju. Kiedy otrzymał zapisaną kartkę, powiedział:

- Chciałbym jeszcze z panią poruszyć sprawę noży.
- Noży? - zdziwiła się.
- Tak. Czy widziała pani ten sztylet, którym zapewne została zamordowana przyjaciółka pani?
- Widziałam.

- Czy sądzi pani, że pani Wyszacka mogła przywieźć z Afryki taki sztylet?

- Ależ oczywiście.

- A pan Piotr Szczerbiński?

- Też mógł. Ale jego chyba pan nie podejrzewa?

- Mówiłem już pani, że ja w ogóle nikogo o nic nie podejrzewam. - W głosie Grabickiego zadźwięczało ledwie dostrzegalne zniecierpliwienie. - Tak... To prawdopodobnie afrykański sztylet.

- Na pewno.

- Skąd ta pewność?

- Bo Konrad ma całą masę tego.

- Czy można wiedzieć, kto to jest Konrad?

- Konrad Zengier. Ten znany podróżnik. Musiał pan o nim słyszeć.

- Tak, owszem - powiedział bez przekonania Grabicki. - Czy pan Zengier jest dobrym pani znajomym?

- Bardzo dobrym.

- I sądzi pani, że mógłby wystąpić jako ekspert w sprawie tego sztyletu?

- Niewątpliwie. Przez ostatnich kilka lat Konrad dużo podróżował po Afryce. Jest zafascynowany Czarnym Lądem. Specjalizuje się w zagadnieniach afrykańskich. Ostatnio właśnie opowiadał nam o swojej tragicznej wyprawie w Algierii. Miałam się nawet spotkać z nim po południu, ale ponieważ umówiłam się z Magdą. Boże! To straszne. W żaden sposób nie mogę się pogodzić z tym, że Magda...

Grabicki odczekał chwilę i powiedział:

- Bardzo chciałbym pokazać ten sztylet panu Zengierowi.

Maria skinęła głową.

- To nie będzie takie trudne. Zadzwońię do niego i powiem, że pan chce się z nim skomunikować.

- Będę pani niezmiernie wdzięczny. Pan Zengier zapewne jest zbieraczem i przywiózł sobie z tych podróży po Afryce dużo różnej broni.

- O tak. Całe ściany zawieszono. Ma nawet takie długie strzelby arabskie. Niektóre pięknie inkrustowane. A tych różnych sztyletów, mieczy bez liku. I wspaniałe maski murzyńskie. No mówię panu, prawdziwe muzeum.

- Powiedziała pani, że pan Zengier „opowiadał nam o swojej tragicznej wyprawie w Algierii”. „Nam”, to znaczy komu?

- Konrad w każdy pierwszy wtorek miesiąca urządza u siebie takie towarzyskie spotkania, podczas których opowiada o swoich podróżach, ilustrując te opowiadania przezrociami, krótkometrażowymi filmami. To są bardzo interesujące wieczory.

- Nie wątpię - pokiwał głową Grabicki. - A czy pani Joanna Markowska bierze czasem udział w tych zebraniach towarzyskich?

- Oczywiście. Ostatnio była. Robiła zdjęcia. Fotografowała „zbrojownię” Konrada.

- To jednak interesuje się nożami i sztyletami.

- A pan znowu zaczyna podejrzewać Joannę zachnęła się Maria. - Zaręczam panu, że nie zdjęła sztyletu ze ściany, żeby nim zamordować Magdę. Przecież już tłumaczyłam...

- Dajmy temu spokój - przerwał Grabicki. - Ta rozmowa do niczego nas nie doprowadzi. Będę pani rzeczywiście wdzięczny za skontaktowanie mnie z panem Zengierem.

Podróżnik przyjął Grabickiego uprzejmie, ale dosyć oficjalnie. Uważnie obejrzał sztylet i zwrócił go swojemu gościowi.

- No cóż, panie kapitanie... Nie chciałbym sobie

uzurpować w tej sprawie kompetencji eksperta i dlatego...

- Słyszałem, że ma pan duże doświadczenie jeżeli chodzi o zagadnienia związane z Afryką - powiedział Grabicki.

Zengier skinął głową.

- Tak, niewątpliwie. Mam pewne doświadczenia. Od szeregu lat interesuję się tą częścią świata. To bardzo ciekawy teren, bardzo.

- Więc...?

- Więc jeżeli chodzi o ten sztylet, który pan mi przyniósł, to jest to broń bardzo popularna zarówno na terenie Egiptu jak Algierii i Maroka. Jak pan może na własne oczy stwierdzić, takich sztyletów wisi na moich ścianach kilka. Pewne różnice dają się zauważyć jedynie w wykonaniu rękojeści, ale i rękojeści bywają identyczne. Mam oczywiście na myśli elementy ozdobne. Arabowie zawsze lubowali się w ozdabianiu swych broni. Pochwy od szabel, pistolety, strzelby, miecze, sztylety. Wszystko to bogato inkrustowane, często złotem albo drogimi kamieniami. W zależności od stanu majątkowego właściciela. Czy to tym sztyletem dokonana została ta straszna zbrodnia, o której mi wspominała pani Nowacka?

- Tak.

- Mam nadzieję, że uda się panu odszukać sprawcę.

Grabicki rozłożył ręce.

- Zrobię, co w mojej mocy. Na razie śledztwo jest w stadium początkowym. Trudno coś konkretnego powiedzieć.

- Rozumiem. Oczywiście. Czy chciałby pan otrzymać ode mnie jeszcze jakieś dodatkowe wyjaśnienia?

- Chciałbym zapytać, czy pan zna Piotra Szczerbińskiego?

- Tego pilota, który był narzeczonym zamordowanej?

- Tak. Właśnie o niego mi chodzi.

- Bo ja wiem... - Zengier zmarszczył brwi, jakby pragnąc

sobie przypomnieć. - Być może, że się kiedyś z nim zetknąłem. Nazwisko nie jest mi obce. Ale nie pamiętam. Tylu różnych ludzi spotyka się. Rozmawiał pan już z nim?

- Jeszcze nie. Dzwoniłem do niego. Prosiłem, żeby przyjechał do mnie, do komendy. - Grabicki spojrzął na zegarek. - Na mnie już czas. Bardzo panu dziękuję za informację.

Zengier wstał.

- Drobiazg. Nie ma o czym mówić.

Robił wrażenie człowieka bardzo przygnębionego.

- Niech pan siada - powiedział Grabicki. - Proszę wybaczyć, że ściągnąłem pana do komendy o tak spóźnionej porze, ale zaistniały znane panu zapewne okoliczności.

- Tak. Wiem.

- Od kogo się pan dowiedział o tragicznej śmierci pani Magdaleny Wyszackiej?

- Od milicjanta, którego zastałem pod jej drzwiami i który mi powiedział, żebyśmy się zgłosili do pana do komendy.

- A pani Maria Nowacka nie telefonowała do pana? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może i telefonowała. Nie było mnie w domu.

- Z tego, co pan mówi, wynika, że porucznik Stasiewicz także nie zastał pana w domu. Prosiłem go, żeby pana odnalazł i żeby pana zaprosił do nas, do komendy.

- Nie widziałem się z porucznikiem Stasiewiczem.

- Tylko z tym milicjantem, przed drzwiami mieszkania denatki?

- Tak. Mówiłem już, że właśnie od niego się dowiedziałem.

- Szedł pan do pani Magdaleny Wyszackiej.

- Tak. Umówiłem się z nią na osiemnąstą.

- Jest pan zdenerwowany - powiedział Grabicki, jakby sam siebie pragnął utwierdzić w stanie ducha swego rozmówcy.

- Czy pana to dziwi?

- Bynajmniej. Uważam to za zupełnie naturalne. Może woli pan odłożyć naszą rozmowę na inny dzień? Chociaż ja wolałbym teraz. Jeżeli oczywiście stan pańskich nerwów...

- Przecież pan widzi, że jestem zupełnie spokojny i opanowany.

- To świetnie - ucieszył się Grabicki, któremu coraz mniej się podobał człowiek siedzący po drugiej stronie biurka. - Wobec tego może zaczniemy od początku.

- Od jakiego „początku”?

- Od chwili, kiedy pan poznał tragicznie zmarłą Magdalenę Wyszacką.

- Poznaliśmy się w Afryce, w Algierii.

- W jakich okolicznościach?

- Ja jestem z zawodu pilotem. Przez pewien czas przebywałem służbowo w Algierii. Pilotowałem samoloty i helikoptery sanitarne. Magda była lekarką. Często się zdarzało, że lataliśmy razem. Odwiedzała osady tubylców. Taka doraźna pomoc lekarska. Czasem w nagłym wypadku odstawialiśmy pacjenta do najbliższego szpitala.

Grabicki pokiwał głową.

- Tak. Rozumiem. A kiedy mniej więcej po raz pierwszy spotkał się pan z panią Wyszacką?

- Dokładnie nie pamiętam, ale chyba rok temu, może trochę dawniej.

- Czy to prawda, że zostawił pan tutaj, w kraju, narzeczoną?

- Tak, to prawda - padła niechętna odpowiedź. - Ale zerwałem.

- Czy pani Wyszacka wiedziała, że miał pan w kraju narzeczoną?

- Czy musi pan zadawać mi tego rodzaju pytania? To są bardzo osobiste sprawy.

Grabicki twardo spojrział na mówiącego.

- Niech pan sobie wyobrazi, że ja muszę zadawać panu tego rodzaju pytania. Mam wrażenie, iż zapomina pan o tym, że zostało popełnione morderstwo na osobie pańskiej narzeczonej.

Szczerbiński poruszył się niecierpliwie.

- Więc o co pan pytał?

- Pytałem, czy pani Wyszacka, zaręczając się z panem, wiedziała, że pan zostawił w kraju narzeczoną?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. Nie wiedziała. To była moja osobista sprawa i nie uważałem za stosowne żeby ją o tym informować.

- Pani Wyszacka zapewne pisywała do pana z Algierii?

- Pisywała.

- Czy powiadomiła pana, że jest w ciąży?

- Nie. Dowiedziałem się dopiero po jej przyjeździe.

- Pan wyjechał po nią na lotnisko?

- Tak.

- I w drodze z lotniska powiedziała panu, że jest w ciąży.

- Tak.

- Jak pan na to zareagował?

Wzruszenie ramion.

- A jak miałem zareagować? Nie rozumiem.

- Chciałem się dowiedzieć, jak pan przyjął tę wiadomość?

Czy się pan ucieszył? Czy może doznał pan jakichś innych uczuć?

- Mnie tam takie rzeczy nie imponują - skrzywił się Szczerbiński. - Dziecko każdy potrafi zrobić.

- Czy pan jest całkowicie pewien, że to było pańskie dziecko?

Roześmiał się hałaśliwie.

- Co za pytanie? Magda miałaby mnie zdradzać? Ona szalała za mną. - Nagle spowaźniał. - Podobno ojcostwo nigdy nie jest pewne. Zresztą w tej chwili to chyba nie ma znaczenia.

- Rzeczywiście. W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia - przyznał Grabicki. - Ale kiedy pan się dowiedział, że pani Wyszacka jest w ciąży, to już pan nie miał odwrotu.

- Nie rozumiem.

- Chcę przez to powiedzieć, że pan się musiał z nią ożenić - wyjaśnił Grabicki i natychmiast wyczuł jakby pewne wahanie swego rozmówcy.

- No tak... oczywiście... Byłbym się z nią ożenił. Inaczej nie mogłem.

Grabicki pokiwał głową.

- No właśnie. Inaczej pan nie mógł.

Szczerbiński uważnie spojrzał na mówiącego.

- Nie mam pojęcia do czego pan zmierza, panie kapitanie. Co znaczą te jakieś dziwne niedomówienia, insynuacje?

- Dotychczas nie zauważyłem, żebym operował niedomówieniami, czy insynuacjami - uśmiechnął się Grabicki.

- Raczej powtarzam pańskie słowa.

- Ale robi pan to w taki sposób... Mniejsza z tym zresztą. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- A czy pan się bardzo spieszy?

- Raczej tak.

Grabicki spojrzał na zegarek.

- Rzeczywiście jest dosyć późno. Będę się streszczał. Chciałbym ustalić pewne fakty dotyczące wczorajszego i dzisiejszego dnia.

- O jakie fakty panu chodzi?
- A więc wyjechał pan wczoraj na lotnisko po panią Wyszacką.

- Już to mówiłem.
- Czy ma pan własny wóz.
- Tak. Mam „Fiata 125”.
- I zawiózł pan panią Wyszacką do jej mieszkania.
- Oczywiście. A gdzie miałem ją zawieźć?
- Czy nigdzie nie wstępowaliście po drodze?
- Nie. Pojechaliśmy wprost do mieszkania Magdy. Była bardzo zmęczona.

- Wszedł pan na górę.
- Tak. Pojechaliśmy windą. Zaniósłem jej walizy. Były dosyć ciężkie.

- Czy długo pozostał pan w mieszkaniu Wyszackiej?
- Może z godzinę.
- Czy rozpakowywała się w pana obecności?
- Częściowo. Chciała mi wręczyć prezenty, które mi przywiozła.

- Czy można wiedzieć jakie to były prezenty?
- Dwa krawaty z Paryża, szalik, pasek do spodni. Takie różne drobiazgi.

- A z Algieru żadnego prezentu panu nie przywiozła?
- Nie. Wiedziała przecież, że te algierskie towary nie są dla mnie atrakcyjne. Siedziałem tam tyle czasu.

- Czy pani Wyszacka nie przywiozła jakiejś egzotycznej broni.

- Broni?
- Chodzi mi o sztylety. Sztyletem została zamordowana.
- O! Nie wiedziałem. Nie, nie pokazywała mi żadnego sztyletu. Może miała w tej drugiej walizce.

- Czy pan się jakoś umówił z panią Wyszacką?

- Tak. Umówiliśmy się, że z rana, to znaczy dzisiaj rano, zatelefonuję do niej i że wtedy ustalimy godzinę spotkania.

- I zatelefonował pan?

- A dlaczego miałbym nie zatelefonować? Oczywiście że zatelefonowałem. Umówiliśmy się na dzisiaj, na szóstą.

- Dlaczego tak późno?

- Magda nie mogła wcześniej. Była zajęta.

- Proszę pana - powiedział stanowczo Grabicki - bardzo bym chciał, żeby pan mi dokładnie powtórzył tę rozmowę telefoniczną.

Szczerbiński wzruszył ramionami. - Tu nie ma nic do powtarzania. Rozmawialiśmy ze sobą bardzo krótko.

- Dlaczego tak „bardzo krótko”?

- Ponieważ Magda miała u siebie gościa.

- Tak z samego rana?

- Sam byłem zdziwiony.

- I nie mówiła kto ją odwiedził o tak wczesnej porze?

- Powiedziała tylko, że to jakiś znajomy Algieru.

Nazwiska nie podała.

- A pan nie zapytał?

- Ja mam taki zwyczaj, że jeżeli mi ktoś sam czegoś nie mówi, to się nie dopytuję.

- Bardzo słuszny zwyczaj - pochwalił Grabicki. - Po co zmuszać ludzi do niepotrzebnych kłamstw. No dobrze... Z rana pani Wyszacka miała gościa, ale przecież mogliście się umówić na obiedzie. Po tak długiej rozłące nawet wypadało pójść razem na obiad.

Szczerbiński skinął głową.

- Ma pan rację. Chciałem, ale Magda powiedziała, że w południe jest z kimś umówiona i pewnie z tym kimś zje obiad, a o czwartej miała do niej przyjść Maria.

- I nie był pan zazdrosny, że pańska narzeczona ciągle z

kimś się umawia? - zdziwił się Grabicki.

Pilot roześmiał się.

- Zazdrosny? Ja? Niech mi się pan dobrze przyjrzy, panie kapitanie. Czyja wyglądam na mężczyznę, który mógłby być zazdrosny o jakąkolwiek kobietę? Nie wchodzi w rachubę.

Grabicki puścił to oświadczenie mimo uszu. Już od pewnego czasu orientował się z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia.

- Więc umówił się pan z panią Wyszacką na godzinę osiemnastą?

- Tak.

- Gdzie mieliście się spotkać?

- Miałem przyjść do niej. I właśnie...

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Grabicki.

Wszedł porucznik Stasiewicz. Miał trochę speszoną minę.

- Może przeszkadzam?

- Nie, nie, wejdźcie - zachęcił go Grabicki. - Dobrze, żeście przyszli. Przy okazji zapoznam was z panem Szczerbińskim.

Krótki uścisk dłoni. Stasiewicz zauważył, że pilot miał spoconą rękę.

- Właśnie, panie kapitanie, szukałem pana Szczerbińskiego, ale nie zastałem go w domu i przypuszczając, że zechce odwiedzić panią Wyszacką...

- Wiem, wiem - przerwał Grabicki. - Pan Szczerbiński mi powiedział.

- Zostawiłem wiadomość sierżantowi Pastusiakowi.

- W porządku. - Grabicki spojrzał na Szczerbińskiego. - No..., nie będę już pana dłużej zatrzymywał. Dziękuję za rozmowę. Jeżeli jeszcze potrzebowalibyśmy jakichś wyjaśnień, to do pana zadzwonimy.

- Proszę bardzo.
- W najbliższym czasie nie wyjeżdża pan z Warszawy?
- Nie. Nigdzie się nie wybieram. Do widzenia.

Pilot pożegnał się i wyszedł energicznym sprężystym krokiem. Nie widać było po nim początkowego przygnębienia.

Grabicki zatrzymał magnetofon. - Nie podoba mi się ten facet - powiedział krzywiąc się. - Bardzo mi się nie podoba.

- Czy myśli pan, panie kapitanie, że...?
- Na razie nic nie myślę. Zresztą o tym wszystkim pogadamy sobie innym razem. Teraz musimy zabrać się do roboty.

- Do roboty? - zdziwił się porucznik.

- Oczywiście. Przecież nie zdążyliśmy jeszcze solidnie przeszukać mieszkania Wyszackiej. Specjalnie zostawiłem tam Pastusiaka, żeby komuś nie przyszło do głowy zatrzeć jakieś ślady czy też zabrać jakieś listy.

- Badania daktyloskopijne zostały dokładnie przeprowadzone - zauważył porucznik.

Grabicki machnął ręką.

- Odciski palców to jeszcze nie wszystko. Oczywiście, że w niektórych wypadkach to bardzo cenny materiał dowodowy, ale czasami tak się zdarza, że człowiek zupełnie niewinny zostawi swoje linie papilarne tam gdzie nie trzeba. No..., ale nie traćmy czasu. Jedziemy.

Sierżanta Pastusiaka zastali na posterunku. Ustawił sobie pod drzwiami składane krzeselko, z którym się nigdy nie rozstawał, i czytał jakiś „kryminał”. Był to mężczyzna czterdziestokilkuletni, średniego wzrostu, mocno zbudowany, grubokościsty. Twarz okrągła, rumiana, sugerowała pogodne usposobienie. I rzeczywiście, nikt nigdy nie widział, żeby Pastusiak czymś się martwił czy był przygnębiony. W

najtrudniejszych sytuacjach życiowych zwykł mawiać: „Jest źle, ale mogłoby być gorzej. Grunt się nie przejmować”.

- Czy nikt się nie chciał zobaczyć z Wysznacką? - spytał Grabicki.

- Nikt, obywatelu kapitanie.

- W porządku. Czy mielibyście ochotę pomóc nam w przeszukaniu mieszkania?

- Właśnie o tym myślałem.

- Miewacie bardzo rozsądne myśli. Chodźmy.

Przeszukanie niewiele dało. Widać było, że mieszkanie od dawna jest niezamieszkałe i że jego właścicielka była w trakcie rozpakowywania swych solidnie wyglądających waliz. Sukienki, spodnie, bielizna, kosmetyki, najrozmaitsze drobiazgi, suszarka do włosów, słowem wszystko, co kobieta zabiera ze sobą, udając się w dalszą podróż. W drugiej walizce były książki, papiery, listy oraz różne narzędzia i przybory lekarskie. Poza lancetami żadnych noży ani sztyletów.

Grabicki zainteresował się korespondencją. Było parę listów z Warszawy, podpisanych Maria, dwa listy od Piotra, także z Warszawy, i jeden list pisany po francusku i podpisany Ali Selim Tahelen.

Grabicki nie znał francuskiego. Zwrócił się do porucznika.

- Zdaje mi się, kolego, że wy parlez franse.

- Owszem, mówię po francusku - przytaknął Stasiewicz.

- To może przetłumaczycie tę epistołę.

- O, jaki wytworny papier listowy! - zachwycił się porucznik i zaczął tłumaczyć:

List zaczynał się niezwykle pretensjonalnymi zachwykami nad urodą Magdaleny. Takie sformułowania jak: „Najcudniejszy ze wszystkich kwiatów świata”. „Nigdy niegasnąca gwiazdo”, „Królowo moich snów”, „Boska zjawo” powtarzały się po kilka razy. Potem następowały równie

patetyczne wyznania miłosne. A na zakończenie pojawiły się groźby. „Odrzuciłaś moją miłość. Wiedz, że to jest uważane w naszym rodzie za bardzo ciężką zniewagę. Jeszcze żadna kobieta nie ośmieliła się mnie odtrącić. Wiem, że jedziesz do swojego kraju, do Warszawy. I ja także będę w Warszawie i zażądam od ciebie ostatecznej decyzji, Biada ci, jeśli nie zgodzisz się zostać moją żoną. Strzeż się. Kocham cię i będziesz moją albo niczyją”. Ali Selim Tahelen.

Grabicki ze zdumieniem spojrział na porucznika.

- Czy jesteście pewni, że dobrze zrozumieliście ten tekst?

- Oczywiście - zapewnił żywo porucznik. - Znam dobrze język francuski. Moja matka jest rodowitą Francuzką. Przetłumaczyłem wszystko, słowo po słowie, bardzo dokładnie.

- Zdumiewające - pokręcił głową Grabicki. - Zupełnie jak z jakiegoś szmirowatego filmu. Wprost trudno w to wszystko uwierzyć.

- Ludzie Wschodu uwielbiają kwiecisty styl - zauważył Stasiewicz.

Grabicki ciągle jeszcze nie mógł ochłonąć z wrażenia.

- Bajka z tysiąca i jednej nocy, jak mi Bóg miły. To jest numer nie z tej ziemi.

- To jest numer z kraju szejków i maharadzów - dodał porucznik. - Co robimy z tym fantem? Nie jest wykluczone, że ten Ali Selim Tahelen przebywa jeszcze w Warszawie.

- Właśnie - przytaknął Grabicki, który przestał się dziwić i przystąpił do konkretnego działania. - Trzeba natychmiast zawiadomić wszystkie punkty graniczne, porty oraz lotniska. Musimy tego szejka za wszelką cenę zatrzymać, jeżeli oczywiście już nie przysnął. Ja się zaraz tym zajmę, a wy pobjeżajcie po hotelach. Może wam się uda znaleźć gdzieś faceta.

- Czy mam go sprowadzić do komendy? - spytał porucznik.

- Byłoby bardzo dobrze, ale taka możliwość wydaje mi się mało prawdopodobna. Jeżeli to rzeczywiście jakiś szejk, to odmówi, a siłą nie możemy go brać.

- Zabierzcie ze sobą na wszelki wypadek Pastusiaka. Gdyby wam się udało znaleźć tego Araba, to niech go Pastusiak pilnuje. A wy zaraz się ze mną komunikujcie.

- Mam dzwonić do komendy?

- Tak. Będę siedział w komendzie do późnej nocy. Chciałbym jeszcze porozmawiać z pierwszą narzeczoną Szczerbińskiego.

- Z Joanną Markowską? Z tą dziennikarką?

- Właśnie.

- Nabieramy cholernego tempa - uśmiechnął się porucznik.

Grabicki przyjacielsko poklepał go po ramieniu.

- Tak trzeba, kolego, tak trzeba. W podobnych sytuacjach szybkie działanie to połowa sukcesu. Najlepiej rozpracowywać sprawę na gorąco.

Joanna oglądała program telewizyjny, popijając koniak. Telefon zadzwonił parokrotnie zanim podniosła słuchawkę. Posłyszała męski głos o przyjemnym brzmieniu.

- Mówi kapitan Grabicki z komendy milicji. Bardzo przepraszam, że panią niepokoję o tak niezwykłej porze. Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

- Nie.

- To doskonale. Chciałbym z panią zamienić kilka słów.

- Teraz?

- Gdyby to było możliwe... Możemy oczywiście odłożyć naszą rozmowę do jutra rana, ale...

Chwila wahania.

- Właściwie to już wolę to odbyć teraz, zaraz.
- Bardzo dziękuję. Czy mam przyjechać do pani, czy też przysłę po panią wóz i przyjedzie pani do komendy?
- Ani jedno, ani drugie. Przyjadę do pana moim nowym „Fiatem 126”. Za jakieś pół godziny.
- Dobrze. Czekam.

Grabicki musiał przyznać, że dziewczyna była bardzo efektowna i świetnie ubrana.

Joanna podała rękę, nie patrząc na niego, usiadła i zapaliła papierosa. W jej zachowaniu wyczuwało się pewną agresywność.

- A więc podejrzewa mnie pan o zamordowanie Magdaleny Wyszackiej - powiedziała wprost, nie czekając na żadne pytania ani wstępne uprzejmości.

Grabicki energicznie potrząsnął głową.

- Jest pani w błędzie. O nic nie podejrzewam ani pani, ani nikogo innego.
- Więc w jakim celu chciał pan ze mną rozmawiać?
- To chyba proste. Zamordowano panią Magdalенę Wyszacką, a pani była jej przyjaciółką.

Roześmiała się.

- A to kapitalne. Przyjaciółką?
- Być może, że ta przyjaźń należy do przeszłości - powiedział spokojnie Grabicki, nadając swemu głosowi jak najbardziej życzliwe brzmienia. - A propos. Kto panią poinformował o tej zbrodni.
- Maria Nowacka do mnie dzwoniła. Zna ją pan.
- Tak. Miałem przyjemność poznać panią Nowacką. To właśnie ona nas zawiadomiła o tym co się zdarzyło.
- Więc...? - Joanna zgasiła niedopalonego papierosa.
- Więc chciałbym pani zadać parę pytań. Oczywiście

jeszcze raz przepraszam, że trudzę panią o tak nieodpowiedniej porze, ale...

- Dajmy spokój tym wszystkim uprzejmościom - ucięła krótko. - Czego pan się chce ode mnie dowiedzieć?

- Czy to prawda, że pani była narzeczoną Piotra Szczerbińskiego?

- Tak. Ale już nieaktualne. Rzucił mnie dla Wyszackiej.

- Która była kiedyś pani przyjaciółką.

- Już dawno nieaktualne. Okazała się moim najgorszym wrogiem.

- Dlaczego właściwie obarczyła pani całą odpowiedzialnością za to co się stało Wyszacką?

- Bo w tego rodzaju sprawach wszystko zależy od kobiety. Omotała go ta...

- Proszę nie mówić źle o zmarłych - upomniał Grabicki.

- Zrobiła mi świństwo, cholerne świństwo, wiedziała przecież doskonale, że ja i Piotr...

- Ale pan Szczerbiński także miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Bo gdyby nie chciał...

- Nienawidzę go. Nienawidzę z całej duszy! Podły drań.

- Eee... - próbował łagodzić Grabicki. - Po co takie mocne słowa, Wydaje mi się, że nazbyt się pani ekscytuje. W obecnej sytuacji nie jest przecież wykluczone, że znowu coś się nawiąże między wami.

Joanna aż się poderwała ze swojego miejsca.

- Nigdy! Słyszysz pan? Nigdy! Ja z tym człowiekiem nie chcę mieć absolutnie nic wspólnego. To się skończyło raz na zawsze. Nienawidzę go! To łajdak. I gdybym tylko mogła...

Grabicki pomyślał, że Nowacka dosyć trafnie scharakteryzowała tę dziewczynę. To była rzeczywiście wybuchowa natura, zdolna gwałtownie kochać, gwałtownie

nienawidzić i zdolna do gwałtownych czynów.

- Kiedy pani dowiedziała się o tym, że pan Szczerbiński postanowił z panią zerwać?

- Napisał do mnie z Algieru.

- Czy pani już wtedy wiedziała o jaką kobietę chodzi?

- Nie. Tego mi nie napisał.

- I dopiero kiedy wrócił do Warszawy...

- Tak. Dopiero po powrocie zobaczył się ze mną i powiedział, że to Magda... Byłam taka wściekła, że myślałam, że go zabiję.

- Dobrze, że pani tego nie zrobiła. Proszę mi powiedzieć, od kogo pani się dowiedziała o przyjeździe pani Wyszackiej?

- Od Marii.

- Czy pani Maria Nowacka podała pani dokładny dzień przyjazdu pani Wyszackiej?

- Tak. Prosiłam ją o to.

- Dlaczego pani zależało na tej informacji?

Joanna jakby się trochę zmieszala.

- Specjalnie mi nie zależało...

- Skoro pani prosiła o to panią Nowacką...

- Wiedziałam, że Piotr po nią wyjedzie swoim wozem na lotnisko.

- I co z tego?

- Bo ja wiem. Właściwie... Ja także chciałam pojechać na lotnisko, zobaczyć ich razem, zobaczyć ich powitanie... Chciałam powiedzieć im co o nich myślę. To głupie, ale czasem człowiek ma takie idiotyczne myśli.

- I pojechała pani?

- Ale skądże. Przecież to było śmieszne, nie miało żadnego sensu. Oczywiście, że nie pojechałam.

- Czy widziała się pani z panią Wyszacką po przyjeździe do Warszawy?

- Nie. Kiedyż miałam się z nią widzieć? Wczoraj przyleciała, a dzisiaj ktoś ją zamordował.

- Pani Wyszacka z samego rana i w południe miała jakichś gości u siebie. Sądziłem, że to może z panią się umówiła.

- A jednak pan mnie podejrzewa. Nie, nie byłam u niej rano ani w południe.

- A może pani rozmawiała z nią telefonicznie?

- Nie.

- Czy jak się pani dowiedziała, że Szczerbiński zerwał z panią, to napisała pani jakiś list do pani Wyszackiej?

Joanna wyjęła nowego papierosa.

- Nie. Początkowo miałam ochotę, ale zrezygnowałam.

- A czy pani miała zamiar zobaczyć się z panią Wyszacką po jej przyjeździe do Warszawy?

- Oczywiście. Musiałam jej przecież powiedzieć co o niej myślę.

- Czy dawno pani zna panią Marię Nowacką?

- O, już kilka lat się znamy. Dawno. Przyjaźnimy się. To jest prawdziwa moja przyjaciółka. Ona nigdy by takiej rzeczy nie zrobiła.

- I zna pani zapewne tego podróżnika, pana Zengiera?

- Bardzo dobrze. Bywam u niego. To niezmiernie interesujący człowiek.

- Rzeczywiście. Niezmiernie interesujący człowiek - przytaknął Grabicki. - Posiada imponującą kolekcję broni, pochodzącej z różnych stron świata, a szczególnie z Afryki. Widziała pani te strzelby, miecze, sztylety?

- Oczywiście.

- Zapewne pan Zengier nie pozwala gościom dotykać swych zbiorów, zdejmować ze ścian...

Joanna spojrzała uważnie na mówiącego.

- Zdaje się znowu zaczyna mnie pan podejrzewać o to zabójstwo. Przyszła panu „genialna” myśl do głowy, że ja ukradłam Zengierowi jeden z jego sztyletów i nim wykończyłam Magdę.

- Proszę pani... - powiedział poważnie Grabicki. - Może pani przez chwilę zechce się postawić w moim położeniu. Została zamordowana kobieta, której pani nienawidziła z całego serca. Jednocześnie wiedziała pani dokładnie o dniu jej przyjazdu do Warszawy. Poza tym jest pani osobą niezbyt opanowaną, impulsywną, wybuchową. Jak pani się zdaje? Kogo mam podejrzewać w tej sytuacji?

- Ja jej nie zabiłam. Gdybym nawet miała ochotę to zrobić, to w żadnym wypadku nie nożem. Brzydzę się noży.

- Więc jednak miała pani. ochotę to zrobić - stwierdził spokojnie Grabicki.

- A co pan sobie wyobraża?! - wykrzyknęła porywczo. - Najlepsza moja przyjaciółka zabiera mi podstępnie człowieka, którego kocham, którego kochałam. W takiej sytuacji każdy chciałby się zemścić. W pewnych momentach człowiek przestaje panować nad sobą. Różne myśli wtedy przychodzą do głowy. Czy nigdy pan nie słyszał o zbrodniach popełnianych w afekcie?

Grabicki pokręcił głową.

- Oczywiście, że zdarzają się różne rzeczy. Wydaje się jednak, że pani zbyt dużą odpowiedzialnością obarcza tragicznie zmarłą panią Wysznacką. Przecież, jak już zresztą wspominałem, gdyby narzeczony pani, pan Szczerbiński, nie wyraził zgody na ten związek, siłą by go przecież nie zmusiła, żeby z panią zerwał.

W oczach Joanny błysnęła zawziętość.

- O, ja się jeszcze na nim odegram.

- Wie pani co? - Głos Grabickiego zabrzmiał pełną

wyrozumiałości ojcowską nutą. - Chciałbym pani coś zaproponować. Może przestałaby pani myśleć już o całej tej sprawie. Niech pani zrezygnuje z myśli odgrywania się na swoim byłym narzeczonym. Chyba już dosyć. Myślę, że powinno pani wystarczyć, że rywalka została zamordowana. Nie trzeba być tak strasznie mściwym. To niedobre uczucie.

- Sam pan powiedział, że ten łajdak także ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

- I podtrzymuję to, co powiedziałem. Ale z tego bynajmniej nie wynika, bym panią namawiał do zemsty na tym człowieku. Ostatecznie to wszystko są ludzkie sprawy. Nie pani pierwsza i nie ostatnia, którą porzucił narzeczony. Naprawdę, nie można być tak zawziętą. Szczerze pani radzę. Niech pani spojrzy na moje siwe włosy. Mógłbym być pani ojcem. Bardzo panią proszę, niech pani nie myśli o zemście, o „odgrywaniu” się. To paskudne uczucie.

- A co mnie obchodzą pańskie siwe włosy? - zachnęła się Joanna. - Pan nic nie wie nic nie rozumie. Trzeba znać dokładnie szczegóły całej sprawy, żeby wydawać sądy. Niech pan nie usiłuje moralizować. Przed chwilą zrobił pan na mnie wrażenie prowincjonalnego proboszcza. Mnie tego rodzaju rady są zupełnie niepotrzebne. Zapewniam pana. Sama wiem, co robić. A zresztą czy pan nie słyszał o tym, że zemsta jest rozkoszą bogów?

Grabicki rozłożył ręce.

- No... Skoro pani zalicza się wprost do bogiń, to bardzo przepraszam - nie przewiduję kontaktów z Olimpem.

- Więc co będzie? - spytała Joanna.

- Z czym?

- No ze mną. Czy mnie pan chce aresztować?

- Aresztować? Panią? - zdziwił się Grabicki. - Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Więc po co to wszystko? Po co ta cała rozmowa?
- Po pierwsze, chciałem panią poznać. A poza tym uzyskałem od pani szereg cennych informacji.
- Jakież to informacje?
- O, to jest tajemnica służbowa. A teraz... chciałbym panią jeszcze o coś zapytać. Ponieważ pani, swego czasu, pozostawała w przyjacielskich stosunkach z panią Wyszacką, to oczywiście zna pani o wiele lepiej jej środowisko aniżeli ja. Czy pani nie domyśla się, kto mógł popełnić tę zbrodnię?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Absolutnie nie.
- Czy nie sądzi pani, że ta sprawa może się wiązać w jakiś sposób z terenem Algierii?
- Nie mam pojęcia. Nigdy w Algierii nie byłam i nie wiem jakie kontakty mogła tam mieć Magda. Wiem tylko tyle, że właśnie w Algierii poznała Piotra.
- Latali razem helikopterem sanitarnym.
- Tak. Od tego się zaczęło.
- A czy na terenie kraju pani Wyszacka nie miała jakichś wrogów? Czy nie wie pani o kimś, komu mogłoby zależeć na jej śmierci? Może jakieś sprawy rodzinne, sprawy finansowe, spadkowe?

- Nie wiem o niczym takim. Wiem, że rodzice Magdy się rozeszli. Jej matka mieszka stale w Krakowie, a ojciec gdzieś za granicą. Nie słyszałam nigdy, żeby w jej rodzinie byli jacyś bogaci ludzie, którzy mieliby ochotę zostawić spadek. Wydaje mi się, że motyw na tle spraw finansowych odpadają.

- A gdyby pani była na moim miejscu, to kogo by pani podejrzewała o popełnienie tej zbrodni?

- Siebie, oczywiście - odpowiedziała bez wahania. - Tego chyba nie muszę panu podpowiadać. Zresztą na ten „genialny” pomysł już pan dawno sam wpadł. Przyznaję, że motyw

zbrodni istnieją, tylko oprócz motywów muszą być także i dowody, albo przyznanie się do winy sprawcy.

- Zdarzają się tak zwane procesy poszlakowe - zauważył Grabicki.

- Czy pan przewiduje taką ewentualność?

- Z tym pytaniem raczej niech się pani zwróci do prokuratora.

- Być może, że skorzystam z pańskiej rady, panie kapitanie. Sądzę jednak, że pan będzie usiłował zebrać jakiś materiał dowodowy i że znajdzie pan rzeczywistego mordercę albo morderczynię. Czy możemy uważać naszą dzisiejszą rozmowę za zakończoną?

- Możemy uważać naszą rozmowę za zakończoną - przytaknął Grabicki. - Chciałbym tylko prosić, żeby pani przez pewien czas nie opuszczała Warszawy.

- Zastosuję się do pańskiego życzenia. Dobranoc.

Po wyjściu Joanny Grabicki westchnął głęboko i zaparzył sobie rumianku z miętą. Miał zamęt w głowie.

Podczas gdy Grabicki przeprowadzał rozmowę z krewką dziennikarką, porucznik Stasiewicz wyruszył na poszukiwanie autora owego tchnącego zapachem pustyni listu. Nie spodziewał się, że osiągnie taki łatwy i szybki sukces. Okazało się bowiem, że Ali Selim Tahelen zajmuje apartament w hotelu „Forum” i że na razie nie ma zamiaru nigdzie wyjeżdżać, a tym bardziej uciekać.

Stasiewicz nie bardzo wiedział jak ma postąpić. Recepcjonista poinformował go, że arabski gość odebrał klucz i pojechał windą na górę.

- Dawno?

- Z godzinę temu.

Było już dwadzieścia po jedenastej. Pora nieco spóźniona na

składanie wizyt. Stasiewicz zadzwonił do Grabickiego, który kazał mu spróbować. - Żadne ryzyko - powiedział. - Najwyżej was nie przyjmie, a sprawa jest na tyle ważna, że nie może mieć pretensji, choćbyście go nawet obudzili. A poza tym ci południowcy późno chodzą spać.

Rozumowanie Grabickiego okazało się słuszne, Ali Selim Tahelen nie spał i natychmiast odebrał telefon. Zdziwiła go tak późna wizyta milicji, ale poprosił porucznika do siebie na górę.

Stasiewicz, od chwili przeczytania tego niezwykle kwiecistego listu, miał przed oczami wspaniałego syna pustyni, dosiadającego szybkiego jak wiatr rumaka. Imponująca wysoka postać, burnus, pas wysadzany drogim kamieniami, a za pasem równie ozdobne sztylety. Śniada pociągła twarz i gorejące niezwykłym płomieniem oczy. Jednym słowem bohater orientalnych opowieści.

Jakież było zdumienie i zaskoczenie porucznika, gdy zobaczył niskiego, tłustego jegomościa, posilającego się czekoladą Wedla. Szlachetne rysy syna pustyni utonęły w nadmiarze tkanki tłuszczowej, a dwa solidne podbródki niweczyły ostatecznie romantyczną wizję. Jedyne oczy, ogromne, koloru złotawego brązu, miały rzeczywiście płomienny blask.

Ali Selim Tahelen dźwignął się z pewnym wysiłkiem z fotela i w sposób dość ceremonialny powitał gościa. Mówił dobrze po francusku, więc mogli porozumieć się bez trudu.

Stasiewicz, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, przedstawił się i pokazał swą legitymację służbową.

Arab nie spojrzał na legitymację. Wskazał fotel i powiedział:

- Proszę, niech pan siada, panie poruczniku. Miło mi, że pan zechciał mnie odwiedzić. Czy można czymś pana poczęstować? Mam whisky, koniak, trochę słodczy...

Stasiewicz podziękował.

- Nie ma pan ochoty na słodycze? - zdziwił się Ali Selim Tahelen. - Mam chałwę, daktyle, figi, rachatlukum.

- Nie jadam słodyczy. Merci bien...

- Źle pan robi, że pan nie jada słodyczy, bardzo źle. Słodycze wzmacniają działalność mózgu oraz zainteresowanie kobietami. Obie te sprawy są niezmiernie ważne dla mężczyzny. Dla kobiet mniej. Kobiecie niepotrzebna jest działalność mózgu. Nadmiernie rozwinięty intelekt jest wrogiem kobiecego wdzięku. Bo trzeba panu wiedzieć...

Stasiewicz doszedł do wniosku, że już najwyższy czas przerwać ten dziwny wykład. Odchrząknął i powiedział:

- Przyszedłem do pana w bardzo ważnej sprawie.

- W jaki sposób może pan mieć do mnie bardzo ważną sprawę, jeżeli się w ogóle nie znamy?

- Czy nazwisko Magdalena Wyszacka - mówi coś panu? Twarz syna pustyni rozjaśniła się szczerym zachwytem.

- To wspaniała kobieta! - wykrzyknął z ożywieniem. - Niezwykła, piękna, oszałamiająca, jak najlepsze wino, pełna czaru, uroku, niezwykłego wdzięku. Madmoiselle Wyszacka zostanie moją najukochańszą żoną.

- Obawiam się, że nie zostanie pańską żoną - powiedział spokojnie Stasiewicz.

- A to dlaczego? Kto się ośmieli przeszkodzić mi w tym?

- Pani Magdalena Wyszacka nie żyje. - Stasiewicz odetchnął głęboko. - Została zamordowana.

Arab zerwał się z fotela tak sprężyście, jakby mu nagle ubyło kilkanaście kilogramów.

- Co takiego? Co pan powiedział? Zamordowana? Magdalena? To niemożliwe.

- Niestety to prawda - pokiwał głową Stasiewicz. - Właśnie w sprawie tej zbrodni jestem u pana.

Ali Selim Tahelen z powrotem opadł na fotel i machinalnie sięgnął po czekoladę, ale ją zaraz odłożył.

- Dlaczego do mnie przyszedł pan w tej sprawie? - spytał cicho.

- Nie ja prowadzę to śledztwo - wyjaśnił Stasiewicz. - Jestem tylko siłą pomocniczą, asystentem. Wolałbym, żeby mój szef, kapitan Grabicki, przeprowadził z panem tę rozmowę. Czy zechciałby pan pojechać ze mną, do komendy?

Arab energicznie potrząsnął głową.

- Nie. Jeżeli ktoś chce się ze mną zobaczyć, to przyjeżdża do mnie. Chyba pan to rozumie?

- A czy pan jest skłonny teraz rozmawiać z kapitanem Grabickim?

- Jestem skłonny - padła lakoniczna odpowiedź.

Stasiewicz podszedł do telefonu i połączył się z komendą. Natychmiast posłyszał znajomy głos. Grabicki błyskawicznie przyjechał do „Forum”. I on także był nieco zaskoczony aparycją syna pustyni, ale oczywiście nie dał tego poznać po sobie. Uścisnął pulchną, ciepłą dłoń i usiadł.

Obyło się bez wszystkich wstępnych uprzejmości i nie było mowy o zbawiennym działaniu słodyczy. Stasiewicz wziął na siebie obowiązki tłumacza.

Grabicki, nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy. Wyjął z teczki list, znaleziony w mieszkaniu Magdaleny Wyszackiej, i podał go Arabowi.

- Znaleźliśmy to w rzeczach pani Wyszackiej. Czy pan pisał ten list?

Ledwie dostrzegalny uśmiech przesunął się po tłustej twarzy.

- Oczywiście, że ja. Czyżby panowie, na podstawie tego listu sądzili, że to ja zamordowałem Magdalene?

Grabicki odebrał list i troskliwie ulokował go w teczce.

- W pańskim liście znajdują się groźby wysunięte pod adresem tragicznie zmarłej pani Magdaleny Wyszackiej. Dlatego też pozwoliliśmy sobie niepokoić pana o tak późnej porze.

Znowu ten sam nieco drwiący uśmiech.

- I na podstawie tego listu podejrzewacie mnie o popełnienie tej zbrodni?

- A czy pan uważa, że nie mamy powodu do tego rodzaju podejrzeń? - odparował Grabicki.

Ali Selim Tahelen ciągle się uśmiechał. Mogło się wydawać, że bawi go ta sytuacja.

- Ależ panowie, to jest po prostu façon de parler. My, ludzie Wschodu, mamy może skłonności do pewnej egzaltacji. Tego, co mówimy i co piszemy, nie należy brać tak bardzo dosłownie, tak poważnie. Gdyby wszystkie te groźby, które padają na pierwszym lepszym targowisku w Egipcie, w Algierii czy Tunisie, miały być realizowane, to byłibyśmy świadkami nieustającej masakry.

Grabicki uważnie wysłuchał tego, co przetłumaczył porucznik. Nie wyglądał na przekonanego.

- Jak dawno poznał pan panią Wyszacką?

- O, to już chyba przeszło dwa lata.

- I naprawdę nosił się pan z zamiarem poślubienia jej?

- To było moim najszczerzym marzeniem. Uczyniłbym ją szczęśliwą. Jestem bardzo bogatym człowiekiem. Miałyby wszystko, pałace, stroje, klejnoty, służbę. Nie musiałyby jeździć do tych śmierdzących wiosek, żeby leczyć tę hołotę.

- W jakim celu przyjechał pan do Polski? - spytał Grabicki.

- Chciałem odwiedzić wasz kraj, chciałem zobaczyć się z Magdaleną, a poza tym miałem zamiar nawiązać stosunki handlowe.

- Czy można wiedzieć jakie towary pana interesują?
- Różne. W Algierze posiadam dużą firmę eksportowo-importową. Właściwie nie muszę się zajmować takimi sprawami. Jestem dość bogaty, żeby prowadzić luksusowy tryb życia bez żadnych firm. Ale handel mnie bawi. To moje hobby. I dlatego nie likwiduję firmy. Poza tym, prowadząc sprawy handlowe, mam pretekst do tego, żeby podróżować, nawiązując interesujące kontakty z ludźmi.

Grabicki pokiwał głową.

- Rozumiem. Jak dawno przebywa pan w Polsce?
- Jestem tu już chyba trzeci tydzień. Podoba mi się wasz kraj.

- A czy nawiązał pan jakieś kontakty handlowe z naszymi centralami?

- Jeszcze nie zdążyłem. Dotychczas zabawiałem się w turystę.

- Od kogo zdobył pan tę informację, że pani Wyszacka przylatuje do Warszawy?

Arab przymknął oczy i cmoknął wargami.

- Ja mam bardzo dobry wywiad, panie kapitanie, bardzo dobry. Gdybym nie posiadał dobrych informacji to być może już bym dawno nie żył.

- A to dlaczego? - zainteresował się Grabicki. Ali Selim Tahelen spoważniał.

- To nie należy do sprawy - uciął energicznie. - Straszne, że wspomniała kobieta... Trudno mi w to uwierzyć. Nieustannie mam ją przed oczami. Kto mógł być sprawcą takiej potwornej zbrodni?

- Grabicki wyjął z teczeki sztylet.

- Na rękojeści tego sztyletu wyryte są litery A-S-T. Mogłyby to być pańskie inicjały.

- To jest mój sztylet - powiedział bez wahania Tahelen.

- Pański? - zdziwił się Grabicki. - Czy być może? Niech pan sobie wyobrazi, że ten sztylet znaleźliśmy w mieszkaniu pani Magdaleny Wyszackiej.

Arab nie wygłądał na speszzonego tą wiadomością.

- To nic dziwnego. Takich sztyletów z moimi inicjałami mam kilkadziesiąt. Robię z nich prezenty moim znajomym i przyjaciółom. Taki drobiazg ozdabia ścianę, albo może służyć do cięcia papieru. Miła pamiątka.

- Czy mam przez to rozumieć, że taki sztylet podarował pan pani Wyszackiej?

- Tak, Ofiarowałem sztylet Magdalenie. Na pamiątkę. Chciałem jej ofiarować brylantową kolię, ale nie przyjęła.

- Hm... - Grabicki miał zafrasowaną minę. - Widzi pan... sprawa się o tyle komplikuje, że ten sztylet znaleźliśmy przy ciele zamordowanej, a dokładna sekcja zwłok wykazała, że zbrodni dokonano właśnie tą bronią. Klinga dokładnie pasuje do zadanej rany. Oczywiście mógłby to być identyczny sztylet.

- Więc jednak podejrzewacie mnie o zabicie Magdaleny?

- A czy w tej sytuacji, znajdując się na moim miejscu, nie miałby pan pewnych wątpliwości? - spytał Grabicki

Ali Selim Tahelen przez chwilę w milczeniu kiwał głową.

- Panie kapitanie - powiedział wolno i cicho - jest pan niemłodym już człowiekiem i zapewne posiada pan duże doświadczenie w tego rodzaju sprawach. Czy pan sobie wyobraża, że ja, zabijając tę kobietę, pozostawiłbym sztylet z moimi inicjałami przy jej ciele? To przecież absurd.

- W podnieceniu emocjonalnym popełnia się różne, najbardziej bezsensowne błędy. - zauważył Grabicki. - W każdym razie zmuszony jestem pana prosić o nieopuszczanie Warszawy przed wyjaśnieniem tej sprawy.

- Co takiego? - oburzył się Arab. - Wyjadę kiedy będzie mi się podobało.

- Niech pan mnie nie zmusza do tego. Żebym pana zatrzymał w areszcie - powiedział Grabicki.

- Aresztować? Mnie? Czy pan zdaje sobie sprawę z tego co pan mówi? Ja jestem obywatelem brytyjskim.

- To nic nie szkodzi. Obywateli brytyjskich także zamykamy od czasu do czasu.

Ali Selim Tahelen wstał, dając tym do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną.

Pułkownika Michała Kazanowskiego nazywano powszechnie „człowiekiem o żelaznych nerwach”. Nigdy nie podnosił głosu, nie krzyczał, nie klął, nie walił pięścią w stół, w żadnej sytuacji nie tracił zimnej krwi i stoickiego spokoju. Nic, ale to absolutnie nic nie potrafiło wyprowadzić go z równowagi. Jego pociągła, śniada twarz miała niezmiennie ten sam jednakowy, nieprzenikniony wyraz i niepodobna było z niej wyczytać ani gniewu, ani radości, ani w ogóle jakiegokolwiek uczucia.

Cieszył się dużym autorytetem wśród podwładnych, których trzymał silną ręką, wprowadzając niemal wojskową dyscyplinę. Bano się go. Bano się tego cichego, beznamiętnego głosu. Jeżeli ktoś coś przeszkrobał, to stokroć wolałby, żeby szef mu solidnie nawymyślał, żeby go sklął od ostatnich. Ten niezwykły spokój, brak choćby cienia irytacji działał na winowajcę paraliżująco. Wszyscy też starali się, żeby do takich „zasadniczych” rozmów nie dochodziło.

W całej komendzie może tylko jeden Grabicki orientował się, że to są tylko pozory. Znali się z Michałem od wielu lat, przyjaźnili się, byli ze sobą po imieniu i wiedzieli o sobie o wiele więcej aniżeli inni koledzy po fachu. Grabicki na przykład doskonale wiedział, że szef jest człowiekiem niesłychanie nerwowym, wrażliwym, łatwo wpadającym w

różnego rodzaju stany emocjonalne i tylko dzięki olbrzymiemu wysiłkowi woli potrafi sobie wyrobić opinię „człowieka o żelaznych nerwach”. To była jego mozolnie wykuta tarcza, za którą krył się przed ludźmi. Pracował znakomicie. Miał niesłychanie żywy, analityczny umysł, zdolność błyskawicznego kojarzenia faktów i wyciągania logicznych wniosków. Jednocześnie był dobrym psychologiem. Bardzo szybko potrafił „rozgryźć” swego rozmówcę. Jednym słowem idealny oficer śledczy.

- Jak się czujesz? - spytał na wstępie Grabicki.

Pułkownik skrzywił się.

- Jak ja się mogę czuć? Żołądek. Zgaga mnie piecze.

Grabicki pokiwał głową współczująco.

- Oj ten żołądek, ten żołądek. Nieregularnie się odżywasz, Michał. To wszystko przez to. Ja bym ci radził, żebyś przez jakiś czas popił sobie szakłaku. Może być odwar z owoców. Dwie łyżki zalać szklanką wrzątku, albo odwar z kory. Też dobre. Ale na dwie łyżki kory szakłaku dwie szklanki wrzątku i trzeba gotować z piętnaście minut. Czekaj... czekaj... Przy twojej nadkwasocie to nawet może być lepszy prawoślaz. Spróbuj jedno i drugie. Zobacysz. Nic nie ryzykujesz. Siemię lniane także doskonałe na nadkwasotę. To są indywidualne sprawy. Trzeba spróbować.

Kazanowski skrzętnie zanotował wskazania lekarskie i odłożył długopis.

- No dobrze. A teraz może byśmy porozmawiali o tym morderstwie.

- Bardzo chętnie - zgodził się Grabicki. - Chociaż przy nadkwasocie to nie jest temat, który mógłbym polecić.

- Przeczytałem twój wstępny raport. - powiedział pułkownik. - Przesłuchałem taśmy. A teraz chciałbym wiedzieć, co ty o tym myślisz.

Grabicki wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nic nie myślę.
- Nie masz jakiejś swojej koncepcji, hipotezy?
- Jeszcze nie.
- Trochę za dużo tych podejrzanych.

- Właśnie - podchwycił Grabicki. - Tak jakoś dziwnie ci podejrzani wpadają w nasze ręce. Najprzód Joanna, teraz znowu ten Arab.

- Co myślisz o tej dziewczynie?

- No cóż... Bardzo pobudliwa, nieopanowana, łatwo poddająca się stanom emocjonalnym.

- Sądzisz, że mogłaby?

- Sądzę, że mogłaby. Ale to jest taka czysto rozumowa dedukcja, oparta wyłącznie na strukturze psychologicznej tej dziennikarki. Biorąc sprawę tak na wycucie, to ja nie bardzo wierzę, żeby to ona.

- Motyw zbrodni istnieje.

- Zupełnie wyraźny - przytaknął Grabicki. - Odbiła jej chłopaka...

- Odbiła narzeczonego swojej serdecznej przyjaciółce - uzupełnił pułkownik. - To niewątpliwie musiało wpłynąć na pogłębienie uczucia nienawiści. Tylko to trochę za szybko. Tak zaraz po przyjeździe tej lekarki...

- Otóż to - skrzywił się Grabicki. - Mnie też ta sprawa cały czas nurtuje. Ta zbrodnia została dokonana w błyskawicznym tempie. Wyszacką zamordowano na drugi dzień rano czy w południe po przylocie do Warszawy. Morderca bardzo się spieszył. Dlaczego?

- Może dlatego, żeby Wyszacka nie zdążyła czegoś komuś powiedzieć - zasugerował pułkownik - albo czegoś dostarczyć.

Grabicki z dużym zainteresowaniem spojrzął na przyjaciela.

- To bardzo ciekawe co mówisz.
- Jakbyś ze mną częściej rozmawiał to może dowiedziałbyś się wielu ciekawych rzeczy - uśmiechnął się Kazanowski. - Ale żarty na bok. Co sądzisz o tym „szjku”?

- To niewyraźny typ. Na dobrą sprawę mielibyśmy podstawy, żeby go przymknąć.

Pułkownik potrząsnął głową.

- Nie, tego nie zrobimy. Przynajmniej na razie.
- A jak facet spłynie?
- Nie ma obawy. Nawet nie będzie próbował. Doskonale zdaje sobie sprawę, że w razie próby ucieczki natychmiast do pułda. Na to jest za cwany, żeby ryzykował. Z tego, co napisałeś w raporcie, wynika, że na rękojeści sztyletu nie znaleziono żadnych odcisków palców.

- Żadnych. A co jeszcze ciekawsze to fakt, że na klinkie ani śladu krwi.

Kazanowski pokręcił głową zamyślony.

- Dziwna historia. To wszystko jakoś nie trzyma się kupy.
- Robi to takie wrażenie jakby ten sztylet ktoś podrzucił przy zwłokach swej ofiary - zauważył Grabicki.

- Masz rację - zgodził się pułkownik. - Tylko kto i w jakim celu. Żeby rzucić podejrzenie na tego Araba? Ale w takim wypadku ten ktoś musiałby się doskonale orientować w tych wszystkich powiązaniach. No bo przecież trudno sobie wyobrazić, żeby morderca po zabiciu tej kobiety dokładnie wytarł sztylet, a następnie położył go przy zwłokach. Dlaczego nie miałby zabrać ze sobą narzędzia zbrodni i pozbyć się, go później, wrzucając go choćby do Wisły?

- Otóż to - Grabicki wstał i przeszedł się po pokoju. - Ale z drugiej strony weź pod uwagę, że bardzo szczegółowa sekcja zwłok wykazała, że klinga tego sztyletu idealnie, pasuje do zadanej rany.

- Wyjaśnienie jest zupełnie proste - powiedział pułkownik.
- Może tu wchodzić w grę identyczny sztylet. Jeżeli ten Arab na prawo i na lewo rozdaje takie pamiętki... À propos, w jakim języku ty z nim rozmawiałeś?

- On mówił po francusku, a Stasiewicz tłumaczył.

- Jak tam sprawuje się ten chłopak?

- Zupełnie nieźle. Bystry, solidny w robocie. Jeszcze oczywiście zielony, ale się wyrobi. Uważam, że będą z niego ludzie.

- To mnie cieszy - powiedział pułkownik. - Mnie od razu wydał się do rzeczy. Robi bardzo sympatyczne wrażenie. Chciałbym, żebyś się nim zaopiekował.

- Trup zrobił na nim wrażenie - uśmiechnął się Grabicki. - Ale nic dziwnego. To jego pierwszy trup. Przyzwyczai się. Co proponujesz?

Kazanowski podrapał się za uchem.

- Cóż ja mogę proponować? Pozostawiam ci całkowicie wolną rękę. Rób co możesz. Chociaż nie... Zaczekaj... Miałbym pewną propozycję. Uważam, że powinniśmy zebrać trochę więcej informacji o tym naszym szejku. À propos. Czy on rzeczywiście jest szejkiem?

Grabicki wzruszył ramionami.

- Diabli go wiedzą. Chyba nie. Tak go nazwałem. Ale masz rację. Warto by się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

- Skontaktuj się z tym podróżnikiem.

- Mówisz o Zengierze?

- Tak. Facet dłuższy czas siedział w Algierii. Może coś słyszał o tym Arabie, albo może zna go osobiście.

- To jest myśl - zgodził się Grabicki. - Pogadam z nim. No to chyba zakończyliśmy naszą dzisiejszą „odprawę”. Myślę, że mogę cię pożegnać.

Pułkownik zatrzymał go ruchem ręki.

- Jeszcze chwileczkę. Nie mówiliśmy o tym pilocie.
- O Szczerbińskim? A cóż tu jest do mówienia?
- Nie traktujesz go jako ewentualnego kandydata na mordercę?

- Nie widzę motywów.
- Czasami motywy zbrodni wypływają zupełnie niespodziewanie - powiedział Kazanowski. - Musisz wziąć pod uwagę fakt, że facet porzuca narzeczoną i zaręcza się z lekarką. Nie jest wykluczone, że sobie wykombinował, że lekarka to lepszy interes aniżeli postrzelona dziennikarka. Nie znam faceta, ale z tego, co o nim wiem, to wydaje mi się, że tego typu rozumowanie jest w jego przypadku zupełnie prawdopodobne. A jeżeli tutaj namotał sobie jakąś bogatą babkę i narzeczoną w ciąży była mu bardzo nie na rękę...?

- Chcesz z niego zrobić łajdaka i mordercę?

Pułkownik potrząsnął głową.

- Nie. Nie chcę robić z niego skończonego łajdaka. Rozważam tylko różne ewentualności.

- Dobrze. Porozmawiam z Zengierem i jeszcze raz spróbuję się czegoś dowiedzieć od tego pilota. Pozwolisz, że się odmelduję?

- Pozwolę - zgodził się pułkownik. - Więc jak mówisz? Albo szakłak, albo prawosłaz. Ale właściwie co radzisz?

- Zaczynj od siemienia lnianego. Codziennie na czczo. Cześć.

Wróciwszy do siebie, Grabicki pogrążył się w głębokiej zadumie. Rozmowa z szefem dała mu dużo do myślenia. Cała ta sprawa była o wiele bardziej skomplikowana aniżeli mogłoby się to pozornie wydawać. Nie, to nie było takie proste. Wszystkie te poszlaki... Ktoś musiał znać dokładnie datę przyjazdu Wyszackiej do Warszawy. Poza tym ten ktoś bardzo się spieszył z popełnieniem morderstwa. Zaraz na drugi

dzień... Michał ma rację. To rzeczywiście robi takie wrażenie, jakby morderca się bał, że Wyszacka coś komuś powie, coś kompromitującego, obciążającego. A może rzeczywiście Szczerbiński...? Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Stasiewicz.

- Cześć - Grabicki serdecznie przywitał się z porucznikiem. - Jak leci? Macie może coś do mnie?

- Nic specjalnego. Przyszedłem, żeby się zameldować i czekam na dalsze instrukcje.

- Najchętniej wręczyłbym wam nakaz aresztowania mordercy Magdaleny Wyszackiej - uśmiechnął się Grabicki. - Ale, niestety. Jeszcze za wcześnie. Musimy poczekać.

- Czy mogę powiedzieć co myślę o tej sprawie? - spytał Stasiewicz.

- Ależ oczywiście. Mówcie. Może akurat wpadliście na jakiś genialny pomysł.

- Nie pretenduję do genialnych pomysłów - powiedział nieco urażony porucznik. - Ale mnie się wydaje, że zabójstwo tej kobiety należy chyba łączyć z jej pobytem w Algierii.

- Mamy do dyspozycji zakochanego Araba. Groził zemstą. Stasiewicz potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, żeby ten grubas był mordercą. Ten jego szmirowaty, afektowany list to chyba rzeczywiście skłonność do patosu cechująca ludzi Wschodu. Może się mylę, ale ten facet jakoś mi tu nie pasuje.

- A dziennikarka?

- Także nie. Jej absolutnie nie brałbym pod uwagę.

- Na razie nie mamy więcej kandydatów na morderców - zauważył Grabicki.

- Panie kapitanie. - Młody człowiek poprawił się na krześle. - Dużo myślałem o tej sprawie i doszedłem do następujących wniosków: po pierwsze, morderca musiał być doskonale poinformowany o dniu przyjazdu swej ofiary, a po

drugie, bardzo się spieszył, tak jakby się bał, że Wyszacka sypnie go.

- Brawo! - zawołał uradowany Grabicki.

- Wyobraźcie sobie, że do identycznych wniosków doszliśmy przed chwilą z pułkownikiem.

Stasiewicz zaczerwienił się z wrażenia.

- Naprawdę?

- Słowo daję. Dopiero co wróciłem od szefa. Mówiliśmy właśnie o tym, co w tej chwili słyszę od was. Jeżeli więc trzech ludzi, pułkownik, ja i teraz wy dochodzi do identycznych wniosków, to znaczy, że coś w tym jest, że nasze rozumowanie jest prawidłowe. Tylko teraz kto? O co chodzi?

- Ja bym podejrzewał Szczerbińskiego - powiedział porucznik. - On był tam, w Algierii, mocno związany z Wyszacką. Nie jest wykluczone, że dowiedziała się o jakichś jego machlojkach i bał się, że go skompromituje.

Grabicki pokiwał głową,

- To, co mówicie, ma ręce i nogi. Taką hipotezę można wysunąć. Trudno sobie tylko wyobrazić, żeby swoją narzeczoną, i w dodatku w ciąży... W głowie się nie mieści.

- To prawda. To byłaby koszmarna sprawa - przyznał Stasiewicz. - Ale przecież w historii kryminalistyki zdarzają się typy zwyrodnialców. Być może, że ponosi mnie fantazja, ale...

- Tak czy inaczej, Szczerbińskiego weźmiemy pod obserwację - powiedział Grabicki. - Musimy wiedzieć z kim się kontaktuje, czym się obecnie zajmuje, a może ma jakieś plany matrymonialne? Do tej roboty najlepszy będzie Pastusiak. On ma bystre oko. Nic nie ujdzie jego uwagi, a najważniejsze, że potrafi dyskretnie przeprowadzać takie sprawy. Trzeba mu oczywiście dać zmiennika, ale o tym pomyślimy później. Niezależnie od tego będę chciał jeszcze osobiście porozmawiać z tym pilotem. Może dowiem się

czegoś interesującego.

- A co z Arabem? - spytał porucznik.
- Nic. Pozwolimy mu w dalszym ciągu odżywiać się czekoladą. Natomiast nie pozwolimy mu wyjechać z Polski. Przynajmniej na razie.

Zengier był trochę zdziwiony powtórą wizytą przedstawiciela milicji, ale nie okazał ani zniecierpliwienia, ani niechęci. Przyjął Grabickiego bardzo uprzejmie. Poczęstował go kawą, dobrymi papierosami, wygłosił parę uwag na temat pogody, słowem zachował się jak przystało na człowieka obytego w świecie.

- Jakież nowe kłopoty, panie kapitanie?
- Właśnie. Proszę mi wybaczyć, że tak ciągle pana nachodzę, ale...
- Ależ to drobiazg - zapewnił uprzejmie Zengier. - Nie potrzebuje się pan usprawiedliwiać. Wiem, że prowadzi pan bardzo poważną sprawę i jeżeli tylko mogę być w czymś pomocny, to chętnie służę.

Grabicki podziękował, sięgnął ręką do teczki i wyjął sztylet znaleziony przy zwłokach.

- Pan mi już pokazywał ten sztylet - powiedział Zengier.
- Tak, ale wtedy nie zwróciliśmy uwagi na te inicjały A.S.T. Ten sztylet należał do Araba, który się nazywa Ali Selim Tahelen. Może, przebywając w Algierze, słyszał pan o nim.

Zengier wybuchnął śmiechem.

- Nie tylko słyszałem, ale doskonale znam tego wariata. Pozostawiliśmy nawet w przyjacielskich stosunkach. Ostatnio jednak obraził się na mnie, już nie pamiętam w tej chwili o co mu poszło.

- Więc zna pan tego człowieka?
- Doskonale. Rzeczywiście nie zwróciłem wtedy uwagi na

te inicjały, bo tak tylko pobieżnie spojrziałem na sztylet. Czyżby Ali był obecnie w Warszawie?

- Tak. Mieszka w „Forum”.

- A to dopiero - powiedział rozweselony podróżnik. - i nie zadzwonił do mnie. Najwidoczniej w dalszym ciągu hodzi w sercu urazę.

- Co pan może powiedzieć na temat tego Araba? - spytał Grabicki.

- W jakim sensie? - Zengier skrzywił się.

- No tak w ogóle. Co to za człowiek?

- Nie powinno się źle mówić o bliźnich.

- Ten sztylet został znaleziony przy zwłokach zamordowanej Magdaleny Wyszackiej - wyjaśnił Grabicki. - Dlatego pytam.

- Podejrzewa pan o tę zbrodnię Tahelena? Nonsens.

- W rzeczach Magdaleny Wyszackiej znaleźliśmy miłosny list pisany przez tego Araba. W tym liście były groźby. Zengier machnął ręką.

- Niech pan tego nie bierze poważnie, panie kapitanie. Ali Selim pisuje tego rodzaju listy prawie do każdej kobiety, która mu się trochę podoba.

- Taki kobieciarz?

- Za mało powiedziane. Ali Selim Tahelen jest znanym w Algierze erotomanem. To wprost chorobliwe.

- Podobno proponował pani Wyszackiej małżeństwo.

- Każdej to proponuje. Jeśli chodzi o kobiety to ma solidnego fioła. Naprawdę, panie kapitanie, niech pan tego poważnie nie traktuje. Szkoda czasu.

- Więc pan uważa, że Ali Selim Tahelen nie byłby zdolny do popełnienia morderstwa, do zamordowania tej kobiety?

- No cóż... Przyznam się, że na to pytanie trochę trudno mi odpowiedzieć z całą stanowczością. Nigdy właściwie nie

wiadomo co w człowieku siedzi i do czego jest zdolny, a jeśli chodzi o ludzi Wschodu, to ich reakcje dla nas, Europejczyków, bywają czasem zaskakujące. Jeżeli mam być szczery, to w podobnej sytuacji nie gwarantowałbym za żadnego Araba.

- A co pan jeszcze może powiedzieć na temat tego człowieka?

Zengier zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Co jeszcze? No cóż... Bystry, inteligentny, bardzo żywy temperament, rzutki w interesach handlowych, łatwo przechodzący z jednego nastroju do drugiego, poddaje się stanom emocjonalnym. A poza tym ma bzika na punkcie rozdawania wszystkim dokoła tych sztyletów ze swoimi inicjałami.

- I panu także podarował taki sztylet?

- Oczywiście.

- Można zobaczyć?

Zengier wstał i podszedł do ściany zawieszanej egzotyczną bronią.

- Ach nie... prawda - powiedział - przecież dałem ten sztylet Marii. To znaczy mojej narzeczonej. Chciała sobie coś takiego powiesić nad tapczanem. Jeśli panu na tym zależy...

Grabicki potrząsnął głową.

- Nie. Głupstwo. Chciałem po prostu porównać te dwa sztylety.

- Mogę pana zapewnić, że te sztylety są identyczne, tak zresztą jak wszystkie inne, którymi Ali Selim obdarowuje bliższych i dalszych znajomych.

- Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, jakiego rodzaju choroby najczęściej występują w Algierii?

Podróżnik w bezradnym geście rozłożył ręce.

- To nie moja branża, panie kapitanie. Ale, o ile się

orientuję, to wszelkiego rodzaju choroby skórne, malaria, zapalenie oczu, czerwonka. Jeżeli pana interesują te zagadnienia, to raczej powinien się pan skomunikować z jakimś lekarzem, specjalistą od afrykańskich wirusów.

- Czy na terenie Algierii nie zetknął się pan z lekarką Magdaleną Wyszacką?

Zengier przecząco pokręcił głową.

- Zdaje się, że już mnie pan o to pytał. Nie, nie spotkałem się z tą panią. Zresztą w ogóle jakoś nie miałem kontaktów ze sferami lekarskimi.

- A czy pan zna może Piotra Szczerbińskiego. Zawodowy pilot.

- Także mnie pan już o to pytał - odparł z pewnym zniecierpliwieniem Zengier. - Nie znam pana Szczerbińskiego.

- Bardzo przepraszam, że powtarzam moje pytania - uśmiechnął się z zakłopotaniem Grabicki - ale z tyloma osobami rozmawiam, że czasami zdarza mi się zapomnieć kogo o co pytałem.

- Ależ, nie potrzebuje się pan usprawiedliwiać, kapitanie - powiedział Zengier. - W pańskiej pracy to zupełnie zrozumiałe.

- Ma pan rację - przytaknął Grabicki. - W tej robocie bywają takie momenty, że człowiek ma kompletny mętlik w głowie. No..., ale już nie będę zabierał panu czasu. Serdecznie dziękuję za informacje.

- Zawsze do usług, kapitanie - skłonił się podróżnik.

Na drugi dzień z samego rana zameldował się sierżant Pastusiak. Jego pogodnie uśmiechnięta twarz świadczyła o tym, że jest zadowolony z siebie.

- Siadajcie - powiedział Grabicki, wskazując krzesło. - Jest co nowego?

Sierżant przyglądał dłońią zmierzwioną czuprynę.

- Jest, obywatelu kapitanie. Facet namotał sobie nadzianą babkę.

- Mówicie o tym pilocie, o Szczerbińskim?

- A o kimże innym bym mówił. Przecież właśnie jego obserwuję.

- No, to mówcie coście zaobserwowali.

- Spotyka się w kawiarniach z elegancką babką. Już nie pierwszej młodości, ale jeszcze się trzyma, jeszcze, jak to powiadają, na chodzie. Szykowna, bardzo elegancka, zagraniczne ciuchy, a na palcach takie brylanty, że aż oczy bołą patrzeć.

- I uważacie, że Szczerbiński z nią flirtuje?

- Tu nie ma co uważać, obywatelu kapitanie. Podrywa babę na cały regulator.

- Z czego to wnioskujecie?

Sierżant uśmiechnął się.

- To chyba nie takie trudne, obywatelu kapitanie. Facet babkę po rękach obcałowuje, w oczy jej zagląda, na ucho coś szepcze. Ona się śmieje. To co można myśleć? Chyba nie rozmawiają o produkcji traktorów.

- Chyba nie - zgodził się Grabicki. Lubił Pastusiaka za jego poczucie humoru. - Czy wiecie jak się nazywa ta sympatia Szczerbińskiego?

- Ma się rozumieć. Karolina Widzewska.

- Gdzie mieszka?

- Na Mokotowie, na Bokserskiej. Dwa pokoje z kuchnią. Ale to tylko takie jej warszawskie mieszkanie. Poza tym podobno ma jakieś majątności w Poznańskim, a prócz tego kamienice za granicą, wille.

- Majętności w Poznańskim? - zdziwił się Grabicki. - O czym wy mówicie?

- Powtarzam to, co usłyszałem od dozorczydni: Karolina

Widzewska jest właścicielką dużego gospodarstwa rybnego. Podobno około czterdziestu hektarów jezior, stawów, piękny dom, sad. Ciężka forsa. Ten pilot ma nosa.

- To prawda - przyznał Grabicki. - Ma nosa. To bardzo interesujące co mówicie.

Sierżant pokiwał głową.

- I mnie się właśnie także tak wydało. Czy mam w dalszym ciągu...?

- Tak, oczywiście. W dalszym ciągu obserwujcie tę parę i meldujcie mi o każdym ich spotkaniu. Postarajcie się także dyskretnie dowiedzieć czy pani Karolina Widzewska ma jakąś rodzinę, siostrę, brata, kuzyna...

Sierżant trzasnął obcasami.

- Tak jest.

W drzwiach Pastusiak minął się ze Stasiewiczem.

- No i cóż tam nasz Arab? - spytał Grabicki.

Porucznik uśmiechnął się.

- W porządku. Podrywa dziewczynki, obżera się słodyczami. Nie myśli o wyjeździe. Wygląda na to, że podoba mu się w Warszawie.

Grabicki pokiwał głową.

- To dobrze. Przed chwilą był u mnie Pastusiak. Przyniósł interesującą informację.

Stasiewicz z ogromną uwagą wysłuchał o nowym flircie Piotra Szczerbińskiego.

- Ta lekarka w ciąży była mu bardzo nie na rękę.

- Otóż właśnie - przytaknął Grabicki. - Bardzo nie na rękę.

Można by to nawet ewentualnie potraktować jako motyw zbrodni, tylko... Nie za bardzo mi to pasuje. Być może jednak, że się mylę. No cóż... zobaczymy. Jakbyście się, poruczniku, zapatrywali na to, żebyśmy we dwóch złożyli wizytę pani Karolinie Widzewskiej.

- Bardzo chętnie. To może być interesujące.

Przyjęła ich w jasnoniebieskim szlafroku, skromnie zapiętym pod szyję.

- Milicja? Co się stało? - W ciemnych oczach malowało się przerażenie. - Czy Piotr...? Mówcie, panowie, na miłość boską mówcie! Czy on żyje?

- Czy ma pani na myśli pana Piotra Szczerbińskiego? - spytał spokojnie Grabicki.

- Tak... tak... pytam o Piotra, o Piotra Szczerbińskiego. Co się z nim stało? Mówcie, panowie! Wolę najgorszą prawdę niż tę niepewność. - Była bliska ataku hysterii.

Grabicki nie ukrywał swojego zdziwienia.

- Nie rozumiem dlaczego pani jest taka zdenerwowana? - spytał biorąc ją łagodnie za rękę. - Proszę się uspokoić.

- Panowie są z milicji?

- Tak. Jesteśmy z milicji. - Powtórnie pokazali legitymacje służbowe. - Niechże się pani uspokoi. Nic się nie stało.

Wybuchnęła gwałtownym płaczem.

- Boże! Boże! Ja bym tego nie przeżyła. Ja bym tego nie przeżyła - powtarzała przez łzy.

Grabicki westchnął, poszedł do kuchni i po chwili wrócił niosąc pełną szklankę wody.

- Może się pani napije - zaproponował.

Chwyciła szklankę i pospiesznie wypiła parę łyków.

- Dziękuję.

Grabicki spojrział na oszołomionego tą sceną porucznika.

- Zadzwońcie po pogotowie.

Gwałtownie zatrzepotała rękami.

- Nie, nie, nie trzeba, nie trzeba. Proszę nie dzwonić!

- Czy pani już lepiej się czuje?

Skinęła głową. - Lepiej. Dziękuję - powiedziała z wysiłkiem. Sięgnęła ręką po szklankę i wypiła resztę wody. -

Dziękuję.

Grabicki odczekał chwilę, a kiedy wydało mu się, że sytuacja uległa pewnej poprawie, powiedział:

- Czy mogłaby nam pani wyjaśnić, co panią tak niepokoi? Dlaczego obawia się pani o życie Piotra Szczerbińskiego?

Wyjęła z kieszeni szlafroka batystową chusteczkę i zaczęła się nią wachlować.

- Zechcą mi panowie wybaczyć, ale ostatnio jestem straszliwie przewrażliwiona. Moje nerwy są w fatalnym stanie. Jak usłyszałam, że panowie są z milicji to wydało mi się, że coś się stało, coś bardzo złego. To oczywiście jest głupie, nie ma żadnego sensu. Zachowałam się zupełnie idiotycznie. Przepraszam. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Proszę się na mnie nie gniewać.

- Dlaczego obawia się pani o życie Piotra Szczerbińskiego? - powtórzył pytanie Grabicki.

- Nie wiem, sama nie wiem. Przestraszyłam się. Myślałam, że coś mu się stało.

- A co mu się mogło stać? - nie ustępował Grabicki.

- Nie wiem, dlaczego, ale wydało mi się, że coś się stało Piotrowi, że nie żyje

- A co mu się mogło stać? Jaki jest właściwie powód tego pani niepokoju?

Oburącz chwyciła się za głowę.

- Głowa mi pęka. Nie wiem. Proszę mnie nie męczyć.

- Jeżeli panu Piotrowi Szczerbińskiemu grozi rzeczywiście jakieś niebezpieczeństwo, to proszę nam opowiedzieć. Może moglibyśmy pomóc.

Znowu zaczęła się wachlować chusteczką.

- Nie, nie. Niech panowie nie biorą tego wszystkiego poważnie. Jestem po prostu zupełnie rozstrojona nerwowo. Proszę nie zwracać na mnie uwagi. To przejdzie.

- Domyślam się, że pani pozostaje w przyjacielskich stosunkach z panem Piotrem Szczerbińskim - powiedział Grabicki.

- To mój narzeczoną. Kochamy się. Niedługo mamy się pobrać.

Grabicki miał ogromną ochotę nawiązać do właściwego celu ich wizyty, ale doszedł do wniosku, że w tej sytuacji rozmowa na temat zamordowania Magdaleny Wyszackiej mogłaby wywołać nowy atak hysterii. To nie był odpowiedni moment. Spytał więc tylko:

- Czy pani nie miałaby ochoty poinformować nas, dlaczego pani obawia się o życie swojego narzeczonego?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, nie. To są tylko takie moje przywidzenia. Naprawdę. Tego co mówię nie trzeba brać poważnie. Rozstrój nerwowy. Muszę się leczyć, stanowczo muszę się leczyć. Bardzo panów przepraszam. Przykro mi. - Znów zmusiła się do uśmiechu. - Mam nadzieję, że będę miała okazję spotkać się z panami, kiedy będę w lepszej formie. Ale, ale... Właściwie nie zapytałam w jakim celu panowie mnie odwiedzili?

- Drobiazg. - Grabicki nadał swojemu głosowi dobronny ton. - Nic ważnego. Chcieliśmy tylko sprawdzić pani prawo jazdy

- Ach tak.. W tej chwili służę panom. - Pospiesznie wybiegła do sąsiedniego pokoju i przyniosła niezbędny dla zmotoryzowanych obywateli dokument. - Proszę. Czy dopuściłam się jakiegoś wykroczenia?

Grabicki udał, że z niezwykłą uwagą ogląda prawo jazdy pani Karoliny Widzewskiej. Patrzyła na niego niespokojnie.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Nie, nie, wszystko w zupełnym porządku - zapewnił Grabicki. - Widzi pani... w ostatnich czasach pojawiły się

sfalszowane prawa, jazdy i dlatego sprawdzamy.

- A dlaczego panowie przyszli akurat do mnie? Przecież...

- Proszę się nie denerwować - uspokoił ją Grabicki. - Po prostu przeprowadzamy kolejno kontrolę w niektórych dzielnicach miasta. Nie mamy oczywiście żadnych zastrzeżeń i przepraszamy za to nieoczekiwane najście. Jeśli można coś doradzić to uważam, że byłoby dobrze, żeby pani przez jakiś czas popiła sobie krople walerianowe, na przemian z rumiankiem oraz miętą pieprzową. Wskazany także jest krwawnik, arcydzięgiel i chmiel. To chyba byłoby wszystko. Czy pani naprawdę nie potrzebuje naszej pomocy?

- Nie. Dziękuję serdecznie. - Była już prawie zupełnie spokojna.

Grabicki wstał.

- Wobec tego pani pozwoli, że się pożegnamy. Gdyby pani potrzebowała pomocy, proszę dzwonić do komendy. Na wszelki wypadek zostawiam kartkę z numerami telefonów. Moje nazwisko Grabicki, kapitan Antoni Grabicki. A to mój współpracownik porucznik Stasiewicz. Ktoregoś z nas zawsze pani zastanie. Do widzenia.

W wozie Grabicki spojrzał pytająco na porucznika.

- No i co wy o tym myślicie?

Stasiewicz wrzucił ramionami.

- Diabli wiedzą. Jakaś stara histeryczka. Ale ta cała scena...

- Właśnie - podchwycił Grabicki. - Ta scena była zupełnie niesamowita. Trudno zgadnąć co tu jest grane. Albo baba odstawiła dobrze wyreżyserowaną komedię, albo wie, że Szczerbińskiemu grozi poważne niebezpieczeństwo.

- W takim wypadku powinna była powiedzieć.

Grabicki pokręcił głową w zamyśleniu.

- Hm... Diabli ją wiedzą. Może z jakichś względów nie

chce mówić o tym kimś, kto zagraża jej narzeczonemu. W każdym razie sprawa jest bardzo niejasna. Wydaje mi się, że trzeba będzie odwiedzić tego faceta.

Grabicki zrezygnował z towarzystwa porucznika. Poszedł sam. Uważał, że tak będzie lepiej, że łatwiej mu będzie stworzyć atmosferę większej szczerości. A może nawet uda mu się usłyszeć jakieś zwierzenia. Wiedział, że nie robi wrażenia groźnego przedstawiciela prawa i że stosunkowo łatwo zdobywa sobie zaufanie bliźnich.

Pilot przyjął gościa uprzejmie, ale wyczuwało się w nim pewne zniecierpliwienie.

- Proszę, niech pan siada, panie kapitanie. Czy pan w sprawie tragicznej śmierci mojej narzeczonej?

- Tak. Ciągle jeszcze prowadzę to śledztwo. - Grabicki utkwiał uważne spojrzenie w twarzy swego rozmówcy. Wydało mu się, że Szczerbiński schudł i zmizerniał. - Przyszedłem do pana z prośbą.

- Z prośbą? - zdziwił się Szczerbiński. - Słucham.

Grabicki miał bardzo zakłopotaną minę.

- Widzi pan... Jakby to powiedzieć...? Ja już niedługo odchodzę na emeryturę. To jest zapewne moja ostatnia sprawa. Chciałbym pozostawić po sobie dobre wspomnienie.

- Rozumiem - pokiwał głową Szczerbiński, który jakby się trochę odprężył. - Nie wiem tylko, w jaki sposób mógłbym panu dopomóc.

- Właśnie chciałbym pana prosić o pomoc.

- Ale co konkretnie mogę dla pana zrobić?

- Otóż... Chodzi o to... - Grabicki w dalszym ciągu robił wrażenie człowieka zażenowanego sytuacją, w jakiej się znalazł. - Muszę się panu przyznać, że to cholerne śledztwo idzie mi jak z kamienia. Do tej pory nie mam żadnych konkretnych poszlak. Ponieważ pan był właściwie najbliższym

człowiekiem zmarłej, przeto wyrażam nadzieję, że zechce mi pan w jakiś sposób dopomóc...

- Bardzo chętnie bym to zrobił - powiedział bez większego przekonania Szczerbiński - ale doprawdy nie wiem jak to sobie pan wyobraża. Wydaje mi się, że podczas naszej pierwszej rozmowy powiedziałem absolutnie wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat.

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Grabicki. - Właściwie wszystko. Ale..., widzi pan..., to była taka zupełnie oficjalna rozmowa, o charakterze urzędowym. A teraz miałbym ochotę pogawędzić sobie z panem tak bardziej prywatnie, szczerzej, jak chłop z chłopem.

Szczerbiński spojrzał nieufnie.

- Nie bardzo się orientuję do czego pan zmierza, panie kapitanie?

- To proste - uśmiechnął się Grabicki. - Chcąc rozwiązać sprawę zagadkowej śmierci pańskiej narzeczonej muszę mieć trochę więcej informacji dotyczących jej osoby, a tych informacji tylko pan może mi dostarczyć.

Szczerbiński wzruszył ramionami.

- Nie bardzo wiem, o jakiego typu informacje panu chodzi?

- Interesuje mnie każdy najdrobniejszy nawet szczegół dotyczący życia, świętej pamięci, pani Magdaleny Wyszackiej - wyjaśnił Grabicki. - Czasami nawet zupełny drobiazg może mieć zasadnicze znaczenie dla śledztwa.

- Nie znam się na tych sprawach - powiedział nieco znudzonym głosem Szczerbiński. - Może najlepiej będzie, jeżeli pan zechce mi zadawać pytania. To nam chyba ułatwi sytuację.

- Jeżeli pan pozwoli... Tak, to chyba będzie najrozsądniejsze. A więc może zaczniemy od pracy pani

Magdaleny Wyszackiej na terenie Algierii.

- Pracowała jako lekarka.

- To wiem - skinął głową Grabicki - A jaka była jej specjalność?

- Na tamtejszym terenie lekarz musi być całkowicie wszechstronny Magdalena zasadniczo specjalizowała się w pediatrii, ale na terenie Algierii musiała występować w charakterze chirurga, ginekologa, laryngologa, okulisty, jednym słowem omnibus. To kraj jeszcze bardzo zacofany Brak lekarzy, pielęgniarek. Warunki sanitarne przerażające.

- A jak tamtejsza ludność ustosunkowuje się do europejskich lekarzy?

- Bardzo rozmaicie. Jedni są wdzięczni za udzielenie pomocy, inni wykazują pewną nieufność, a w tych małych osadach nierzadko zdarzają się wypadki zdecydowanej wrogości. Ich miejscowi znachorzy robią oczywiście nienajlepszą propagandę. Taki lekarz z Europy to przecież poważna konkurencja.

- Czy nie sądzi pan, że pani Wyszacka mogła się tam komuś narazić do tego stopnia, że zapragnął się na niej zemścić?

Szczerbiński skrzywił się sceptycznie.

- To wątpliwe. Nawet gdyby jakiś Arab był przekonany, że Magdalena spowodowała śmierć kogoś z jego bliskich, to przecież nie przyjechałby aż do Warszawy, aby się mścić. Chyba, żeby chodziło o jakiegoś bogatego szejka. Ale o nikim takim nie słyszałem.

- A słyszał pan może o człowieku, który nazywa się Ali Selim Tahelen?

Szczerbiński uśmiechnął się.

- Oczywiście, że słyszałem o tym wariacie. To jeden z adoratorów Magdy.

- Zna go pan?
- Nie. Nigdy nie miałem okazji się z nim spotkać. Znam go tylko z opowiadania. To dosyć znana postać w Algierze.
- Czy pani Wyszacka rozmawiała kiedyś z panem na jego temat?

- Tak. Wiele razy. Podkpiwała sobie z niego. Nigdy przecież nie traktowała go poważnie.

- Czy pan wie, że ten człowiek jest obecnie w Warszawie?

- Czy być może? Nie wiedziałem.

- W rzeczach pani Wyszackiej znaleźliśmy list. W tym liście były zarówno wyznania miłosne, jak i groźby.

Szczerbiński wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, żeby to można było traktować poważnie. Ci Arabowie są często skłonni do egzaltacji. Jak wszyscy ludzie Wschodu uwielbiają kwiecisty styl zarówno w mowie, jak i w piśmie.

Grabicki uważnie przyjrzał się mówiącemu.

- Mam wrażenie, że pan zmizerniał - powiedział niespodziewanie.

- Zmizerniałem? Ja? - pilot był wyraźnie zaskoczony. - Skąd panu to przyszło do głowy?

- Po prostu wydaje mi się, że podczas naszej pierwszej rozmowy wyglądał pan dużo lepiej. Czy ma pan jakieś kłopoty?

- Przyzna pan, panie kapitanie, że ostatnie moje przeżycia...

- Tak, tak, rozumiem - przytaknął skwapliwie Grabicki. - Ale... czy poza tragiczną śmiercią pani Wyszackiej nic innego pana ostatnio nie niepokoi?

- Nie rozumiem.

- Otóż... - zaczął Grabicki, ale zaraz urwał, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej na ten temat.

- Proszę, niech mi pan to wyjaśni - zachęcił go Szczerbiński.

- Otóż. Tak się złożyło, że miałem okazję rozmawiać z panią Karoliną Widzewską, która twierdzi, że jest pańską narzeczoną.

Szczerbiński zmarszczył brwi.

- Czy można wiedzieć w jakim celu pan ją przesłuchiwał?

- Och, to nie było przesłuchanie - zapewnił z ożywieniem Grabicki. - Zwykła towarzyska rozmowa. Nic poza tym. Chodziło mi o pewne drobne informacje. Sądziłem, że może pani Widzewska znała panią Wyszacką i że zechce mi dostarczyć jakichś danych dotyczących zmarłej.

- W jaki sposób skojarzył pan sobie Karolinę z tą sprawą? Grabicki uśmiechnął się.

- To jest taka moja tajemnica zawodowa.

- Czy jestem pod obserwacją milicji?

- Ale skądże znowu - zaprzeczył Grabicki. - W jakim celu mielibyśmy pana inwigilować? Musi pan jednak wziąć pod uwagę fakt, że Warszawa to niewielkie i bardzo plotkarskie miasto. Pewne wiadomości rozchodzą się tu błyskawicznie. Nie o tym jednak chciałem z panem mówić. Otóż... Podczas naszej rozmowy pani Widzewska wyraziła obawę o pańskie życie. Była bardzo zdenerwowana i zachowywała się tak, jakby panu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie powiedziała jednak o co konkretnie chodzi i czego się boi w związku z pańską osobą. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co miała na myśli? Była tak zdenerwowana, że graniczyło to z atakiem hysterii. Miałem nawet zamiar wezwać lekarza.

Szczerbiński utkwiał wzrok w podłódze i przez chwilę milczał. Wreszcie wzruszył ramionami i powiedział niechętnie:

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Jakieś babskie przewidzenia. Karolina jest osobą przewrażliwioną i obdarzoną

jednocześnie wybujałą fantazją.

- Ale przecież na czymś te jej obawy muszą być oparte. - Nie ustępował Grabicki. - Pani Widzewska, być może, wyolbrzymia pewne sprawy, ale jakieś powody do niepokoju mieć musi. Proszę mi powiedzieć, co panu zagraża i czego się pan obawia.

- Ależ, panie kapitanie - zaproponował Szczerbiński. - Zapewniam pana, że nic mi nie zagraża i niczego się nie obawiam.

- Radziłbym, żeby pan był ze mną zupełnie szczery. Grabicki pokręcił głową.

- Mam co do tego pewne wątpliwości. Pragnę zwrócić pańską uwagę na to, że jeśli rzeczywiście grozi panu jakieś niebezpieczeństwo, to my możemy jakoś temu zapobiec. Musimy jednak wiedzieć o co, czy ewentualnie o kogo chodzi.

Szczerbiński wykonał niecierpliwy ruch rękami.

- Powiedziałem już przecież panu, że nie mam powodu niczego się obawiać i że nic, ale to absolutnie nic mi nie grozi. Uważam, że ta nasza rozmowa nie ma sensu.

- No cóż... - Grabicki bezradnym ruchem rozłożył ręce. - Jak pan sobie życzy. Proponuję panu konkretną pomoc, ale jeżeli pan nie chce skorzystać...

- Niepotrzebna mi pomoc milicji - zachnął się pilot. - Jeżeli zaszłyby jakieś nieprzewidziane okoliczności, to oczywiście zwrócę, się do pana. A wszystkimi tymi babskimi histerycznymi wybrykami niech pan sobie nie zawraca głowy.

- Czy pan nie sądzi, że ktoś może pana podejrzewać o zamordowanie Magdaleny Wyszackiej i że pragnie się na panu zemścić? - spytał Grabicki.

Szczerbiński roześmiał się niezbyt szczerze.

- O ile się orientuję, to jak dotąd jedynie pan mnie podejrzewa o popełnienie tej zbrodni.

Grabicki odwzajemnił się uśmiechem.

- Motywy może by się znalazły. Zwłaszcza biorąc pod uwagę pańskie najnowsze zaręczyny z panią Karoliną Widzewską.

Szczerbiński spoważniał.

- Czy nie uważa pan, panie kapitanie, że w swoich insynuacjach posuwa się pan za daleko?

- To rzecz bardzo względna - odpowiedział nie speszony Grabicki. - Jeżeli w grę wchodzi morderstwo, to nie można mówić o hipotezach posuniętych za daleko. Sądzę, że na tym zakończymy naszą rozmowę. Dziękuję panu. Sporo się od pana dowiedziałem.

- Czyżby - zdziwił się Szczerbiński.

Wracając do komendy, Grabicki rozmyślał o przeprowadzonej rozmowie. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Szczerbiński rzeczywiście czuje się zagrożony i że w żadnym wypadku nie można go nie brać pod uwagę jako ewentualnego mordercy Wysznackiej.

ROZDZIAŁ VII

Sierżant Pastusiak był człowiekiem solidnym i obowiązkowym. Nie znosił partaniny. Lubił, żeby każda robota była wykonana „na medal”. Pracę w milicji znał na wylot i wiedział, że nieraz powodzenie śledztwa zależy od pozornie nic nieznaczącego drobiazgu. Otrzymał polecenie, żeby inwigilować Piotra Szczerbińskiego i prowadził tę akcję z pedantyczną precyzją. Przydzielono mu oczywiście kolegów do pomocy. Musiał od czasu do czasu trochę się przespać i coś przekąsić.

Wieczór był chłodny. W powietrzu unosiła się przenikliwa wilgoć. Mgła przesłaniała wątłe światła latarni. Pastusiak zluźował kaprała Karpińskiego, zamienił z nim parę słów i dowiedział się, że ich „podopieczny” mniej więcej przed godziną wrócił do domu. Mocniej ściągnął paskiem płaszcz. Pomyślał, że na jego reumatyzm pogoda nie jest najlepsza. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Zaczął przechadzać się wzdłuż ulicy, pogwizdując cicho. Przystanął, zapalił papierosa i znowu spacerował. Podniósł głowę i spojrzał w okna. W mieszkaniu pilota było ciemno. „Poszedł spać - pomyślał Pastusiak - wcześniej. A może sobie popił”. Wiedział, że Szczerbiński lubił wskoczyć do jakiejś knajpy na jednego, a nawet i na ćwiartkę.

Ruch był stosunkowo spory. Do bramy wchodzili różni ludzie, zapewne wracający do domu lokatorzy. Od czasu do czasu ktoś wychodził. Niektórzy bardzo się spieszyli. W zmaconym mgłą świetle Pastusiak nie bardzo mógł dojrzeć twarzy, tym bardziej, że większość przechodniów chroniła się przed chłodem w podniesionych kołnierzach płaszczy.

W oknach ciągle było ciemno. To nie dawało sierżantowi spokoju. „Za wcześniej na spanie - myślał zakłopotany.

- A może Karpiński przegapił i pilot już dawno jest gdzieś na mieście?” Należało to sprawdzić. Sprawa nie była trudna. Wystarczyło zadzwonić, wejść na półpiętro i przekonać się, czy Szczerbiński otworzy drzwi.

Pastusiak miał właśnie zamiar zrealizować swój plan, gdy nadjechała taksówka i zatrzymała się przy krawężniku. Przewornie cofnął się w cień i patrzył.

Z taksówki wysiadła młoda kobieta. Sierżant miał bystre oko. Poznał ją po ruchach. To była dziewczyna, która tamtego wieczora przyjechała do komendy na rozmowę z kapitanem Grabickim.

Energicznym krokiem weszła na klatkę schodową. Zatrzymała się przed mieszkaniem pilota i nacisnęła dzwonek. Pastusiak ukrył się we wnęce koło zsypu na śmiecie i czekał. Nikt nie otwierał. Odczekała chwilę i znowu zaczęła dzwonić, tym razem energiczniej. Żadnej reakcji z wewnątrz. Nacisnęła klamkę i weszła. Pastusiak w paru susach znalazł się przy drzwiach i przyłożył do nich ucho. Zupełna cisza. Miał bardzo dobry słuch. Deski cienkie. Usłyszałby przecież głosy. Zawahał się. Nie bardzo wiedział, jak ma postąpić. Wejść czy nie wejść? Zdał się na swój niezawodny instynkt. Wszedł.

Jaskrawe światło, płynące z żyrandola, wypełniało pokój. Na tapczanie leżał Szczerbiński, przykryty kolorowym kocem. Szeroka plama krwi rysowała się na poduszce. Tuż obok stała dziewczyna z zastygłym na twarzy przerażeniem. W prawej ręce trzymała jakiś, podłużny przedmiot. Była to statuetka, wyobrażająca lotnika, wykonana z brązu.

Sierzant błyskawicznie ocenił sytuację. - Proszę siadać - powiedział energicznie, pchnąwszy dziewczynę w kierunku fotela. - Proszę siadać - powtórzył. - Proszę się nie ruszać. - Następnie podszedł do leżącego na tapczanie ciała, stwierdził, że pomoc lekarska nie na wiele już się tu zda, podniósł słuchawkę i połączył się z komendą.

- Ja go nie zabiłam... Naprawdę... Nie zabiłam... - wybuchnęła płaczem.

Grabicki odczekał dłuższą chwilę, a kiedy doszedł do wniosku, że może zacząć przesłuchanie, sięgnął po karafkę, napełnił szklankę, następnie zaś wyjął z szuflady biurka butelkę kropli walerianowych i dolał do wody sporą porcję.

- Proszę, niech pani to wypije.

Wypiła posłusznie i odetchnęła głęboko.

- Lepiej się pani czuje? - spytał troskliwie.

Skinęła głową w milczeniu.

- Czy może pani odpowiedzieć na moje pytanie?
- Spróbuję.
- Wprawdzie moglibyśmy tę rozmowę odłożyć do rana, ale ze względu na okoliczności...

- Niech pan pyta.

- Więc może zaczniemy od początku. - Grabicki poprawił się na krześle i dotknął krawata, jakby chciał sprawdzić, czy węzeł jest prawidłowo zawiązany. - Czy idąc do Piotra Szczerbińskiego miała pani zamiar go zabić, czy też ta myśl pojawiła się zupełnie nagle?

- Ależ ja go nie zabiłam! Przysięgam! Nie zabiłam.

Grabicki westchnął.

- W tej sytuacji trochę trudno będzie to udowodnić. Bardzo mi przykro, ale wszystkie okoliczności przemawiają przeciwko pani. Załóżmy jednak, że mamy do czynienia z niezwykłym zbiegiem okoliczności i że pani nie popełniła tej zbrodni. Może mi pani zechce podać swoją wersję zdarzenia.

- Ja go nie zabiłam.

- To już słyszałem. - Grabicki pokiwał głową. - Z całego serca pragnąłbym uwierzyć w pani niewinność, ale z pani ust chciałbym usłyszeć, jak to się wszystko stało. A więc postanowiła pani odwiedzić swego byłego narzeczonego, Piotra Szczerbińskiego. W jakim celu?

- Od jakiegoś czasu pragnęłam się z nim zobaczyć, rozmówić się, powiedzieć, co o nim myślę, co myślę o jego postępowaniu. Nie mogłam tego przecież tak zostawić. Nie chciał się ze mną spotkać. Nie chciał się ze mną zobaczyć. Zdecydowałam się działać przez zaskoczenie.

- Skąd pani wiedziała, że zastanie go pani w domu?

- Nie wiedziałam. Postanowiłam spróbować.

- Czy panią to nie zastanowiło, że w oknach mieszkania

Szczerbińskiego nie było światła?

- Nie zauważyłam.
- Hm. Trochę dziwne. I co było dalej?
- Pobiegłam po schodach...
- Nie skorzystała pani z windy?
- Nie. Winda była zajęta. Nie miałam cierpliwości czekać.

Zresztą to niewysoko. Trzecie piętro.

- Jak pani dostała się do mieszkania?
- Dzwoniłam. Nikt nie otwierał. Nacisnęłam klamkę.

Drzwi nie były zamknięte. Zapaliłam światło w przedpokoju, a potem weszłam do pokoju, także zapaliłam światło i potknęłam się...

- Potknęła się pani?
- Tak. Potknęłam się właśnie o tę statuetkę. Leżała na dywanie. Podniosłam ją i podeszłam do tapczanu, na którym leżał Piotr. Potem wszedł milicjant. To wszystko.

- Czy pani nie zastanowiło to, że drzwi nie były zamknięte? - spytał Grabicki.

- Zdziwiłam się trochę, ale myślałam, że Piotr przez roztargnienie... Albo, że może był po wódce i zapomniał zamknąć. Ostatnio pił.

- A skąd pani wie, że w ostatnich czasach Szczerbiński chętnie zaglądał do kieliszka?

- Słyszałam. Znajomi mi mówili.
- Jacy znajomi? - nalegał Grabicki.
- Już nie pamiętam. Chyba Maria...
- Ma pani na myśli panią Marię Nowacką?

- Tak. Zresztą być może, że kto inny także mi coś wspominał na ten temat.

- Czy może coś jeszcze słyszała pani od znajomych o Piotrze Szczerbińskim?

Skinęła głową.

- Tak. Słyszałam, że miał zamiar się żenić.
- Z kim?
- Dokładnie nie wiem. Podobno z jakąś bogatą babką.
- A tę informację od kogo pani zdobyła?
- Nie pamiętam.
- Czy może chciałaby pani jeszcze coś dodać w tej sprawie?

- Chyba nic. Powiedziałam panu wszystko tak, jak było. Ja go nie zabiłam. Ja wiem, że pozory przemawiają przeciwko mnie. Ale, niech mi pan wierzy... Błagam...

Grabicki potarł dłonią czoło. Miał bardzo strapioną minę.

- No cóż... Nie da się zaprzeczyć, że sytuacja, w jakiej się pani znalazła, wygląda całkowicie jednoznacznie. Czy pani widziała już kiedyś ten posążek, którym został zabity Szczerbiński?

- Oczywiście. Otrzymał to jako nagrodę na jakichś zawodach lotniczych. To dawne czasy.

- Jeszcze przed jego wyjazdem do Algierii?

- O tak. Na kilka lat przedtem.

Grabicki wstał.

- Myślę, że na dzisiaj skończymy już tę rozmowę. Pani jest przemęczona. Jutro albo pojutrze wrócimy do tego tematu. Przykro mi, ale zmuszony jestem panią zatrzymać.

- Czy jestem aresztowana?

- A czy panią to dziwi?

- Nie. Nie dziwi mnie to - odpowiedziała spokojnie.

Na twarzy Grabickiego pojawił się wyraz głębokiej dezaprobaty.

- Nie chcę wam robić przykrości, ale spartoliliście robotę.

- Tak jest, obywatelu kapitanie, spartoliłem robotę - przyznał ze skrucą Pastusiak. - Trzeba mi było od razu iść na

górze, drzwi pilnować, a nie wałęsać się po ulicy.

- Otóż to - pokiwał głową Grabicki. - Drzwi pilnować. A jeżeli ta dziewczyna rzeczywiście nie rąbnęła Szczerbińskiego...

- Jak to nie rąbnęła? - zdumiał się sierżant. - A kto? Przecież widziałem na własne oczy.

- Widzieliście jak uderzyła?

- No nie... tego nie widziałem. Ale widziałem jak stała nad nim z tą figurką w ręku. Ciężka rzecz. Jak takim czymś zaprawić w głowę, to szkoda gadać. Nawet i siły do tego wielkiej nie trzeba. Czaszka pęknięta.

- Tak. Pęknięcie czaszki - powtórzył Grabicki. - A jeżeli ktoś tego dokonał przed wejściem Markowskiej do mieszkania Szczerbińskiego? Może ona rzeczywiście tylko podniosła z podłogi tę statuetkę.

- Nie ma mowy, obywatelu kapitanie - zaoponował Pastusiak. - Kiedy by kto miał czas tak zaprawić Szczerbińskiego? Karpiński pilnował drzwi, potem zszedł na dół, poczekał chwilę na mnie. Ja się parę minut przeszedłem tam i z powrotem, popatrzyłem w okna. Ciemno. Byłem pewien, że facet kima. Już miałem iść na górę, kiedy przyjechała taksówką ta dziewczyna. Poszedłem oczywiście za nią. To na pewno ona, obywatelu kapitanie. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

- Ile czasu potrzeba, żeby z trzeciego piętra zejść powoli na dół?

Sierżant wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Trzy... cztery minuty. Chyba nie więcej.

- Ile czasu rozmawialiście z Karpińskim?

- Najwyżej z pięć minut.

- Powiedzmy, że pięć minut. Potem spacerowaliście. Ile czasu?

- Także nie dłużej jak parę minut, może pięć... może sześć. Nie patrzyłem na zegarek. Zaraz przyjechała ta dziennikarka.

- No tak. To znaczy, że w sumie mamy około piętnastu minut i że morderca mógł w tym czasie dokonać zbrodni przed przybyciem Joanny Markowskiej.

Sierżant skrzywił się sceptycznie.

- To mało prawdopodobne, obywatelu kapitanie. Musiałby akurat utrafić w ten moment, kiedy nikogo nie było przy drzwiach.

- Mało prawdopodobne - zgodził się Grabicki - ale jednakże takiej ewentualności nie możemy całkowicie pominąć. Powiedzcie mi w jaki sposób ta dziewczyna dostała się do mieszkania Szczerbińskiego?

- Najprzód dzwoniła parę razy. Nikt nie otwierał. Nacisnęła klamkę i weszła.

- A wy?

- Ja chwilę podsłuchiwałem pod drzwiami, a potem także wszedłem. To wszystko wydało mi się podejrzane.

- Jak się zachowywała dziewczyna?

- Stała nieruchomo koło tapczanu, na którym leżał Szczerbiński. Była na wpół przytomna. Myślę, że tak właśnie wyglądają lunatycy.

- Mówiła coś?

- Nie. Nic nie mówiła. Kazałem jej usiąść i nie ruszać się. Posłusznie usiadła. Nie próbowała uciekać.

- Czy dużo ludzi wychodziło z tej klatki schodowej, podczas gdy przechadzaliście się przed domem?

- Sporo. Ruch był dosyć duży.

- Czy wśród wychodzących nie zauważyliście kogoś znajomego?

Sierżant potrząsnął głową.

- Nie. Nawet przyglądałem się tym ludziom, ale niewiele mogłem zobaczyć. Oświetlenie kiepskie... mgła. Popodnosili kołnierze od płaszczy.

- A tak po ruchach, po sposobie chodzenia - nalegał Grabicki.

- Nie, obywatelu kapitanie, nikogo nie zauważyłem. Zresztą ci faceci, z którymi się Szczerbiński spotykał, to nie żadni jego znajomi czy przyjaciele. Tacy tam faceci z knajpy. Przypadkowi. Z widzenia to tylko dobrze znałem tę panią Widzewską, co to niby była jego narzeczoną.

- Ale jej żeście nie zauważyli.

- Skądże. Ją to już bym na pewno poznał nawet w tej mgle.

- Czy macie coś jeszcze do dodania w tej sprawie?

- Chyba nic, obywatelu kapitanie. Powiedziałem wszystko co wiedziałem.

- W porządku. W najbliższym czasie otrzymacie nowe zadanie.

- Mogę się odmeldować?

- Możecie.

Dopiero około trzeciej nad ranem Grabicki wrócił do domu. Trzeba było dopilnować przeszukania mieszkania Szczerbińskiego, przesłuchać najbliższych sąsiadów, porozmawiać z lekarzem. Wprawdzie porucznik Stasiewicz dzielnie sobie radził i poruszał się żwawo, ale Grabicki wołał osobiście czuwać nad całą akcją. Nie chciał niczego zaniedbać.

Pani Jadwiga powitała męża z ponurą twarzą.

- Bój się Boga, Antosiu! Co ty wyprawiasz? Wykończysz się. Zrobiłam na kolację takie wspaniałe pierogi ruskie. Wszystko na nic.

- Zmiłuj się, Dziuniu - jęknął Grabicki. - Ja tu mam już

drugiego trupa na głowie, a ty mi o pierogach ruskich...

- Wykończysz się - powtórzyła pani Jadwiga.

Dokładne oględziny zasuw w drzwiach wykazały ślady wosku. Z tego można było wysnuć wniosek, iż ktoś dorabiał klucz.

Grabicki, wspomagany przez Stasiewicza, raz jeszcze bardzo skrupulatnie przeszukał mieszkanie. Niewiele to dało. Zainterесował ich jedynie krótki list, znaleziony w szufladzie biurka, a podpisany przez jakąś Izę. W liście tym owa Iza pisała o jakiejś ich rozmowie i ostrzegła Szczerbińskiego przed grożącym mu niebezpieczeństwem, nalegała, żeby koniecznie na jakiś czas wyjechał z Warszawy. Poza tym porucznik znalazł na dnie szafy, znajdującej się w przedpokoju, odrobinę fajkowego, na wpół zwęglonego tytoniu. Nie przywiązywał do tego większej wagi, ale na wszelki wypadek zebrał te resztki do pudełka od zapalek.

- Musimy odszukać tę Izę - powiedział Grabicki. Stasiewicz pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Ale jak? I właściwie po co?

- Jak to po co? - zdziwił się Grabicki. - Żeby wyjaśnić sprawę.

- Sprawa chyba jest dostatecznie wyjaśniona. Nie ma chyba wątpliwości, że Szczerbińskiego zabiła ta dziennikarka.

- Tak sądzicie?

- Wszyscy tak sądzą. Właściwie została schwyta na gorącym uczynku.

- Niezupełnie. Nikt nie widział jak uderzała Szczerbińskiego. A poza tym nie zapominajcie o tym, że zostały znalezione mikroskopijne ślady wosku w zasuwie.

- Czego to dowodzi? - spytał Stasiewicz.

- Że morderca od dawna nosił się z zamiarem popełnienia

tej zbrodni i dorobił sobie klucz. A Joanna Markowska, jak wiemy z relacji Pastusiaka, weszła do mieszkania Szczerbińskiego bez użycia klucza. Rozumiecie teraz moje wątpliwości?

- Klucz mógł sobie dorobić zwykły złodziej na tak zwaną pasówkę - zauważył porucznik.

- Takiej ewentualności nie możemy wykluczyć - zgodził się Grabicki. - Czy wy jesteście na sto procent przekonani o winie Markowskiej? Bo przyznam się wam, że ja nie. I zaraz wam wyjaśnię dlaczego. Po pierwsze, to musiało być bardzo mocne uderzenie, a na to trzeba dużej siły. Ale powiedzmy, że dziewczyna jest wysportowana i silna. Po drugie zaś, tego typu zabójstwo zdarza się raczej w chwilowym afekcie, w czasie kłótni, ale żeby tak na zimno spokojnie śpiącego człowieka, to już posiada zupełnie inny aspekt psychologiczny. Markowska jest pobudliwa, łatwo poddająca się nastrojom emocjonalnym, być może niezbyt opanowana, to wszystko prawda. Ale takie morderstwo z premedytacją, takie zatłuczenie na śmierć swojego byłego narzeczonego nie bardzo mi do niej pasuje.

Stasiewicz słuchał bardzo uważnie. Pokiwał głową.

- Tak, rzeczywiście. Ma pan rację, panie kapitanie. Nie zastanowiłem się nad tym. Jednak wszystko przemawia przeciwko niej.

- To prawda - zgodził się Grabicki. - Wszystko przemawia przeciwko niej. Musimy jednak całą sprawę tak zbadać, tak przeanalizować jakby istniał kandydat na mordercę. Czy porozumieście się już z lekarzem, u którego leczył się Szczerbiński?

- Jeszcze nie zdążyłem. Dzisiaj miałem iść do spółdzielni.

- To dajcie mi tę receptę. Będę w tamtych stronach. Załatwię to.

Doktor Siemiński bardzo uprzejmie przyjął przedstawiciela

władzy.

- Pan będzie łaskaw siadać, panie kapitanie. Cóż tam dolega?

- W moim wieku różne rzeczy człowiekowi dolegają - uśmiechnął się Grabicki. - Ale jakoś się ratuję ziołami. Nie przyszedłem do pana doktora po poradę. Chodzi mi o jednego z pańskich pacjentów.

- To znaczy, że pan w charakterze służbowym.

- Można to tak określić.

- Czy mój pacjent coś przeszkrobał?

- Znacznie gorzej. Został zamordowany.

- O - zmartwił się doktor Siemiński. - To poważna sprawa.

Czy może mi pan podać nazwisko tego pacjenta?

- Oczywiście. Piotr Szczerbiński. Znaleźliśmy w jego rzeczach receptę wystawioną przez pana doktora. Oto ona.

Lekarz wziął do ręki receptę, przyjrzał się jej uważnie i wstał.

- Tak. To ja wystawiłem tę receptę. Przepraszam pana. - Wyszedł i po chwili wrócił, niosąc kartę chorobową.

- Piotr Szczerbiński. Z zawodu pilot. Niedawno wrócił z Algierii.

- Właśnie o niego chodzi - powiedział Grabicki.

- Jakich informacji oczekuje pan ode mnie, panie kapitanie?

- Chciałbym wiedzieć, na co się uskarżał ten pański pacjent.

Siemiński odchrząknął i sięgnął po papierosy.

- No cóż... Ogólne osłabienie. Wyczerpanie nerwowe, bezsenność. Serce miał w zupełnym porządku. Płuca także. W tej chwili doskonale go sobie przypominam. Przepisałem mu zastrzyki z cocarboxylazy, multivitaminę, biostyminę, neospasminę, a na sen reladorm.

- Zgadza się - pokiwał głową Grabicki. - Sekcja zwłok wykazała obecność środka nasennego w organizmie.

- Ale chyba nie otruł się reladormem? - zaniepokoił się doktor Siemiński.

- Nie. Tak jak wspomniałem na początku naszej rozmowy, pański pacjent został zamordowany. Czy rozmawiał pan z nim na temat jego zdenerwowania?

- Oczywiście. Zawsze rozmawiam z moimi pacjentami na temat ich dolegliwości.

- I co panu powiedział Szczerbiński?

- Że jest skrajnie wyczerpany nerwowo, że nie może spać i że w ogóle czuje się jakiś zmęczony i zniechęcony.

- Czy podał panu powód złego stanu nerwów?

- Tego właśnie nie mogłem się od niego dowiedzieć. Próbowałem go wypytywać, ale to nic nie dało. Nie był skłonny do zwierzeń.

- Czy nie powiedział, że się czegoś obawia?

- Owszem, mówił o nerwowych lękach, ale zupełnie ogólnikowo. Nie precyzując.

Grabicki z zakłopotaniem podrapał się za uchem.

- Hm. Szkoda, że nic konkretnego nie powiedział. To mogłoby nam ułatwić robotę. No cóż... Serdecznie panu dziękuję, panie doktorze za rozmowę i przepraszam, że zabrałem tyle czasu.

W komendzie czekał Pastusiak.

- Macie coś do mnie? - spytał Grabicki.

- Tak jest, obywatelu kapitanie. Melduję, że do mieszkania Szczerbińskiego zgłosił się ślusarz.

- Ślusarz? Czego chciał?

- Przyszedł zamki zakładać. Powiedział, że pan Szczerbiński zamówił u niego aż trzy zamki.

- Zapisaliście nazwisko i adres tego ślusarza?

- Rzecz jasna, obywatelu kapitanie. Jakżeby inaczej.
- To dobrze. Teraz chciałbym, żebyście trochę poobserwowali tę narzeczoną Szczerbińskiego. Tę, która mieszka na Bokserskiej, Karolinę Widzewską.
- Tak jest - ucieszył się sierżant, najwidoczniej rad z nowego zadania.

Tym razem Joanna była spokojna i opanowana. Wyraz rezygnacji malował się na jej bladej, jakby nagle postarzałej twarzy. Siedziała nieruchomo, utkwivszy tępe spojrzenie w blacie biurka.

Grabicki przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie młodej kobiecie. Ta gwałtowna zmiana zrobiła na nim przygnębiające wrażenie. „A może jednak to ona?” myślał. „Może przez cały czas nosiła w sobie tę nienawiść, to pragnienie zemsty?” Wzbudziła w nim sympatię już od pierwszej ich rozmowy i instynktownie wyczuwał, że to wszystko nie jest takie proste i że za pozornie niewątpliwą winą tej dziewczyny kryje się jakaś tajemnica. Z drugiej jednak strony wiedział jak bardzo niebezpieczną rzeczą jest powodowanie się w prowadzeniu śledztwa stanami emocjonalnymi. Już nie raz zdarzało mu się mieć do czynienia z przestępcami, do których czuł wyraźną sympatię.

- Chciałbym z panią szczerze porozmawiać - powiedział miękko, łagodnym głosem.

Milczenie.

- Widzi pani - mówił dalej Grabicki, nie zrażony brakiem reakcji ze strony Joanny. - W tej sytuacji jedynie naprawdę szczerą rozmową może dać jakieś rezultaty, może pani pomóc.

- Ja go nie zabiłam. - Słowa te zostały wypowiedziane z obojętnym spokojem. Zwykłe stwierdzenie faktu. Ani śladu podniecenia.

Grabicki pokiwał głową,

- Jestem gotów uwierzyć w to, że w tej chwili pani jest przekonana, iż nie popełniła pani tej zbrodni, ale... Chciałbym, żebyśmy się wspólnie zastanowili nad pewną ewentualnością. Od dłuższego czasu pozostawała pani w stanie bardzo silnego emocjonalnego napięcia. Nienawidziła pani zarówno Magdaleny Wyszackiej, jak i Piotra Szczerbińskiego. Zdarza się w takich sytuacjach, że człowiek działa z ograniczoną świadomością, i że następnie jest całkowicie przekonany, że czegoś nie zrobił. Działa tu pewien mechanizm psychiczny, który można by nazwać rodzajem samoobrony przed czymś przerażającym.

- Ja go nie zabiłam. Przez cały czas byłam zupełnie przytomna.

- Czy jest pani tego pewna?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

- Więc uważa pani, że powinniśmy wykluczyć taką ewentualność, iż działała pani pod wpływem chwilowego zamroczenia emocjonalnego?

- To nie ma sensu.

Grabicki robił wrażenie człowieka bardzo strapionego.

- Bo widzi pani... Mam dużo dobrych chęci, żeby pani pomóc, ale fakty są tak oczywiste, że...

- Wiem. Zostanę skazana za morderstwo - powiedziała spokojnie.

- Muszę zwrócić uwagę pani - ciągnął Grabicki - że ostatnie wypadki rzucają nowe światło na tragiczną śmierć Magdaleny Wyszackiej.

- Ja nie zabiłam Magdy. Nie zabiłam ani Magdy, ani Piotra.

Grabicki westchnął.

- Gdybym nawet ja pani uwierzył, to nie jestem pewien,

jakiego zdania w tej sprawie będzie prokurator.

Wzruszyła ramionami.

- To mnie nie interesuje. Zresztą nietrudno się domyśleć. Z łatwością mogę sobie wyobrazić efektowne przemówienie prokuratora.

- Czy pani ma już obrońcę?

- Jeszcze o tym nie pomyślałam.

- Radziłbym to załatwić jak najprędzej. Sądzę, że nie zechce pani powierzyć swej sprawy obrońcy z urzędu.

- Wszystko mi jedno.

- Jeżeli pani rzeczywiście jest niewinna i jeżeli cała ta sprawa jest jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności, to powinna pani wzbudzić w sobie chęć walki, chęć obrony. Taka całkowita apatia to niedobre uczucie. Taką postawą nie pomoże sobie pani.

- Niech mnie pan nie męczy.

- Dobrze - zgodził się Grabicki. - Zaraz skończymy tę rozmowę. Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, czy w ostatnich czasach kontaktowała się pani z jakimiś swoimi przyjaciółmi?

Zawahała się.

- Właściwie to chyba tylko z Marią.

- Mówi pani o pani Nowackiej?

- Tak.

- Czy rozmawiała pani z panią Nowacką na temat Piotra Szczerbińskiego?

- Oczywiście. To moja najlepsza przyjaciółka.

- I skarżyła się pani, że Piotr Szczerbiński nie chce się z panią zobaczyć?

- Tak, mówiłyśmy na ten temat.

- Czy może jeszcze z kimś rozmawiała pani o Szczerbińskim?

- Nie. Z nikim.

- Czy pani wie, że Szczerbiński miał zamiar się żenić?
- Słyszałam o tym.
- Czy pani zna tę kobietę?
- Nie. Nigdy jej nie widziałam.
- I nic pani o niej nie wie?
- Nie interesowałam się tą osobą.
- Czy pani nie podejrzewa kogoś o popełnienie tej zbrodni? Czy pani się nie domyśla komu mogło zależeć na zabiciu Piotra Szczerbińskiego?

- Nie.

- Zaraz kończymy. Proszę o chwilę cierpliwości - powiedział łagodnie Grabicki. - Chciałbym tylko jeszcze raz uzmysłowić sobie tę sytuację. Więc we wtorek wieczorem, dziesiątego października, postanowiła pani odwiedzić Piotra Szczerbińskiego, żeby się z nim rozmówić. Przyjechała pani taksówką i, nie zauważając, że w mieszkaniu pani byłego narzeczonego nie pali się światło, poszła pani na górę. Zadzwoniła pani parę razy, a następnie nacisnęła pani klamkę i weszła pani do ciemnego mieszkania. Zapaliła pani światło w przedpokoju, a potem w pokoju. Potknęła się pani o tę statuetkę, leżącą na dywanie, podniosła ją pani i wtedy zobaczyła pani Piotra Szczerbińskiego. Leżał na tapczanie.

Skinęła głową.

- Dokładnie tak było.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani nic nie zastanowiło, kiedy pani weszła do przedpokoju?

- Nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, czy pani nie poczuła jakiegoś zapachu, który by panią zastanowił.

- Nie. Nic takiego sobie nie przypominam. Czy ma pan na myśli perfumy?

- No, choćby i perfumy albo może tytoń.

- Nie. W przedpokoju nie czułam ani zapachu perfum, ani tytoniu.

Grabicki machnął ręką.

- Czy Piotr Szczerbiński palił fajkę?

- Nie. Palił tylko papierosy i to bardzo niewiele.

- Dziękuję. Nie będę pani już dłużej męczył rozmową. Ale jeszcze raz podkreślam, że dobrze byłoby, żeby pani jak najszybciej postarała się o rozumnego obrońcę. Sądzę, że pani Nowacka mogłaby załatwić tę sprawę.

- Proszę przestać płakać - powiedział rozkazująco Grabicki.

Tęga kobieta o szerokiej, czerwonej twarzy otarła łzy i głośno pociągnęła nosem.

- Bardzo pana przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać. Taki był porządny człowiek. Co też się teraz na tym świecie wyprawia. Strach pomyśleć. Kiedyś, to proszę pana...

- Jak dawno pani przychodziła sprzątać do pana Szczerbińskiego?

- O, już będzie kilka miesięcy, może z pół roku. Bardzo go polubiłam. Przyjemny był człowiek. Nie mogę sobie wyobrazić, że już nie żyje. Taki jeszcze młody, silny. Lotnik. Bywały w świecie. Ostatnio wrócił z Afryki. Że też ktoś musiał... A wszystko przez to, proszę pana, że dzisiaj ludzie Boga się nie boją. Kiedyś...

- Czy pani miała klucz od mieszkania pana Szczerbińskiego?

- Oczywiście, że miałam. Nieraz go w domu nie było, to musiałam mieć klucz. Czy mam go oddać?

- Tak.

Pogrzebała w dużej plastikowej torbie i położyła klucz na

biurku.

- Proszę. Była tylko ta jedna zasuwa w drzwiach. Radziłam panu Szczerbińskiemu, żeby sobie tego „Skarbca” założył. Bo dla złodzieja taka jedna zasuwa nic nie znaczy.

- Kto oprócz pani miał klucz od mieszkania pana Szczerbińskiego?

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem?... Chyba ta pani.

- Jaka pani?

- Taka jedna, co to przychodziła do pana Szczerbińskiego. Mówiła, że jest jego narzeczoną. Podobnież miał się z nią zenić. Ale, bo ja tam wiem. Na mój rozum, była trochę dla niego za stara. Owszem, nie powiem, szykowna, elegancka, ale na żonę dla takiego młodego mężczyzny nie pasowała. A zresztą teraz to już wszystko jedno. Pasowała, nie pasowała, co za różnica?

- Kto jeszcze odwiedzał pana Szczerbińskiego?

- Ja tam nie wiem. Może go kto i odwiedzał, ale zawsze rano przychodziłam sprzątać. Tak wcześniej nikt gości nie zaprasza.

- Czy pani zauważyła, że w ostatnich czasach pan Szczerbiński zrobił się bardzo nerwowy?

Pokiwiała głową.

- O, to prawda. Straszny się zrobił nerwus. O byle co głos podnosił, a ja tego nie mogę ścierpieć. Już nawet miałam zamiar zrezygnować z tego sprzątania. Ale mnie potem przeproszał, kupował jakiś prezent. Zawsze umiał mnie udobruchać. Uważałam, że mu te nerwy przejdą, że to tylko tak na razie.

- Czy pani nie przypuszcza, że pan Szczerbiński bał się czegoś?

Pomyślała chwilę.

- Bał się? Możliwe. Chyba złodziei. Chociaż nic takiego specjalnego do ukradzenia to nie miał. Nie zauważyłam u niego ani złota, ani dolarów.

- Widzę z tego, że pani bardzo dokładnie sprzątała mieszkanie pana Szczerbińskiego - powiedział Grabicki.

- O, ja zawsze bardzo solidnie pracuję - przytaknęła, nie chwytając aluzji. - Jak już się czegoś podejmę, to musi być wykonane pierwszorzędnie.

- Z czego pani wnioskuje, że pan Szczerbiński bał się złodziei?

- Bo nie pozwolił nikogo wpuszczać do mieszkania. Miałam przykazane, żebym nawet z listonoszem czy z inkasentem od światła załatwiała przez łańcuch. Prosił, żebym mu poszukała ślusarza, żeby dodatkowe zamki założył. No to przysłałam szwagra. Ale już nie było co tych zamków zakładać.

- Do takich zasuw, jaka jest przy drzwiach, dają zwykle trzy klucze - powiedział Grabicki.

- Zawsze trzy, proszę pana. Ale fachowy złodziej z taką zasuwą łatwo sobie poradzi. Najlepszy „Skarbiec”. U mojej siostry próbowali się włamać, ale ze „Skarbce” nie dali rady. Pan Szczerbiński także chciał „Skarbiec” zakładać, ale ja powiedziałam, że to za dużo już będzie tych zamków. Pół dnia bym straciła, zanim bym się do mieszkania dostała. Tyle zamków otworzyć. Ma pan pojęcie? A i tyle kluczy nosić. Jaki to pieroński ciężar.

- Czy pani odbierała jakieś telefony?

- Zdarzało się.

- Kto dzwonił?

- Czasem mężczyźni, czasem kobiety. Różnie.

- Czy prosili, żeby coś przekazać panu Szczerbińskiemu, żeby zanotować ich nazwiska?

- Nigdy nikt o to nie prosił. Jak się dowiedzieli, że nie ma pana Szczerbińskiego, to odkładali słuchawkę i na tym koniec.

- Czy pan Szczerbiński kazał dorobić sobie dodatkowy klucz do swoich drzwi?

- Dodatkowy klucz? Nic podobnego. A na co by mu był dodatkowy klucz? Miał swój, ja miałam swój i ta pani. Starczy.

- No tak... - westchnął Grabicki. - Chyba wystarczy. Dziękuję pani. Może pani już iść do domu.

Grabicki spieszył się. Chciał mieć jak najprędzej pełny obraz sprawy, a do tego potrzebna mu była jak największa ilość możliwie szczegółowych informacji. Poszedł do szpitala. Maria przyjęła go w gabinecie lekarskim. W białym kitlu wyglądała o wiele poważniej.

- Czy może mi pani poświęcić kilka minut?

- Mam wprawdzie sporo pracy, ale rozumiem, że sprawa jest poważna i że zależy panu na szybkim działaniu. Oczywiście, że w domu mogłabym z panem dłużej porozmawiać, ale słucham.

- Nie zajmę pani zbyt wiele czasu - zapewnił Grabicki. - Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy w ostatnich czasach często się pani komunikowała z panią Joanną Markowską.

- Prawie codziennie.

- Czy rozmawiały panie na temat Piotra Szczerbińskiego?

- Oczywiście. Niejednokrotnie.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, czego konkretnie dotyczyły te rozmowy o Szczerbińskim?

- Joanna koniecznie chciała się z nim zobaczyć, a on wyraźnie wykręcał się od tego spotkania. Zaproponowałam Joannie, że będę pośredniczyć, że spróbuję to jakoś zorganizować i pomówię z Piotrem.

- Czy doszło do tej rozmowy?

- Rozmawiałam z nim telefonicznie, akurat tego dnia, kiedy został zamordowany. Prosiłam go, żeby nie odwlekał tego spotkania i żeby zobaczył się z Joanną po południu albo wczesnym wieczorem.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że jest bardzo zmęczony, ponieważ parę nocy nie spał, że ma zamiar zażyć proszek nasenny i wcześniej położyć się spać. Obiecał, że z Joanną spotka się na drugi dzień.

- Czy pani wtedy rozmawiała ze Szczerbińskim ze szpitala czy ze swojego mieszkania?

- Dzwoniłam z mieszkania pana Zengiera, który do mnie zatelefonował i prosił o poradę lekarską. Miał wysoką temperaturę. Grypa oczywiście. Typowe objawy. Jeszcze do tej pory nie doszedł do siebie.

Grabicki pokiwał głową.

- Tak, te jesienne grypy... Słyszałem, że pani odwiedzała panią Markowską.

- Byłam u niej. Zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Tak się szalenie zmieniła, że... Jest zupełnie zrezygnowana.

- Czy rozmawiała z panią na temat zabójstwa Szczerbińskiego?

- W ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Zaledwie parę słów... Panie kapitanie..., czy pan wierzy, że to ona...? Ja nie mogę się z tym pogodzić. Nie mogę. Tyle lat znam Joannę... Niech pan będzie ze mną szczery. Czy pan wierzy, że ona zabiła?

- Nie mam wyrobionego zdania w tej sprawie - odparł wymijająco Grabicki. - Wszystkie jednak okoliczności przemawiają, niestety, przeciwko pani Markowskiej.

- Ale skoro pan przychodzi do mnie i wypytuje się o różne szczegóły, to znaczy, że ma pan jednak jakieś wątpliwości.

Grabicki odchrząknął.

- Widzi pani... W tego rodzaju sprawach nigdy nie należy iść po linii najmniejszego oporu. Oczywiście, że najprościej i najłatwiej byłoby uznać definitywnie panią Joannę Markowską za winną popełnienia tej zbrodni i zamknąć dochodzenie. Prokurator ma wystarczającą ilość materiału dowodowego, żeby zredagować akt oskarżenia. Ja jednak uważam, że należy wszechstronnie przeanalizować wszystkie możliwe ewentualności, choćby nawet sprawa pozornie była zupełnie oczywista.

- Uczciwie pan podchodzi do swojej pracy - powiedziała z przekonaniem Maria.

- Proszę nie przeceniać moich walorów moralnych - uśmiechnął się Grabicki. - Każdy poważnie traktujący swoje obowiązki oficer dochodzeniowy postąpiłby tak samo. To bardzo duża odpowiedzialność oskarżyć kogoś o popełnienie morderstwa. A znane są przecież w historii kryminalistyki wypadki, kiedy pozornie oczywiste i bezsporne dowody winy prowadziły do fałszywych wniosków. Zdarzają się pomyłki sądowe, szczególnie jeśli chodzi o sprawy o charakterze poszlakowym. Niestety, w przypadku pani Markowskiej sprawa nie będzie rozpatrywana jako poszlakowa. Właściwie została schwytana na gorącym uczynku.

- Z tym się nie mogę zgodzić - zaoponowała Maria. - Nikt nie widział jak Joanna uderzyła Szczerbińskiego. Nie było naocznego świadka tego działania.

Grabicki pokręcił głową.

- Tego rodzaju argumentacja obrony nie na wiele się zda. Widzi pani... Gdyby istniała jakaś różnica w czasie, choćby nawet niewielka... Nie wiem, czy mnie pani rozumie. Mam na myśli różnicę czasową od chwili śmierci Szczerbińskiego do przybycia Joanny Markowskiej. Niestety, sekcja zwłok

wykazała całkowitą zbieżność czasową tych dwóch faktów. Szczerbiński zmarł z chwilą pojawienia się w jego mieszkaniu pani Markowskiej. Zakład Medycyny Sądowej wyklucza jakiegokolwiek wątpliwości w tym względzie. Oczywiście nie można ustalić czasu zgonu co do minuty, ale... Zresztą nie potrzebuję tego pani tłumaczyć. Przecież pani jest lekarzem.

Maria potarła dłonią czoło.

- Nie mogę w to uwierzyć... W żaden sposób nie mogę. Trzeba Joannie zapewnić dobrą obronę.

- Właśnie - podjął skwapliwie Grabicki. - Właśnie o tej sprawie chciałem z panią porozmawiać. Pani Markowska znajduje się obecnie w stanie skrajnej depresji, o czym się mogła pani przekonać osobiście. Mówiłem, że powinna pomyśleć o obrońcy. Nie zareagowała. Wydaje mi się, że trzeba za nią zdecydować i że chyba pani zrobi to najlepiej.

- Zajmę się tym - powiedziała Maria.

W tej chwili weszła pielęgniarka, meldując, że chory spod szóstki czuje się gorzej.

Maria podniosła się pospiesznie.

- Pan wybaczy, ale muszę już pana pożegnać.

Grabicki wolnym krokiem wychodził ze szpitala. Przeprowadzona przed chwilą rozmowa dała mu dużo do myślenia. Żałował, że nie mógł dłużej pogawędzić z panią Nowacką. Trzeba było odwiedzić ją w prywatnym mieszkaniu, zatelefonować, umówić się. To wszystko zabrałoby sporo czasu, a działać należało możliwie szybko. W tej chwili przypomniał sobie rozmowę z gosposią. „Trzeba koniecznie znaleźć ten cholerny czwarty klucz” - pomyślał.

Bał się łez, spazmów, szlochów, tragicznych gestów. Tymczasem pani Karolina była nadspodziewanie spokojna i opanowana. Tylko na jej mocno przypudrowanej twarzy

malował się głęboki smutek.

Bruzdy wokół ust pogłębiły się, a zaczerwienione oczy straciły swój dawny blask.

- Napije się pan kawy czy herbaty, panie kapitanie?

Podziękował, prosząc, żeby sobie nie robiła kłopotu.

- Ja tylko na chwilę. Nie będę zajmował pani dużo czasu.

Rozumiem, że w tej sytuacji...

Nie nalegała.

- Spodziewałam się pańskiej wizyty - powiedziała cicho.

- Od kogo dowiedziała się pani o śmierci Piotra Szczerbińskiego? - spytał Grabicki.

- Od milicjanta, który stał przed drzwiami. Chciałam odwiedzić Piotra i...

- Czy pani miała klucz od mieszkania pana Szczerbińskiego?

- Tak. Miałam... - odparła jakby z pewnym wahaniem.

- Czy ma pani go dotychczas?

Zmieszła się.

- Gdzieś mi się zapodział. Sama nie wiem... Tak mnie to wszystko zaskoczyło, że...

- Zgubiła pani ten klucz?

- Nie wiem. Nie powinnam go zgubić. Miałam go zawsze w torebce. Ale... Nie rozumiem... Naprawdę, panie kapitanie... W takich tragicznych momentach człowiek nie zdaje sobie sprawy...

- A może ktoś wyjął ten klucz z pani torby?

- Nie, nie - zaoponowała z ożywieniem. - To niemożliwe, to zupełnie niemożliwe. Wykluczone.

Grabickiego zastanowił ten energiczny protest. Nie umiał sobie wytłumaczyć trochę dziwnej reakcji narzeczonej Szczerbińskiego. „Chyba że kogoś podejrzewa” pomyślał.

- Więc co się stało z tym kluczem?

- Nie mam pojęcia, panie kapitanie. Musiałam gdzieś go położyć, nie myśląc o tym, co robię. Czy to takie ważne?

- Może nie takie bardzo ważne, ale mimo wszystko chciałbym, żeby pani znalazła klucz od mieszkania Piotra Szczerbińskiego. To nam jest potrzebne do całości sprawy.

Pokiwiała głową.

- Rozumiem. Postaram się. Poszukam.

- Od jak dawna miała pani klucz od mieszkania pana Szczerbińskiego?

- Dokładnie nie pamiętam. Od paru miesięcy. Czasem przychodziłam podczas jego nieobecności, czekałam na niego. Zdarzało się, że przygotowywałam coś do zjedzenia.

- Tego rodzaju zasuwy kupuje się przeważnie z trzema kluczami.

- Tak. Ma pan rację. Zwykle są trzy klucze.

- Jeden miał pan Szczerbiński - zaczął wyliczać Grabicki.

- Drugi miała gosposia, a trzeci pani. Brakuje nam właśnie tego trzeciego. Mam jednak nadzieję, że się znajdzie.

- Nie ma wątpliwości, że się znajdzie - zapewniła pani Karolina. - Może pan być zupełnie spokojny, panie kapitanie.

- Och, to właściwie czysta formalność - uśmiechnął się łagodnie Grabicki. - Proszę mi powiedzieć, czy pani ma jakąś rodzinę?

- Ja wiedziałam, że to się musi tak skończyć! Wiedziałam!
- wybuchnęła gwałtownie, podnosząc chusteczkę do oczu.

Spojrzał zdziwiony.

- Nie rozumiem. O czym pani mówi?

- O śmierci Piotra oczywiście. Ostrzegałam go. Mówiłam, że to niebezpieczny człowiek. Prosiłam, żeby... Lekceważył sobie. On zawsze lekceważył niebezpieczeństwo.

Grabicki był coraz bardziej zaintrygowany.

- Przepraszam panią, ale w dalszym ciągu nie orientuję się

o czym pani mówi. Kto to jest ten niebezpieczny człowiek, który jakoby zagrażał Szczerbińskiemu?

- To pan nic nie słyszał o sprawie Güntera?
- Nie.

Zrobiła bardzo zdziwioną minę.

- Zdumiewa mnie pan. Prowadzi pan śledztwo w sprawie zamordowania Piotra i nie orientuje się pan, że jego śmiertelnym wrogiem był Günter. Karol Günter.

- Kto to jest Karol Günter?
- To pilot, który pracował razem z Piotrem w Algierii. Tak jak Piotr pilotował samoloty i helikoptery sanitarne. Zaczął tymi samolotami szmuglować narkotyki. Piotr nie mógł tego tolerować i doniósł o tej sprawie władzom. Günter został skazany na parę lat więzienia i odebrano mu prawo pilotowania samolotów! Czekał tylko na powrót Piotra z Algierii żeby się zemścić. No i zemścił się. Nie ma chyba wątpliwości, że on jest mordercą. To jest człowiek zdolny do wszystkiego.

Grabicki bardzo uważnie przyglądał się podekscytowanej kobiecie.

- To rzeczywiście bardzo interesujące co pani mówi. Nie odpowiedziała mi pani jednak na moje pytanie.

Była zaskoczona.

- Na jakie pytanie?
- Chciałem dowiedzieć się czy pani posiada jakąś rodzinę?
- Mam siostrzeńca - powiedziała cichym, niepewnym głosem.
- Jak nazywa się pani siostrzeniec?
- Zenon Konarzewski.
- Czym się zajmuje?
- Z zawodu jest ichtiologiem. Prowadzi gospodarstwo rybne w Poznańskim.
- Czy to jego własne gospodarstwo?

- To moja własność. Ja jestem właścicielką.
- Czy oprócz siostrzeńca ma pani jeszcze jakąś rodzinę?
- Nie. Nie mam nikogo. Umarli albo zginęli w czasie wojny. Został tylko Zenon.

- Gdzie w tej chwili przebywa pani siostrzeniec?
- W Madejkowicach oczywiście. Pilnuje gospodarstwa.

Dlaczego to pana interesuje?

Grabicki poruszył ramionami.

- Tak sobie zapytałem. Przy okazji chętnie obejrzałbym sobie to rybne gospodarstwo. To musi być interesujące.

- Bardzo proszę. Niech pan do nas kiedyś tam przyjedzie. Będzie pan mile widzianym gościem.

Grabicki skłonił się.

- Serdecznie dziękuję za zaproszenie. Może w czasie urlopu. Obecnie mam bardzo dużo pracy. Nie mógłbym się ruszyć z Warszawy. Nie zabieram pani czasu. Dziękuję za rozmowę. I do widzenia. A jak pani znajdzie ten klucz, proszę mnie zawiadomić.

- Niech pan natychmiast aresztuje Güntera, To on jest mordercą.

- Dziękuję za radę. Do widzenia.

W komendzie Grabicki zastał Stasiewicza.

- No i co z kluczem?
- Ani śladu, obywatelu kapitanie. Wszędzie szukaliśmy.
- Brakuje nam trzeciego i czwartego klucza - powiedział zamyślony Grabicki. - Trzeba jak najprędzej sprawdzić alibi Zenona Konarzewskiego i Karola Güntera. Jeszcze dzisiaj pojedziecie do Madejkowic.

- Do Madejkowic? - zdziwił się Stasiewicz. - Gdzie to jest?

- Gdzieś pod Poznaniem. Gospodarstwo rybne.

ROZDZIAŁ VIII

Bezsenne noce. Pełne nerwowego oczekiwania dnie. I strach chwyający za gardło. Karol nie dawał znaku życia. Wyszedł z domu i nie wrócił. Nie zostawił żadnej kartki, żadnej wiadomości, nie zatelefonował. Ogarniało ją rosnące z każdą chwilą przerażenie. Bała się najgorszego. Właściwie powinna była zameldować w komendzie milicji o zaginięciu męża. Nie miała odwagi. „Przecież wróci... Przecież wreszcie wróci” myślała rozgorączkowana. Żałowała, że go zwolniono przedterminowo za dobre sprawowanie. Niechby jeszcze posiedział w więzieniu. Nosiłaby mu paczki. Miałaby spokój. Boże, jak trudno żyć!

Któregoś dnia w sądzie podszedł do niej mecenas Dasiecki, który swego czasu był obrońcą Karola.

- Słyszeliście, koleżanko, nowinę? Szczerbiński został zamordowany.

Poczuła, że jej okropnie zaschło w gardle.

- Piotr? - spytała zmienionym głosem.

- Tak. Piotr Szczerbiński. Ten pilot, który się tak przysłużył waszemu mężowi. Co wam jest, koleżanko? Źle się czujecie?

Pospiesznie wyjęła z torebki chusteczkę i udała, że wyciera nos.

- Strasznie jestem przeziębiona. Chyba grypa.

Dasiecki bardzo dbał o swoje zdrowie. Przezornie odsunął się.

- Idźcie do domu. Połóżcie się. Z grypą nie ma żartów. Tak wyglądacie, jakbyście mieli temperaturę.

- Tak, tak. Pójdę do domu. Do widzenia.

Udało jej się odroczyć sprawę, pospiesznie pozbyła się togi i

wyszła z gmachu sądu.

„Piotr zamordowany... Piotr zamordowany...” dźwięczało jej w uszach. „Jezus Maria... Karol... Jezus Maria...!”.

Potrącała ludzi. Zataczała się jak pijana. Nic nie widziała. Nic nie słyszała. Odgłosy ulicy nie docierały do jej świadomości. Stało się to najgorsze, to, czego się obawiała.

- Męża nie ma w domu - powtórzyła niepotrzebnie.
- To nic nie szkodzi - uśmiechnął się dobrotliwie Grabicki.
- Chciałbym z panią zamienić kilka słów. Na razie.
- Proszę, niech pan wejdzie - widać było, że usiłuje zapanować nad zdenerwowaniem.

Zdjął płaszcz i dłonią przygładził przerzedzone włosy.

- Nazywam się Grabicki, kapitan Antoni Grabicki - przedstawił się, wycierając dokładnie nogi o słomiankę.

Weszli do niewielkiego pokoju, urządzonego skromnie, ale z dobrym smakiem. Na ścianach wisiały stare sztychy.

- Proszę, niech pan siada - ruchem ręki wskazała wyściełane krzeselko.

Grabicki usiadł i odchrząknął. - Ładnie tu u państwa - powiedział rozglądając się. - Wnętrze nie takie banalne jak to teraz się widuje.

Milczała. Nie podjęła tego tematu.

- Kiedy pani spodziewa się powrotu męża? - spytał Grabicki.

- Trudno mi powiedzieć. Poszedł do znajomych na brydża.

- Tak wcześnie na brydża? A można wiedzieć do kogo poszedł?

Odwróciła głowę.

- Nawet się nie orientuję.

- Nie orientuje się pani do kogo poszedł pani mąż na

brydża? - zdziwił się Grabicki.

Wiedziała, że zachowuje się bardzo głupio, ale nie była w stanie się opanować, nie mogła zebrać myśli.

- Mój mąż nie powiedział mi do kogo idzie. On tak czasem wyjdzie i nie powie...

- A jednak powiedział, że idzie na brydża.

Spojrzała spłoszona.

- Być może... Nie pamiętam. Jestem ostatnio tak bardzo zajęta. Karol często chodzi do różnych swoich przyjaciół na brydża...

Grabicki spojrzał uważniej na mówiącą.

- Proszę pani - powiedział cichym, spokojnym głosem. - Wydaje mi się, że pani zupełnie niepotrzebnie usiłuje prowadzić ze mną jakąś grę.

- Grę? Nie rozumiem.

- Doskonale pani rozumie. Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że ja mam pewne doświadczenie życiowe i że już niejednokrotnie przeprowadzałem podobne rozmowy. Wystarczy spojrzeć na moje siwe włosy. Pani jest szalenie zdenerwowana. Nie wie pani, gdzie obecnie znajduje się pani mąż. Proszę mi powiedzieć kiedy po raz ostatni widziała pani męża?

Po jej wymizerowanej twarzy zaczęły płynąć łzy.

- Nie ma go od kilku dni. Nie wiem gdzie jest. Nie wiem co się z nim stało - powiedziała cicho.

Grabicki wyjął z górnej kieszeni marynarki chusteczkę.

- Proszę. Czy pani zawiadomiła milicję o zaginięciu męża?

- Nie.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

Milczała, unikając jego spojrzenia.

- Pracuje pani w zespole adwokackim, więc chyba się pani

orientuje, że w takich wypadkach należy zawiadomić milicję. Dlaczego dotychczas pani tego nie zrobiła?

- Miałam nadzieję... Myślałam... Myślałam, że Karol lada dzień wróci.

- Może porozmawialibyśmy ze sobą szczerze? - zaproponował Grabicki.

- Szczerze panu powiedziałam, że Karola... że mojego męża od kilku dni nie ma w domu, że nie wiem, co się z nim stało.

Grabicki pokręcił głową.

- Nie o to mi chodzi. Chciałbym, żeby pani wyjawiała mi rzeczywisty powód swojego straszliwego zdenerwowania. To zdenerwowanie, to przerażenie nie jest spowodowane wyłącznie zniknięciem męża. Zdarza się przecież, że od czasu do czasu mąż gdzieś zawieruszy się nawet na parę dni. Kompania do kieliszka albo dziewczyna. Różnie bywa. Rozumiem, że może pani być zaniepokojona, ale to jeszcze nie powód do takiej rozpaczy.

- Czego pan chce ode mnie?

- Chcę, żeby mi pani zdradziła prawdziwy powód swojego przerażenia.

Nie zareagowała. Siedziała sztywna, nieruchoma, z mocno zaciśniętymi ustami. Już nie płakała.

Grabicki odczekał chwilę zanim znowu zaczął mówić.

- Nie chce pani powiedzieć, co panią tak gnębi. Wobec tego ja to sprecyzuję. Pani jest przekonana, że mąż pani zamordował Piotra Szczerbińskiego.

Zakryła twarz dłońmi.

- Nie, nie...!

- Proszę się uspokoić. - Grabicki już całkowicie panował nad sytuacją. - Od początku naszej rozmowy wszystkie pani reakcje wskazują na to, że mam rację. Możemy więc obecnie

rozmawiać bez żadnych zbędnych kamuflaży.

- Nie wierzę...

- Raczej nie chce pani wierzyć - sprostował Grabicki. - Przyznaję, że nie jest łatwo uwierzyć w taką rzecz. Niestety, tego rodzaju ewentualności nie możemy wykluczyć. Mąż pani miał powody, żeby nienawidzić Piotra Szczerbińskiego, Jestem o tej sprawie dokładnie poinformowany.

- Karol nie zamordował. To niczego nie dowodzi, że nienawidził Szczerbińskiego. Pan nie ma prawa go oskarżać...

- Ja nie mam najmniejszego zamiaru oskarżać pani męża - powiedział zdecydowanie Grabicki. - Prowadzę dochodzenie w sprawie popełnionego morderstwa i moim obowiązkiem jest dokładne zbadanie i przeanalizowanie wszystkich ewentualnych możliwości. Wydaje mi się, że pani, jako prawnik, doskonale orientuje się w tych zagadnieniach. Wszelkie wyjaśnienia są tu chyba zbędne. Oboje jesteśmy fachowcami z tej samej branży. Od kogo pani dowiedziała się o śmierci Szczerbińskiego?

- Słyszałam w sądzie. Powiedział mi jeden z kolegów.

- Od jak dawna męża pani nie ma w domu? Proszę sobie dokładnie przypomnieć.

- W sobotę już go nie widziałam.

- W sobotę? To znaczy siódmego października.

- Chyba tak. Tak, w sobotę był siódmy.

- Czy mąż pani nie zostawił jakiejś kartki, jakiejś wiadomości?

- Absolutnie nic.

- A czy komunikowała się pani ze znajomymi, z przyjaciółmi, z rodziną?

- Oczywiście. Nikt nic nie wie o Karolu.

- Czy mąż pani lubił sobie wypić?

- Dawniej nigdy nie pił. Czasami przy jakiejś

uroczystości, kieliszek, dwa, najwyżej trzy, więcej nigdy. Ostatnio rzeczywiście zaczął trochę pić. Często wracał do domu niezbyt trzeźwy. To mnie bardzo martwiło. Próbowałam na niego wpłynąć, ale... To nie takie proste.

- Hm... - Grabicki wierzchem dłoni potarł podbródek i skonstatował z przykrością, że niezbyt dokładnie się ogolił. - A czy pani nie orientuje się w czym towarzystwie mąż pani tak popija?

- Nie mam pojęcia.. Nigdy na ten temat nie chciał ze mną rozmawiać.

- Czy mąż pani miał zamiar wyjechać za granicę?

Zawahala się.

- Czy miał zamiar wyjechać za granicę? - powtórzył Grabicki.

- Wspominał coś na ten temat - odparła niechętnie -ale nie brałam tego poważnie. Różne rzeczy się mówi w chwilowym podnieceniu. Nie mógł znieść tego, że przez pewien okres nie miał prawa pracować jako pilot. To łączyło się z tamtą sprawą. Nie jestem przekonana, że został słusznie skazany.

- Zostało przeprowadzone bardzo dokładne dochodzenie - powiedział Grabicki. - Przejrzałem te akta.

Roześmiała się histerycznie.

- Dochodzenie? Oboje wiemy doskonale jak takie dochodzenia czasami wyglądają. Karol twierdzi, że nic nie wiedział o tych narkotykach.

Grabicki skrzywił się sceptycznie.

- To mało prawdopodobne. Zresztą policja algierska...

- Niech pan nie żartuje, panie kapitanie. Policja algierska sama mogła podrzucić Karolowi ten ładunek.

- Ponosi panią fantazja. Dajmy spokój tym kryminalnym filmom. Mogę panią zapewnić, że gdyby wina pani męża nie została w stu procentach dowiedziona, to nie zostałby skazany.

Ale mniejsza z tym. Nie warto zastanawiać się nad tym co było. To już jest przeszłość. Obecnie musimy zająć się terażniejszością,

- Nie wiem co pan ma na myśli.

- Przede wszystkim musimy odnaleźć pani męża. To w tej chwili jest nasze pierwszoplanowe zadanie.

W bezradnym geście rozłożyła ręce.

- Nie wiem gdzie go szukać.

- Zajmiemy się tym - zapewnił ją Grabicki. -

Przypuszczam, że nasza akcja niebawem przyniesie pozytywne rezultaty. À propos. Chciałbym pani zadać jeszcze jedno pytanie. Czy mąż pani miał jakichś wrogów?

Spojrzała zaskoczona.

- Wrogów? Czy sądzi pan...?

- Proszę pani - powiedział Grabicki łagodnym, pełnym perswazji głosem. - W wypadkach nagłego zaginięcia musimy brać rozmaite ewentualności pod uwagę. Pani mąż mógł zarówno ulec jakiemuś wypadkowi, jak i mógł być ofiarą agresji. Ten projektowany wyjazd za granicę wydaje mi się mało prawdopodobny. Trzeba będzie to wszystko bardzo dokładnie sprawdzić. Gdyby przypadkiem mąż pani wrócił do domu, bardzo proszę o natychmiastową wiadomość. Zostawię pani mój numer zarówno służbowy, jak i prywatny. Proszę telefonować do mnie o każdej porze dnia i nocy. Proszę się nie krępować. Sprawa jest ważna. Ja ze swej strony obiecuję, że jeżeli dowiem się czegokolwiek o pani mężu, niezwłocznie dam znać.

- Dziękuję panu - powiedziała cicho, wyciągając rękę na pożegnanie.

W komendzie powiadomiono Grabickiego, że szef chce się z nim widzieć.

Pułkownik siedział osowiały i małymi łykami popijał siemię lniane.

- Siadaj - powiedział, wskazując krzesło. - No i co? Grabicki wzruszył ramionami.

- No i nic. Mam coraz więcej kandydatów na morderców, ale tak Bogiem a prawdą nic konkretnego. Wiesz co, Michał? Może by kto inny poprowadził to dochodzenie? Może ja już jestem za stary?

- Nie wygłupiaj się - zachnął się Kazanowski. - Chcesz, żebym do takiej roboty przydzielił jakiegoś młodzika po szkole? A któż lepiej od ciebie może sobie z tym poradzić?

- Nie jestem wcale taki pewien - pokręcił głową Grabicki.

- Nie wierzysz w winę tej dziewczyny?

- Jeżeli mam być zupełnie szczery, to nie wierzę.

- Fakty zdecydowanie przemawiają przeciwko niej.

- To prawda. Ale nie możemy wykluczyć niezwyklego zbiegu okoliczności.

- To znaczy...?

- To znaczy, że przysłała zaraz po popełnieniu przez kogoś morderstwa.

- Mieszkanie Szczerbińskiego było przez cały czas pod obserwacją - zauważył pułkownik.

- Zgadza się. Ale morderca miał około piętnastu minut, kiedy nikt nie pilnował drzwi prowadzących do mieszkania Szczerbińskiego.

- Musiałby być znakomicie zorientowany.

- Jeżeli przyjmiemy taką hipotezę - powiedział Grabicki - to nie ma wątpliwości, że morderca nie tylko wiedział, że mieszkanie Szczerbińskiego pozostaje pod obserwacją, ale także znał z widzenia naszych ludzi.

Pułkownik przełknął ostatni łyk siemienia lnianego i uśmiechnął się.

- Czy ty przypadkiem trochę nie fantazujesz?
- Uważasz taką ewentualność za niemożliwą?
- Podobno nie ma na świecie rzeczy niemożliwych. Twoja hipoteza wydaje mi się jednak mało prawdopodobna.

Grabicki pokiwał głową.

- Zgadzam się z tobą. Jeżeli jednak wykluczymy z tej sprawy Joannę Markowską...

- Na czym właściwie opierasz swoje przypuszczenie, że ona jest niewinna?

- Na intuicji - powiedział wesoło Grabicki.

- Czy nie sądzisz, że to bardzo skromny materiał dowodowy?

Grabicki spoważniał.

- Istnieją także pewne konkretne fakty. A więc przede wszystkim te otwarte drzwi. Z zeznań różnych ludzi wynika, że Szczerbiński był w ostatnich czasach bardzo zdenerwowany, że się czegoś czy też raczej kogoś bał. Kazał założyć trzy dodatkowe zamki. W tej sytuacji trudno przypuścić, żeby zostawił drzwi otwarte i poszedł spać.

- Był łańcuch? - spytał pułkownik.

- Był. Został przecięty. Poza tym w zasuwie znaleziono drobiny wosku, co by oznaczało, że ktoś dorabiał klucz bez wiedzy właściciela mieszkania.

- Jeżeli wykluczysz Markowską, to jak ty sobie, Antosiu, wyobrażasz to całe zdarzenie?

Grabicki zamyślony podrapał się za uchem.

- Posłuchaj. To mogło być tak. Morderca już od dawna planował popełnienie tej zbrodni. Musiał to być ktoś doskonale zorientowany we wszystkich powiązaniach Szczerbińskiego. Wiedział oczywiście o zamordowaniu Magdaleny Wyszackiej i domyślił się, że Szczerbiński może pozostawać pod naszą dyskretną obserwacją. Bardzo zręcznie rozszyfrował naszych

ludzi i zorientował się, kiedy mniej więcej następuje zmiana posterunków. W czasie, kiedy Karpiński zszedł na dół i przed domem rozmawiał z Pastusiakiem, wszedł do mieszkania, zamordował Szczerbińskiego...

- I zdążył wyjść, narażając się na spotkanie z naszym funkcjonariuszem? - powiedział z powątpiewaniem pułkownik.

- Pozwól mi skończyć - zniecierpliwził się Grabicki. - Wcale nie ryzykował spotkania z naszym człowiekiem. Mógł wyjść, pójść na wyższe piętra i zjechać na dół windą. Jeżeli natomiast nie zdążył opuścić mieszkania Szczerbińskiego przed nadejściem Pastusiaka, to mógł się schować w szafie w przedpokoju.

- Nie mógł przewidzieć pojawienia się Joanny Markowskiej.

- Na pewno nie. To było dla niego ogromnym zaskoczeniem. Jeżeli dziewczyna zadzwoniła w chwili, kiedy on uderzył Szczerbińskiego, to nie miał innego wyjścia z sytuacji jak schować się w szafie w przedpokoju, a następnie dyskretnie się ulotnić.

- Pastusiak nie usłyszałby?

- Był tak zaabsorbowany morderstwem oraz dziewczyną, trzymającą w ręku narzędzie zbrodni, że mógł nie usłyszeć. To jest całkowicie prawdopodobne.

Pułkownik pokiwał głową.

- Pod tym względem zgadzam się z tobą. Cała ta jednak hipoteza wydaje mi się mocno naciągnięta. Tego rodzaju działanie wymagałoby niezwyklej precyzji w czasie. Wszystko musiałyby być wyważone, obliczone dosłownie co do minuty. Wspomniałeś coś o dodatkowych kandydatach na morderców. Czy mógłbyś mnie zaznajomić z tą sprawą?

- Oczywiście. - Grabicki odchrząknął, a następnie opowiedział w skrócie o swojej rozmowie z panią Karoliną

Widzewską oraz z żoną Güntera.

Pułkownik słuchał bardzo uważnie.

- To interesujące co mówisz. Z tego wynika, że poza Joanną Markowską mamy pełne prawo podejrzewać zarówno tego lotnika, jak i siostrzeńca ostatniej narzeczonej Szczerbińskiego. Gdyby to małżeństwo doszło do skutku, facet straciłby duże pieniądze, na które niewątpliwie od dawna liczy. À propos. Czy zorientowałeś się już w rachunkach bankowych Szczerbińskiego.

- Jeszcze nie zdążyłem.

- Trzeba to jak najprędzej załatwić. Przede wszystkim sprawdź jego konto dewizowe. Wszystkie formalności w tej sprawie już załatwiłem z prokuratorem. A lotnika musimy poszukać i znaleźć. Nie sądzę żeby udało mu się wyjechać za granicę.

- Ja także bardzo wątpię - przytaknął Grabicki. - Znajdziemy go. Najprawdopodobniej w jakiejś knajpie.

- A co z tym dorobionym kluczem?

- Ani śladu.

- To niedobrze - zmartwił się pułkownik. - A czy Pastusiak szukał?

- Nie. Pastusiaka przydzieliłem do inwigilowania Widzewskiej.

Pułkownik machnął ręką.

- Widzewska w tej chwili nieważna. Niech ją obserwuje Karpiński, a Pastusiak niech poszuka klucza. On do takich rzeczy jedyny. Pamiętaj jak to było z rękawiczką.

- Oczywiście, że pamiętam. Nikt nie mógł znaleźć, a Pastusiak znalazł. On ma pierwszorzędny węch. Zgoda. Każę mu szukać klucza.

- Dobrze byłoby zdobyć fotografie Güntera - powiedział pułkownik. - Musimy zawiadomić wszystkie komisariaty i

posterunki w okolicach Warszawy. Tę akcję należy przeprowadzić możliwie szybko.

ROZDZIAŁ IX

Nie zareagowała. Mogło się wydawać, że w ogóle nie zauważyła jego wejścia. Siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w szarej ścianie. Postał chwilę. Chrząknął raz i drugi. A kiedy to nie odniosło żadnego skutku, przysunął sobie taboret i usiadł.

- Dzień dobry. Czy pani mnie poznaje, pani Joanno? Nazywam się Sobański, Wiesław Sobański. Spotykaliśmy się u pana Zengiera. Chyba sobie pani przypomina. Jestem adwokatem.

Spojrzała na niego obojętnie.

- Przypominam sobie - powiedziała wolno i znowu zamilkła.

Sobański ostrożnie dotknął jej dłoni.

- Pani Joanno... proszę się z tego otrząsnąć. Tak nie można. Taka postawa do niczego nie doprowadzi. Musi pani być dzielna. Musi pani odzyskać wiarę w siebie. Bywają sytuacje w życiu człowieka, że trzeba walczyć. Nie wolno poddawać się rozpacz, rezygnacji... Przyszedłem tu, ponieważ chcę się podjąć tej sprawy. Czy pani nie ma nic przeciwko temu, żebym był pani obrońcą?

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko mi jedno.

Wyjął z teczki jakieś papiery, a z kieszeni długopis.

- Może pani zechce podpisać plenipotencję.

Podpisała.

- Czy mogłaby pani chwilę ze mną porozmawiać? - spytał Sobański.

- W jakim celu?

- Jako pani obrońca chciałbym omówić z panią pewne fakty.

Znowu wzruszenie ramion.

- Szkoda pańskiej fatygi.

- Przecież pani nie zabiła tego człowieka.

- Nikt w to nie uwierzy.

- Mogę panią zapewnić, że gdybym nie był głęboko przekonany o pani niewinności, nigdy nie podjąłbym się tej sprawy.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dziękuję panu. Ale oprócz pana nikt nie ma wątpliwości... Wszyscy są przekonani, że ja zabiłam Piotra.

Sobański energicznie potrząsnął głową.

- Myli się pani. Została pani zatrzymana, ponieważ schwytano panią nieomal na gorącym uczynku. Sytuacja, w jakiej się pani znalazła, wyglądała rzeczywiście jednoznacznie. W tej chwili jednak nawet oficer prowadzący dochodzenie w tej sprawie wcale nie jest stuprocentowo przekonany o pani winie.

- Tak pan tylko mówi, żeby mnie pocieszyć.

- Nic podobnego - zaprzeczył z ożywieniem Sobański. -

Daję pani najświętsze słowo honoru, że milicja ma poważne wątpliwości i że śledztwo w tej sprawie jest w toku. Sprawa nie jest ani zakończona, ani zamknięta.

- Ale prokurator może sporządzić akt oskarżenia.

- Nie przed zakończeniem śledztwa.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Jeżeli nie znajdą innego kandydata na mordercę, to...

Zresztą czy warto w ogóle mówić na ten temat?

- Nie tylko warto, ale trzeba - zaperzył się Sobański. - I bardzo proszę, żeby pani zechciała ze mną porozmawiać. Żeby tę rozmowę ułatwić, to może zadam pani kilka pytań.

- Jeżeli pan koniecznie chce...

- Proszę mi powiedzieć, kiedy pani postanowiła odwiedzić Piotra Szczerbińskiego?

- Tego samego dnia, kiedy został zamordowany.

- Czy zwierzała się pani komuś z tego zamiaru?

- Nie. Z nikim na ten temat nie rozmawiałam.

- Ani nawet z panią Nowacką?

- Nie. Marii także nic nie mówiłam. Zresztą właściwie do końca nie byłam zdecydowana. Nie wiedziałam czy pójdę, czy nie. Zdecydowałam się w ostatniej chwili. Złapałam taksówkę i pojechałam.

- W mieszkaniu Szczerbińskiego nie paliło się światło.

- Nie. Ale ja z ulicy tego nie zauważyłam. Spieszyłam się. Nie spojrzałam w jego okna. Dopiero kiedy weszłam.

- Drzwi nie były zamknięte.

- Tylko na klamkę. Najprzód dzwoniłam, a potem nacisnęłam klamkę i weszłam.

- Czy panią to nie zaskoczyło, że drzwi były otwarte i że nie paliło się światło?

- Oczywiście, że mnie to zastanowiło.

- Czy nie bała się pani wejść do ciemnego mieszkania?

Zawahała się.

- Bo ja wiem. W tej chwili nie pamiętam czy się bałam. Chyba nie myślałam o tym, żeby się bać. Po prostu weszłam i zapaliłam światło.

- Czy wtedy, jak pani weszła, nie posłyszła pani czegoś?

- To znaczy czego?

- No... powiedzmy jakiegoś skrzypnięcia... jakichś szmerów?

Potrząsnęła głową.

- Nic takiego sobie nie przypominam. Od razu weszłam do pokoju, potknęłam się o tę statuetkę i zobaczyłam Piotra na tapczanie... Boże! To było straszne.

- Czy w tym mieszkaniu jest szafa w przedpokoju? - spytał po chwili Sobański.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Szafa? Tak. Jest duża szafa na ubrania. Czyżby pan przypuszczał, że...

Uśmiechnął się.

- Nie mam żadnych podstaw, żeby cokolwiek przypuszczać. Usiłuję po prostu stworzyć sobie jakąś mniej więcej prawdopodobną wersję tego zdarzenia, w której pani nie grałaby głównej roli.

- Sądzi pan, że ktoś mógł się ukryć w tej szafie?

- Taka ewentualność chyba jest możliwa.

Joanna wyraźnie się ożywiła. Oczy jej zabłyśły.

- Wszedł, zamordował Piotra, a kiedy usłyszał dzwonek cofnął się do przedpokoju i schował się w szafie.

- Na pani korzyść przemawia fakt, że drzwi nie były zamknięte.

- Piotr został zamordowany we śnie. Morderca musiał mieć klucz od mieszkania.

Sobański pokiwał głową.

- Tak należy przypuszczać. Ponieważ ten milicjant wszedł do mieszkania zaraz po pani, przeto najprawdopodobniej musiał widzieć, że pani weszła nie używając klucza. To potraktujemy jako podstawę obrony.

Chwilowe ożywienie minęło. Oczy jej znowu przygasły.

- Jeżeli dojdzie do rozprawy w sądzie, nie mam, żadnych szans.

- Dlaczego pani tak przypuszcza?

- Bo przecież wszystkie okoliczności przemawiają przeciwko mnie. Motyw zbrodni także istnieje. Zemsta. A chyba pan nie wątpi, że to morderstwu milicja połączy z zabójstwem Magdy Wyszackiej.

- To bardzo prawdopodobne.

- Źle zrobiłam, że w czasie przesłuchania skłamałam.

- To znaczy?

- Zeznałam, że nie widziałam się z Magdą, a tymczasem byłam u niej z samego rana, na drugi dzień po jej przyjeździe. Jeżeli więc teraz zidentyfikują moje odciski palców...

- Niech się pani tym nie przejmuje - uspokoił ją Sobański - oczywiście to kłamstwo było zupełnie niepotrzebne, ale jakoś sobie poradzimy. Najważniejsza jest wiara w słuszną sprawę. To jest, pani Joanno, życiowa próba, z której wyjdzie pani obronną ręką.

Usiłowała się uśmiechnąć.

- Dziękuję. Jest pan dla mnie bardzo dobry. Tyle pan wkłada energii w to, żeby mi dodać otuchy, żeby mnie pocieszyć.

Delikatnie dotknął końcami palców jej dłoni.

- Pani Joanno... Proszę mi wierzyć... Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby pani pomóc. Pani przecież wie, że ją od dawna... Nie, nie, niech pani nic nie mówi. Ja niepotrzebnie... Przepraszam. Będzie dobrze. Zobaczysz pani. Trzeba tylko, żeby pani była dzielna, żeby się pani nie załamywała. W tej chwili najważniejsza jest pani postawa psychiczna. Nie wolno poddawać się apatii, rezygnacji. Ta cała niesamowita sprawa na pewno się wyjaśni, musi się wyjaśnić. Może pani przynieść jakieś książki, czasopisma?

- Dziękuję. Mam co czytać.

- Odwiedzę panią w najbliższym czasie. Może nawet jutro.

Podawała mu rękę na pożegnanie.

- Jeszcze raz serdecznie panu dziękuję.

Znalazłszy się na ulicy, Sobański ruszył przed siebie długimi, energicznymi krokami. Był pod wrażeniem rozmowy z Joanną. Próbował zrekonstruować sobie każde jej słowo, każdy gest. Wydawało mu się, że odniósł pewien sukces, wydobywając ją z tego beznadziejnego odrętwienia. Chyba dosyć zgrabnie dodał jej otuchy, zachęcił do walki. Wiedział, że sprawa nie jest prosta i niełatwe czeka go zadanie. Milicja niewątpliwie połączy te dwa morderstwa. Motywy zupełnie wyraźne, a biorąc pod uwagę jej usposobienie i temperament... Jeżeli do tego wszystkiego stwierdzą, że wtedy skłamała i że jednak była w mieszkaniu Wyszackiej... Właściwie milicja mogłaby już przekazać sprawę do prokuratury. A sprawa sądowa...? Obrona nie będzie łatwa.

Wieczorem zadzwoniła Maria. Była niespokojna o Joannę. - Może wpadłbyś na chwilę do mnie - zaproponowała.

Zgodził się niezbyt chętnie. Był zmęczony.

Poczęstowała go herbatą, kieliszkiem koniaku i babką piaskową.

- Opowiadaj jak to się wszystko odbyło.

Możliwie dokładnie streścił rozmowę z Joanną. Słuchała z ogromnym zainteresowaniem.

- Słuchaj, Wiesiu... powiedz mi tak zupełnie szczerze, co Ty myślisz o tej sprawie?

- Jestem głęboko przekonany o jej niewinności.

- Nie o to mi chodzi. - Maria umoczyła wargi w koniaku. - Chciałabym się dowiedzieć, jak ty oceniasz sytuację z punktu widzenia prawnego?

- No cóż... Prawdę mówiąc sytuacja jest dosyć skomplikowana. Dwa morderstwa logicznie ze sobą związane osobą Joanny. Motyw zupełnie wyraźny. W przypadku Piotra

została schwytała nieomal na gorącym uczynku. Praktycznie prokurator mógłby już sporządzić akt oskarżenia.

- A co milicja?
- Milicja w dalszym ciągu prowadzi śledztwo.
- To znaczy, że nie są w stu procentach przekonani o winie

Joanny.

- Można z tego wyciągnąć taki wniosek.
- To i tak dobrze, że badają jeszcze tę sprawę.
- Jeśli chodzi o naszą milicję, to trzeba przyznać bezstronnie, że w tego rodzaju sytuacjach działają bardzo uczciwie - powiedział Sobański - i wystarczy najmniejszy cień wątpliwości, żeby w dalszym ciągu prowadzili dochodzenie.

- Nie ograniczają się tylko do osoby Joanny.
- Na szczęście nie. Szukają jeszcze innego kandydata na mordercę.

- Kto prowadzi śledztwo?
- Niejaki kapitan Grabiński. Stary fachowiec. Podobno bardzo uczciwy facet.

- Rozmawiałeś z nim?
- Jeszcze nie. Chciałbym zorganizować takie spotkanie, ale to nic nie da. Przed zakończeniem dochodzenia nie będzie chciał ze mną rozmawiać na konkretne tematy.

- Co można zrobić w tej sytuacji?

Sobański w bezradnym ruchu rozłożył ręce.

- Właściwie nic. Musimy cierpliwie czekać.

- Nie moglibyśmy działać na własną rękę?

Uśmiechnął się.

- Chciałabyś ze mnie zrobić bohatera powieści Gardnera. Niestety, nie mogę wystąpić w roli Perry Masona. Tu nie Ameryka. Nie ma pola do popisu dla prywatnych detektywów.

Sięgnęła po butelkę.

- Napijesz się jeszcze koniaku?

Nakrył dłonią swój kieliszek.

- Dziękuję ci bardzo, ale już będzie dosyć. Jestem trochę przemęczony.

- W każdym razie bardzo dobrze się stało, że zobaczyłeś się z Joanną - powiedziała Maria. - Mam nadzieję, że trochę ją pokrzepiłeś na duchu.

- Wydaje mi się, że tak. Zostałem ją bardzo załamana. Z trudem nakłoniłem ją do rozmowy. Zgodziła się, żebym został jej obrońcą. Podpisała plenipotencję.

- Tak mi jej żal, tak bardzo żal - westchnęła Maria. - To dla niej podwójny wstrząs. Ona przecież mimo wszystko kochała Piotra. Być może miała jeszcze nadzieję, że się znowu zejda.

- Podobno Szczerbiński miał już nową narzeczoną.

- Spojrzała zaskoczona.

- Czyż to możliwe? Skąd wiesz?

- Tak słyszałem. W Warszawie nic się nie ukryje. Tutaj ludzie wszystko wiedzą o swoich bliźnich.

- Ja na przykład nic o tym nie wiedziałam. Któż to jest ta pani?

- Nie orientuję się. Jakoś nie zainteresowałem się tą sprawą.

- A może warto by się zainteresować.

Sobański pokiwał głową.

- Masz rację. Chyba warto. To nie powinno być takie trudne. Wiesz nad czym się cały czas zastanawiam?

- Zapewne nad urodą Joanny - uśmiechnęła się Maria.

- Nie żartuj. Ciągłe mnie niepokoi to, czy należy łączyć ze sobą te dwa morderstwa. Czy Magdalenę Wyszacką zamordowała ta sama osoba co i Piotra Szczerbińskiego. A może to jest tylko pozorna zbieżność. Może to są dwie zupełnie odrębne sprawy?

- Nie wydaje mi się - powiedziała po namyśle Maria. - Te dwie zbrodnie mają chyba ze sobą coś wspólnego.

Sobański sięgnął po szklankę i wypił łyk herbaty, która już zupełnie wystygła.

- Istnieje jeszcze inna możliwość. Szczerbiński chciał się żenić, być może z jakąś bogatą niewiastą. Wyszacka przeszkadzała mu i postanowił ją zlikwidować, licząc na to, że podejrzenie padnie na Joannę. Następnie zaś Szczerbińskiego zamordował ktoś nie mający nic wspólnego z tą sprawą.

Maria skrzywiła się.

- Chcesz zrobić z Piotra potwora?

- To chyba nie był ciekawy typ.

- Na pewno nie można go było posądzić o kryształowy charakter - przyznała Maria - ale żeby miał mordować Magdalenę... Nie, nie... Wiem, że milicja go o to podejrzewała, ale ja nie wierzę.

Sobański w zamyśleniu strzelał w palce.

- Zarówno Magdalena Wyszacka, jak i Szczerbiński byli w Algierii. Zastanawiam się nad tym, czy tych dwóch zbrodni nie należałoby łączyć z tamtym terenem. Szczerbiński mógł być zamieszany w jakąś kryminalną aferę, o której wiedziała Wyszacka. Na przykład narkotyki.

- Znasz sprawę Güntera? - spytała Maria.

- Mówisz o tym pilocie. Przemyt narkotyków. Tak, wiem. Słyszałem o tej sprawie. Został skazany.

Maria nalała sobie jeszcze odrobinę koniaku.

- Gdyby Piotr miał coś wspólnego z tą aferą, niewątpliwie wyszłoby to na sprawie. Günter na pewno by go nie oszczędzał.

- Günter mógł nie wiedzieć, a Wyszacka wiedziała, ponieważ była związana ze Szczerbińskim.

Maria z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

- To mało prawdopodobne. Czy słyszałeś o takim Arabie, który się nazywa Ali Selim Tahelen?

- Nie słyszałem.

- A widzisz. Okazuje się, że w Warszawie nie wszyscy wszystko wiedzą.

- No i co ten Arab? - niecierpliwił się Sobański.

- Wyobraź sobie, że to jest facet, który do nieprzytomności kochał się w Magdalenie. Jakiś znany handlowiec w Algierze, podobno szejek. Przy zwłokach Magdaleny znaleziono sztylet z jego inicjałami.

- I milicja go nie zatrzymała?

- Tylko go przesłuchiwali.

- Jest w Warszawie?

- Tak. Podobno mieszka w „Forum”.

- Niesłychane! - wykrzyknął Sobański. - Znaleźli przy zwłokach jego sztylet i nie zatrzymali go?

- Ten sztylet podarował Magdalenie - wyjaśniła Maria. - Słyszałam, że identyczne sztylety ze swoimi inicjałami rozdaje różnym swoim znajomym i przyjaciółom.

- Ale że go też nie zamknęli - nie mógł się nadziwić Sobański.

- Widocznie nie mieli dostatecznych podstaw, a może przedstawił niezbite alibi.

- Skąd wiesz o tym Arabie? Od kogo?

- Od Konrada. Był u niego oficer, prowadzący śledztwo. Właśnie w sprawie tego sztyletu. Chodziło o ekspertyzę. Konrad zna się na tych rzeczach. Ma całą kolekcję arabskich sztyletów.

Sobański głęboko się zamyślił.

- Słuchaj, Mario, jakbyś się zapatrywała na to, żebym porozmawiał z szejkiem?

- Wydaje mi się, że nic nie ryzykujesz. A może dowiesz

się od niego czegoś ciekawego.

Zadzwęczał dzwonek.

- Spodziewasz się kogoś? - spytał Sobański.

- Nie. Nie mam pojęcia kto to może być. Pójdę otworzyć.

Po chwili wróciła, wprowadzając do pokoju Zengiera.

Niechętnym spojrzeniem obrzucił młodego człowieka.

- O, przepraszam cię. Nie wiedziałem, że masz gościa.

Przechodziłem koło twojego domu i wpadłem na chwilę. Ale może przeszkadzam.

- Nic podobnego - zapewniła z ożywieniem Maria. - Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Znasz mecenasa Sobańskiego. Był u ciebie niedawno.

- Tak, tak, przypominam sobie. - Zengier wyciągnął rękę na powitanie. - Dobry wieczór. Jak się pan miewa, panie mecenasie.

- Dziękuję. Znakomicie - odparł zaskoczony trochę Sobański.

- Rozmawialiśmy właśnie na temat Joanny - wyjaśniła Maria. - Wiesław był u niej i podjął się prowadzenia jej sprawy.

- Ach tak - mruknął obojętnie Zengier.

Maria poczuła się skrzepowana.

- Napijesz się czegoś?

- Jeżeli masz kropelkę możliwego koniaku...

- Mam tylko „Martineau”. Odpowiada ci?

- Niech będzie. Nie jest co prawda zbyt wysoka klasa, ale w braku czego innego...

Napełniła kieliszek.

- A wy...? - spytał Zengier.

- Myśmy już swoją porcję wypili przed twoim przyjściem - uśmiechnęła się Maria. Towarzystwo tych dwóch mężczyzn zaczynało jej coraz bardziej ciążyć. Marzyła o tym, żeby się jak najprędzej pozbyć Wiesława.

Zengier podniósł kieliszek i uważnie przyjrzał się jego zawartości, jakby chciał sprawdzić klarowność trunku.

- No i cóż panie mecenasie? Jak pan ocenia sprawę tej młodej dziennikarki?

- To nie taka prosta sprawa - odparł ociągając się Sobański. Nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- Przed twoim przyjściem zastanawialiśmy się z Wiesławem, czy zamordowanie Magdaleny i Piotra nie ma jakiegoś powiązania z terenem Algieru - wtrąciła się Maria. - Oboje przebywali tam przecież przez dłuższy czas.

Zengier poruszył ramionami.

- Wszystko jest możliwe. Może należałoby się zastanowić nad sprawą tego przemytu narkotyków sanitarnymi samolotami. Słyszał pan o tej historii, mecenasie?

Sobański skinął głową.

- Znam tę sprawę. To mogłoby mieć ewentualnie coś wspólnego z zabójstwem Szczerbińskiego, ale jeżeli chodzi o panią Wysznaćką...

- Magdalena na pewno nie miała nic wspólnego z podobnymi aferami - powiedziała stanowczo Maria. - Znałam ją przecież od dawna i wiem, że była wzorem uczciwości.

- Mogła coś o kimś wiedzieć - zauważył Zengier, podnosząc do ust kieliszek.

- To jest prawdopodobne - przytaknął Sobański. - Mogła być dla kogoś niebezpieczna. Dlatego została zamordowana natychmiast po przyjeździe do Polski, ludzie, którzy trudnią się handlem narkotykami nie przebierają w środkach. W tym środowisku sprawa zlikwidowania niewygodnej osoby jest rzeczą najzupełniej normalną. Zengier postawił na stoliku pusty kieliszek.

- Tak. Nie przebierają w środkach - powtórzył. - W Algierii, tak zresztą jak na terenie całej Afryki, handel

narkotykami jest bardzo rozpowszechniony, a zarówno ten pilot, jak i pani Wyszacka mieli oczywiście ciągły kontakt z Arabami, którzy chętnie uprawiają ten proceder.

- Masz zamiar porozmawiać z tym Arabem, który mieszkał w „Forum” - powiedziała Maria. - Może ci się uda czegoś od niego dowiedzieć.

- Może - powiedział Sobański. Wstał i zaczął się żegnać.

Zostali sami. Zengier sięgnął po butelkę i napełnił swój kieliszek.

Maria spojrzała zdziwiona.

- Co ty tak dzisiaj pijesz?

- Taki mam alkoholowy nastrój - uśmiechnął się z pewnym przymusem.

- Jak się czujesz?

- Zupełnie dobrze. Trochę jeszcze jestem osłabiony, ale to przejdzie.

- Nie masz już temperatury?

- Przestałem się tym interesować. Mierzenie temperatury to bardzo nudne zajęcie.

- Dlaczego byłeś taki niemiły dla Wiesława?

- Niemiły? Nic podobnego. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przez cały czas rozmawiałeś z nim takim trochę protekcyjnym tonem.

- Chyba ci się zdawało.

- Wcale mi się nie zdawało. Znam cię na tyle dobrze...

Przerwał jej energicznym ruchem ręki.

- Dajmy temu spokój. Czy nie możemy rozmawiać o czymś ciekawszym?

- A na jaki temat miałbyś ochotę porozmawiać?

Wyjął z kieszeni fajkę oraz kapciuch z tytoniem.

- W każdym razie mam już dosyć rozmów na temat morderstw, adwokatów, milicjantów...

- Joanna to moja najbliższa przyjaciółka - zauważyła Maria. - Nie możesz się dziwić, że interesuję się żywo jej losem.

Wzruszył ramionami.

- Nie dziwię się. Po prostu mam już tego dosyć.

Przez chwilę milczeli. Zengier napełnił fajkę tytoniem i sięgnął po zapalki. Maria w zamyśleniu obracała w palcach pusty kieliszek.

- Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? - spytała.

- Nie mam żadnych planów. Najchętniej poszedłbym do domu i położył się spać.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Nie zatrzymuję cię - powiedziała chłodno.

Zapalił fajkę i otoczył się dymem.

- Gniewasz się.

- Co za pomysł. Dlaczegoż miałabym się gniewać? Jesteś jeszcze osłabiony po tej grypie. To zrozumiałe, że masz ochotę się położyć.

Przyjrzał jej się uważnie. Czuł, że ostatnio coś się zaczynało psuć między nimi. Nie wiedział czemu to przypisać.

- A ty na co masz ochotę? - spytał odkładając fajkę na popielniczkę. - Chciałabyś może, żebym został u ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Konradzie. Nie chciałabym.

Ali Selim Tahelen przyjął młodego prawnika z ogromną atencją. Było w tym sporo wschodniej egzaltacji. Kłaniał się z przesadną uprzejmością, pokazywał w uśmiechu białe, zdrowe zęby, grubymi wargami cmokał z ukontentowania. Mówił dobrze po angielsku, wymawiając starannie poszczególne wyrazy i dbając o poprawną dykcję.

- Miło mi, że pan mnie odwiedził, panie mecenasie.

Ogromnie jestem rad z poznania pana. To dla mnie prawdziwy zaszczyt nawiązać osobisty kontakt z przedstawicielem polskiej palestry. Dużo słyszałem o wysokim poziomie polskiego sądownictwa oraz polskiej adwokatury. Wydziały prawa na polskich uniwersytetach cieszą się dużym uznaniem na całym świecie. Czym można pana poczęstować, panie mecenasie? Whisky? Martini? Koniak? A może ma pan ochotę na jakieś słodycze? Chałwa, czekolada...

Sobański był nieco oszołomiony tą dziwną przemową, podziękował za poczęstunek i usiadł na wyściełanym krzeselku.

- Proszę mi wybaczyć, że osmieliłem się pana niepokoić - powiedział z uśmiechem, wpadając mimo woli w niezwykle uprzejmy ton.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił Arab. - Tak rzadko ostatnio mam okazję rozmawiać z naprawdę kulturalnym człowiekiem... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie znaczy to bynajmniej, że uważam pańskich rodaków za ludzi niezbyt kulturalnych. Po prostu nie mam tu w Warszawie przyjaciół, a przygodni znajomi... No cóż... Wie pan jak to bywa... Cudzoziemiec, który robi wrażenie człowieka zamożnego, jest często narażony... Zresztą nie warto o tym mówić. Domyślałem się, że pan mnie odwiedził w pewnym określonym celu, panie mecenasie.

Sobański skinął głową.

- Tak. Chciałbym z panem porozmawiać na temat dwóch morderstw, które zostały niedawno popełnione w Warszawie.

Ali Selim Tahelen, który sięgał właśnie po prasowanego daktyla, zatrzymał w powietrzu rękę i spojrzał zdumiony.

- Dwa morderstwa? Słyszałem o zamordowaniu pani Magdaleny Wyszackiej.

- To prawda - przytaknął Sobański. - Pani Wyszacka

została zamordowana zaraz po przyjeździe do Warszawy. Ale oprócz tego został także zamordowany niejaki Piotr Szczerbiński, który w Algierii pilotował samoloty i helikoptery sanitarne.

Arab z wyrazem szczerego żalu pokiwał głową.

- O, to przykre, to bardzo przykre. Biedny pilot - zrezygnował z daktyla i sztyletem z ozdobną rękojeścią ukroił sobie kawałek chałwy. - A pan, panie mecenasie...? Domyślam się, że pan ma coś wspólnego z tą sprawą.

- O zamordowanie Piotra Szczerbińskiego jest podejrzana pewna młoda dziennikarka. Ja jestem jej obrońcą - wyjaśnił Sobański.

- Teraz rozumiem. - Słowa te zostały wypowiedziane niezbyt wyraźnie. Chałwa źle wpływa na dykcję.

- Przyszedłem prosić pana o pomoc.

Ali Selim Tahelen nie przestawał kiwać głową.

- Oczywiście, bardzo chętnie. Jestem do pańskiej dyspozycji, panie mecenasie. Nie wiem tylko w czym mógłbym być panu pomocny.

Sobański założył nogę na nogę i zapalił papierosa.

- Widzi pan... zarówno pani Wyszacka, jak i Piotr Szczerbiński przez dłuższy czas przebywali w Algierii. Dlatego też zastanawiam się czy obydwaj te morderstwa nie są w jakiś sposób związane z tamtejszym terenem.

Arab przełknął chałwę i otarł wargi bajecznie kolorową chustą.

- Czy pan podejrzewa mnie o popełnienie tych zbrodni? - spytał spokojnie.

- Ależ nic podobnego - zaprotestował żywo Sobański. - Nigdy mi to na myśl nie przyszło.

Ali Selim Tahelen badawczo przyjrzał się mówiącemu. W jego ciemnych oczach, osłoniętych ciężkimi powiekami, nie

było już serdeczności. W zwinnych palcach obracał sztylet, którym przed chwilą krajał chałwę.

- Więc czego pan właściwie chce ode mnie?
- Pozwoliłem sobie niepokoić pana, ponieważ miałem nadzieję, że zdobędę trochę informacji, dotyczących pani Wyszackiej i Szczerbińskiego.

- O jakie informacje panu chodzi?
- Zdaje się, że pan znał osobiście panią Wyszacką.
- Znałem.
- Co pan może o niej powiedzieć?
- To była wspaniała kobieta. Tego, kto odważył się podnieść na nią rękę, obdarłbym ze skóry.

- Czy pani Wyszacka miała jakichś wrogów?
- Nie ma na świecie człowieka, który nie miałby wrogów - padła sentencjonalna odpowiedź. - Często najlepszy przyjaciel staje się naszym wrogiem.

- To prawda - zgodził się skwapliwie Sobański, pragnąc nawiązać z Arabem serdeczny kontakt. - Ma pan najzupełniejszą rację. Ciekawe, jaki mógł być motyw tej zbrodni?

Ali Selim Tahelen wydał wargi.

- To była albo zazdrosna kobieta, albo...
- Albo komuś mogło zależeć na tych pamiętnikach.
- O jakich pamiętnikach pan mówi?

Arab uśmiechnął się chytrze. Najwyraźniej bawił się zaciekawieniem swego rozmówcy.

- Pani Magdalena Wyszacka pisała pamiętniki, które miała zamiar opublikować po powrocie do swego kraju. Może w tych pamiętnikach znajdowało się coś, co kogoś mogłoby skompromitować.

- To bardzo interesujące co pan mówi - powiedział Sobański. - Skąd pan wie o tych pamiętnikach?

Na tłustej, oliwkowej twarzy pojawił się znowu wyraz kordialnej serdeczności.

- Wiem to od samej pani Wyszackiej, drogi mecenasie. Pokazywała mi te pamiętniki. Niektóre fragmenty nawet mi czytała, tłumacząc oczywiście z polskiego na francuski. Proponowałem jej, że porozmawiam z algierskimi wydawcami. Odmówiła. Powiedziała, że chce to wydać w Polsce. To bardzo cenny materiał. Pamiętniki lekarki. Interesujące, bardzo interesujące. Ciekawe co się z nimi stało. Może znalazła je wasza policja, a może zabrał morderca.

- Może zabrał morderca - powtórzył Sobański i zamyślił się. To co przed chwilą usłyszał skojarzył sobie błyskawicznie z osobą Piotra Szczerbińskiego. Jeżeli to prawda, że Wyszacka pisała pamiętniki, to mogło rzeczywiście być w nich coś takiego co kompromitowało pilota. Czyżby Szczerbiński zamordował Wyszacką, a następnie sam...? Hipoteza, że obydwie te morderstwa są ze sobą w jakiś sposób powiązane zaczynała blednąć. Szczerbiński zlikwidował Wyszacką. To jedna sprawa, a zabójstwo Szczerbińskiego to druga sprawa, nie mająca z tamtą nic wspólnego. Zemsta pilota, który siedział za handel narkotykami. Prawdopodobne.

Ali Selim Tahelen z obojętnym wyrazem twarzy przyglądał się swojemu gościowi.

- O czym nam tak myśli, panie mecenasie?

- Zastanawiam się nad tym co mi pan powiedział. Dochodzę do wniosku, że te pamiętniki mogły być rzeczywiście motywem zbrodni.

- A może jednak zje pan kawałek chałwy? - zaproponował Arab.

ROZDZIAŁ X

- Znowu te ruskie pierogi?

Pani Jadwiga spojrzała ze szczerym zdumieniem.

- Przecież ty bardzo lubisz ruskie pierogi. To twoja ulubiona potrawa.

- A prawda - przypomniał sobie Grabicki. - To moja ulubiona potrawa. Przepraszam cię, Dziuniu.

Była wyraźnie zaniepokojona.

- Antosiu, co się z tobą dzieje? Jesteś strasznie roztargniony.

- Jakbyś ty miała dwa trupy na karku, to także byłabyś roztargniona - odparował Grabicki.

- Przestań wreszcie myśleć o tych trupach.

Wzruszył ramionami.

- Nie bądź dziecinna. A o czym mam myśleć? W żaden sposób nie mogę rozgryźć tych dwóch morderstw.

- Jedz, bo ci wszystko wystygnie.

Zabrał się do jedzenia i przez chwilę posilał się w milczeniu. Pierogi smakowały mu, ale nie tak jak zwykle. W ogóle ostatnio nic mu specjalnie nie smakowało. Stracił apetyt, a oprócz tego źle sypiał i był ciągle rozdrażniony. To, że nie dochodziło do scen małżeńskich, było wyłącznie zasługą pani Jadwigi, będącej kobietą taktowną i wyrozumiałą. Wiedziała, kiedy należy wrzasnąć na Antosia, a kiedy zamilknąć i nie wszczynać niebezpiecznej dyskusji.

Postawiła przed mężem szklanekę gorącej herbaty i zabrała talerz po pierogach.

Siedział zamyślony i osowiały.

- Pij herbatę.

Machinalnie zaczął mieszać łyżeczką w szklance.

- Nie nasypałeś cukru - zauważyła pani Jadwiga - po cóż mieszasz?

- Rzeczywiście - zreflektował się Grabicki. - Nie nasypałem cukru. Masz rację. Wiesz co, Dziuniu? Tak sobie czasem myślę, że może jednak jestem za stary do tej roboty. Tu trzeba młodej głowy.

- Przecież chciałeś przed pójściem na emeryturę dostać jakąś interesującą sprawę - powiedziała pani Jadwiga, wycierając stół flanelową ściereczką.

- To prawda - przyznał Grabicki. - Marzyłem o jakiejś ciekawej sprawie. Obawiam się jednak, że to dla mnie za twarde orzech do zgryzienia. Poszłak do diabła i trochę, a jak dotąd, właściwie żadnego konkretnego materiału dowodowego. Może być tak, a może być zupełnie inaczej. Dwa morderstwa i nie mam pojęcia czy powinienem je ze sobą łączyć, czy też jest to zwykły zbieg okoliczności, że ci ludzie byli ze sobą związani. Michał porządny chłop, ale jak tak dalej pójdzie, to odbierze mi sprawę i będzie miał świętą rację. Powie: „Antoś, idź na emeryturę. Odpoczniesz sobie, zajmiesz się ogródkiem”.

- Może byś się trochę położył? - zaproponowała pani Jadwiga.

- Nie chce mi się leżeć. W grobie się dosyć nalezę. Przejrzę gazety.

W tej chwili zadzwieczał dzwonek. Pani Jadwiga poszła do przedpokoju. Zaraz wróciła.

- Jakiś pan Sobański chce się z tobą widzieć. Mówi, że jest adwokatem.

- Poproś go.

Grabicki wstał i ruszył na powitanie gości.

- Dobry wieczór, panie mecenasie. Proszę uprzejmie. Nie

wiem, czy zna pan moją żonę.

Sobański uklonił się i ucałował wyciągniętą, ku niemu dłoń.

- Miło mi panią poznać. Proszę mi wybaczyć, że przychodzę tak niespodziewanie, ale byłem właśnie w tej okolicy...

- Ależ nic nie szkodzi - zapewnił Grabicki. - To bardzo miło, że pan nas odwiedził. Napije się pan herbaty?

- Bardzo dziękuję, ale przed chwilą wyszedłem z kawiarni, gdzie wypilem aż trzy herbaty. Tak mnie paliło po śledziu.

- Gdzie pan dostał śledzie? - zainteresowała się pani Jadwiga.

Sobański uśmiechnął się.

- Ach, to moja ciotka zdobywa takie specjały. Ma prawdziwy talent do wynajdowania miejsc, w których można dostać atrakcyjne towary.

- Jak się udało widzenie z panią Markowską? - spytał Grabicki.

- Biedaczka jest bardzo przybita - odparł Sobański. - Usiłowałem trochę ją pocieszyć.

- Zgodziła się żeby pan był jej obrońcą?

- Tak. Podpisała pełnomocnictwo. Czy pan sądzi, panie kapitanie, że ona zostanie formalnie oskarżona o zamordowanie Piotra Szczerbińskiego i że odbędzie się sprawa sądowa?

Grabicki bezradnym gestem rozłożył ręce.

- Bardzo żałuję, panie mecenasie, ale nic na ten temat nie mogę powiedzieć. Śledztwo jest w toku.

- To znaczy, że władze śledcze nie są przekonane o winie Joanny Markowskiej i że istnieją jeszcze inne poszlaki.

Grabicki uśmiechnął się.

- Niech mnie pan nie próbuje pociągać za język. Wie pan

przecież, że przed zamknięciem śledztwa żadnych informacji udzielić panu nie mogę.

- Rozmawiałem z pewnym Arabem, który nazywa się Ali Selim Tahelen - powiedział Sobański.

- O - zdziwił się Grabicki. - W jaki sposób trafił pan do niego?

- Przez panią Marię Nowacką. Dowiedziała się o istnieniu tego Araba od pana Zengiera.

- Rozumiem - pokiwał głową Grabicki. - Odwiedziłem Zengiera w sprawie sztyletu, którym została zamordowana Magdalena Wyszacka. Musiał powtórzyć Nowackiej naszą rozmowę. To jego przyjaciółka.

Sobański zapalił papierosa.

- Bardzo chciałbym rzucić okiem na te pamiętniki - powiedział.

- Jakie pamiętniki?

- Pamiętniki Magdaleny Wyszackiej.

Grabicki nie ukrywał zdziwienia.

- Nie mam pojęcia o czym pan mówi. Pamiętniki Magdaleny Wyszackiej?

- Tak. Ten Arab powiedział mi, że pani Wyszacka pisała pamiętniki, które miała zamiar ogłosić drukiem. Wspomniał nawet, że chciał ją zaprotegować jakiemuś algierskiemu wydawcy. Gdyby mi pan zechciał udostępnić te materiały, to może znalazłbym coś, co rzuciłoby pewne światło na zabójstwo Szczerbińskiego.

- Ależ ja nie mam pamiętników Wyszackiej - powiedział szczerze Grabicki. Wyglądał na zaskoczonego tą wiadomością.

Tym razem zdziwił się Sobański,

- Przecież musieliście przeszukać jej mieszkanie.

- Oczywiście. Bardzo dokładnie. Ale pamiętników nie znaleźliśmy.

- To dziwne. Chyba Ali Selim Tahelen nie wymyślił sobie tego. A zresztą po co? W jakim celu? Mówił mi nawet, że pani Wyszacka czytała mu niektóre fragmenty, tłumacząc je z polskiego na francuski.

Grabicki był szczerze zakłopotany.

- Nic nie rozumiem, absolutnie nic. Nie znaleźliśmy żadnych pamiętników. A przecież całe mieszkanie, jak również wszystkie walizy... Wszystko zostało bardzo dokładnie przeszukane. Nie natrafiliśmy nawet na ani jedną zapisaną kartkę papieru.

- A może Szczerbiński przywiózł pamiętniki Wyszackiej - zasugerował Sobański. - Może miała dużo rzeczy i dlatego...

Grabicki energicznie potrząsnął głową.

- To nie wchodzi w rachubę. Mieszkanie Szczerbińskiego zostało również bardzo dokładnie przeszukane. Nic nie rozumiem. Chyba, że ten Arab łże i Wyszacka nie pisała żadnych pamiętników.

- W jakim celu miałby kłamać?

Grabicki wzruszył ramionami.

- A któż to może wiedzieć? Mało to ludzi kłamać bez żadnego celu. Na świecie aż się roi od mitomanów.

- Mówił to tak przekonująco... - próbował oponować Sobański.

- Panie, mecenasie... - Grabicki uśmiechnął się. - Czyżby pan w swojej karierze nie spotkał się jeszcze z tą cechą ludzką, że czym większy łgarz, tym jego wywody są bardziej przekonujące?

- To prawda, ale te kłamstwa zawsze mają coś na celu. Ktoś chce zataić jakieś fakty albo też pragnie sobie dodać splendoru, zrobić na kimś wrażenie. Ale żeby tak... bez żadnego powodu... Cóż Arabowi może zależeć na tym, żeby opowiadać, że Wyszacka pisała pamiętniki. Nie może mieć z

tego tytułu żadnych korzyści.

Grabicki pokręcił głową.

- No cóż... zobaczymy. Być może spróbuję jeszcze osobiście porozmawiać z Arabem. Taki pamiętnik to przecież nie szpilka. To musiał być solidny plik zapisanych kartek. Rękopis albo maszynopis. Jeżeli przygotowywała te materiały do druku, to zapewne maszynopis. W każdym razie bardzo panu dziękuję, panie mecenasie, za tę wiadomość. To jest interesujące. Miałbym ogromną ochotę przestudiować pamiętniki pani Magdaleny Wyszackiej.

- Czy pan jest skłonny łączyć jakoś te dwie zbrodnie ze sobą? - spytał Sobański.

Grabicki znowu się uśmiechnął.

- Nie wiem. Natomiast zauważam, że pan jest skłonny nieustannie pociągać mnie za język, panie mecenasie. Bardzo żałuję, ale to się panu nie uda. Mam jednak nadzieję że niedługo będziemy mogli obszerniej porozmawiać na temat tej sprawy. Miałbym tylko do pana jedną prośbę. Niech pan nie próbuje bawić się w prywatnego detektywa. To mogłoby nam utrudnić pracę.

Sierżant Pastusiak triumfował.

- Znalazłem, obywatelu kapitanie, znalazłem.

- Co żeście znaleźli?

Sierżant położył na biurku dużą chustkę i rozwinął ją ostrożnie.

- Klucz. Klucz od mieszkania Szczerbińskiego. Ten dorobiony. Czwarty klucz.

Grabicki pochylił się i spojrzał uważnie.

- Jesteście pewni, że to ten klucz?

- Jestem całkiem pewny, obywatelu kapitanie. Ten klucz. Absolutnie.

- Próbowaliście otwierać nim drzwi?
- Ale skądże! - oburzył się sierżant. - Przecież mogą być na nim odciski palców. Delikatniutko zawiąłem w czystą chusteczkę. Akurat tak mi się trafiło, że wziąłem z domu czystą. Tak się czasem człowiekowi coś uda. Miałem powiększone zdjęcie tamtego klucza. Porównałem. Identyczny.

- Gdzieżecie znaleźli? - spytał Grabicki. Sierżant błysnął w uśmiechu zdrowymi zębami:

- Gdzie? A pod windą. Kręciłem się koło domu, w którym mieszkał ten pilot. Zaglądałem w różne dziury. Zszedłem nawet do piwnicy. Potem pochodziłem po klatce schodowej. Chodzę i tak sobie kombinuję, gdzie facet mógł wyrzucić ten klucz. Bo że się chciał klucza pozbyć to nie ma o czym gadać. Zajrzałem do jednego zsypu na śmiecie, potem do drugiego, ale obydwie były zapchane jakimiś papierami. Więc myślę tak: jak załatwił pilota, to pryskał, ale na dół nie schodził, bo się bał spotkać któregoś z naszych ludzi. Poszedł raczej na górne piętra i zjechał windą. Tak było bezpieczniej. Jak raz reperowali windę. Nie chodziła. No to ja wlałem pod windę na sam dół i szukam. Patrzę leży. Aż mnie zatkało, obywatelu kapitanie. Pod windę drań klucz wrzucił. Myślał, że nikt nie znajdzie.

- Dobrzeście się spisali - pochwalił sierżanta Grabicki. - Trzeba zaraz sprawdzić, czy nie ma odcisków palców.

- Tak jest, obywatelu kapitanie. Zaraz to załatwię.

Po wyjściu sierżanta Grabicki pogrążył się w głębokiej zadumie. Był zadowolony ze znalezienia tego klucza, ale co to właściwie dawało? Ewentualnie jeszcze jeden argument przemawiający za niewinnością Joanny Markowskiej. Choć i to nie. Przecież Pastusiak widział, że weszła do mieszkania Szczerbińskiego bez użycia klucza. Obrona mogła jednak stanąć na stanowisku, że skoro niewątpliwie został dorobiony

klucz, to znaczy, że ktoś inny jest mordercą, właściciel tego czwartego klucza. Takie rozumowanie miało pewne logiczne podstawy. Można jednak było wysunąć inną hipotezę. Człowiek, który podrobił klucz, wszedł wprawdzie do mieszkania Szczerbińskiego, ale morderstwa nie popełnił. Nie miał zamiaru zabić. Chodziło mu o coś innego. Może chciał coś wykraść. Na przykład pamiątki Magdaleny Wyszackiej. Trzeba się było nad tym poważnie zastanowić. To co opowiedział Sobański miało wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Bo właściwie dlaczego Wyszacka nie miałyby pisać pamiątków? Warto by porozmawiać jeszcze z tym Arabem. Jak wróci Stasiewicz. On dobrze mówi po francusku. Powinien już być z powrotem. Ciekawe, co tam działo w tych Madejkowicach? Czy przywiezie siostrzeńca Widzewskiej, czy też przesłucha go na miejscu? Czy facet ma alibi? Najgorsze było to dreptanie w miejscu. Poszłak dużo, ale właściwie same domysły, przypuszczenia, luźne hipotezy. Za dużo tych kandydatów na mordercę, stanowczo za dużo. Jeden morderca czy dwóch? Na to zasadnicze pytanie należało przede wszystkim odpowiedzieć. A jeżeli Wyszacka zabił Szczerbiński? On już nigdy do niczego się nie przyzna. Wprawdzie teren Algierii łączy oboje zamordowanych, ale nie można przecież wykluczyć ewentualności, że zbrodnie te nie mają ze sobą nic wspólnego i że pewna zbieżność jest tu zupełnie przypadkowa. Pozory, wprowadzające w błąd pozory.

W nienajlepszym nastroju poszedł Grabicki do szefa. Zastał pułkownika w nadspodziewanie dobrej formie. Twarz rumiana, pogodnie uśmiechnięta, oczy pełne młodzieńczego blasku.

- Widzę, że się świetnie czujesz.
- Jakbyś zgadł - powiedział wesoło Kazanowski. - Czuję, się jak nowo narodzony. Wyobraź sobie, że mi przeszły wszystkie dolegliwości.

- Siemię lniane - ożywił się Grabicki.
- Siemię i szakłak. Jak ręką odjął. Antosiu, jesteś nieoceniony.

Grabicki spochmurniał.

- Może jako zielarz jeszcze bym się do czegoś nadał, ale jako oficer śledczy...

- Tak ci tępo idzie?
- Jeszcze gorzej. Wyobraź sobie, że do tej pory nie mam nic konkretnego.

Pułkownik spoważniał.

- Hm, no cóż... Dwa morderstwa. Sprawa raczej skomplikowana. Czytałem twoje raporty. Oprócz tej dziennikarki masz w tej chwili dwóch podejrzanych. Znalazłeś już ich?

- Stasiewicz pojechał po tego ichtiologa, który siedzi pod Poznaniem i ryby hoduje, a Güntera jeszcze nie mam. Szukamy go. Jeżeli jest w kraju, to go na pewno znajdziemy, ale jeżeli jakoś wydostał się za granice... Aha! Pastusiak znalazł klucz dorobiony do mieszkania Szczerbińskiego. To znaczy...

- Czekaj, czekaj - przerwał pułkownik. - Jeden klucz miał Szczerbiński, drugi jego gosposia, trzeci...

- Trzeci ostatnia narzeczona Szczerbińskiego, Karolina Widzewska - podpowiedział Grabicki - a to jest ten czwarty klucz, dorobiony.

- Wszystkie klucze są u ciebie?

Grabicki potrząsnął głową.

- Nie. Widzewska gdzieś zapodziała swój klucz. Nie mogła go znaleźć.

- Może siostrzeniec...? - zasugerował pułkownik.

- Właśnie. Może siostrzeniec - przytaknął Grabicki. - Myślałem już o tym. Zobaczmy, jakie wiadomości przywiezie

Stasiewicz. To bystry chłopak. Jak się zabierze do tego ichtiologa, to przypuszczam, że czegoś się dowie

- A ta dziennikarka?

Grabicki skrzywił się.

- Na razie siedzi. Ale na mój nos to nie ona zamordowała Szczerbińskiego. Teraz znowu ten klucz, który znalazł Pastusiak...

Pułkownik wyjął z kieszeni długopis i wyrwał z notatnika kartkę papieru.

- Oprócz dziennikarki masz dwóch kandydatów na mordercę Szczerbińskiego, tego pilota Güntera i siostrzeńca Widzewskiej. Nie możemy jednak zapominać o zamordowaniu Magdaleny Wyszackiej.

- Bynajmniej o tym nie zapominam - zapewnił Grabicki.

- Czy jesteś skłonny łączyć ze sobą te dwie sprawy?

- Przyznam ci się szczerze, że nie wiem, co o tym myśleć.

Ich wspólny pobyt w Algierii może oczywiście sugerować, że obydwa morderstwa są w jakiś sposób ze sobą powiązane, z drugiej jednak strony nie chciałbym się tym sugerować. Przecież jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że mamy do czynienia z dwoma zupełnie od siebie niezależnymi motywami zbrodni, a teren Algierii jest w tej sprawie pełnym przypadkiem.

- Nie bierzemy pod uwagę tego Araba - zauważył pułkownik.

Grabicki machnął ręką.

- Wydaje mi się, że nie warto zawracać sobie nim głowy. Ewentualnie może być podejrzany o zabójstwo Wyszackiej, ale i to, moim zdaniem, jest mało prawdopodobne. Po rozmowie z nim doszedłem do wniosku, że to pozer, który nigdy by się nie zdobył na tego rodzaju działanie. Natomiast jeżeli chodzi o Szczerbińskiego, to nie widzę dostatecznych

motywów zbrodni.

- Z tym bym się z tobą nie zgodził - zaproponował pułkownik. - Nie zapominaj, że Ali Selim Tahelen był zakochany w Wyszackiej, która podobno odrzuciła jego propozycję małżeństwa i związała się ze Szczerbińskim. Szczerbiński był więc niejako rywalem Araba. Nie znam mentalności ludzi Wschodu, ale, z tego, co słyszałem i co czytałem... Bo ja wiem... Być może, że ponosi mnie fantazja. Nie jestem jednak pewien, czy możemy całkowicie wykluczyć zemstę odrzuconego konkurenta. A jeżeli zabił i Wyszacką, i Szczerbińskiego? Grabicki skrzywił się sceptycznie.

- Moim zdaniem bardzo mało prawdopodobna hipoteza. Zastanów się chwilę. Morderca Wyszackiej był bardzo dokładnie poinformowany o dniu jej przyjazdu do Warszawy. Działał błyskawicznie, co pozwala przypuszczać, że czegoś się obawiał, że jej osoba była dla niego jakimś konkretnym zagrożeniem. Nasz Arab nie pasuje do tej koncepcji. Morderca Szczerbińskiego dorobił klucz do jego mieszkania, wiedział, że nasi ludzie inwigilują Szczerbińskiego, znał ich z widzenia i dokładnie orientował się w czasie, kiedy mieszkanie Szczerbińskiego nie pozostaje pod obserwacją. Wydaje mi się rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, żeby ten Arab zadał sobie tyle trudu i zdobył się na taką precyzyjną akcję.

- Masz rację - zgodził się pułkownik. - To rzeczywiście jest mało prawdopodobne. Poza tym można domniemywać, iż morderca wiedział, że Szczerbiński miał zamiar zażyć środek nasenny i wcześniej położyć się spać.

Grabicki aż podskoczył na krześle.

- Czekaj... czekaj... Coś mi zaczyna świtać. Morderca wiedział, że Szczerbiński miał zamiar zażyć środek nasenny i wcześniej...

Zadzwoił telefon. Pułkownik podniósł słuchawkę.

- Tu Kazanowski. Słucham?... Tak, tak, oczywiście, niech wejdzie...- Odłożył słuchawkę i spojrzał na Grabickiego - Wrócił Stasiewicz.

Rozległo się stukanie do drzwi. Porucznik był mizerny. Wyglądał na zmęczonego. Przywitali się. Pułkownik wskazał krzesło.

- Siadajcie. Coście działałi w tych Madejkowicach? Stasiewicz odchrząknął i przygładził dłonią włosy.

- Co za stawy, obywatelu pułkowniku. Prawie czterdzieści hektarów. Jakie ryby. Sielawy jak małe rekiny. A jakie zabudowania. Jaki dom mieszkalny... Wędzarnia. Wszystko prywatne. Duża forsa. Nie przypuszczałem, że u nas w ogóle coś takiego istnieje w prywatnych rękach.

- No dobrze. Ale co z Zenonem Konarzewskim? - spytał Grabicki, który nie mógł się doczekać konkretnych wiadomości.

- Przywiozłem go.

- Ma alibi?

- Nie ma.

- A co mówi?

- Nic nie mówi. Strasznie mrukliwy facet. Nic z niego nie można wydusić.

- Zgodził się przyjechać?

- A co miał robić? Powiedziałem, że albo go zawiozę do Komendy Wojewódzkiej do Poznania na przesłuchanie, albo pojedzie ze mną do Warszawy. Wołał do Warszawy. Powiedział, że w Warszawie ma ciocię.

- Gdzie on teraz jest?

- A tutaj. W komendzie.

- No to bierzcie się za niego - powiedział pułkownik - nie zatrzymuję was.

Przypominał kawał dębowego pnia, z którego rzeźbiarz wydobyl kształty pierwotnego człowieka. Kwadratowa głowa, osadzona na potężnym karku, szerokie muskularne ramiona, długie ręce, zakończone ogromnymi czerwonymi dłońmi. Spod krzaczastych, rudawych brwi zrosniętych nad nosem patrzyły nieufnie głęboko osadzone szare oczy.

Grabicki przez chwilę uważnie obserwował tę posępną postać i w gruncie rzeczy był rad, że przy stoliku, stojącym pod oknem, siedzi Stasiewicz.

- Pan nazywa się Zenon Konarzewski?
- Tak - zadudniła niechętna odpowiedź.
- Pan jest siostrzeńcem pani Karoliny Widzewskiej?
- Tak.
- Czy pan znał Piotra Szczerbińskiego, narzeczonego pańskiej ciotki?

Milczenie.

- Czy pan znał Piotra Szczerbińskiego? - powtórzył pytanie Grabicki.

- Znałem.
- Czy pan wie, że Piotr Szczerbiński został zamordowany?
- Wiem.
- Pan nie był zadowolony z tego, że pańska ciotka miała zamiar poślubić Piotra Szczerbińskiego?

- Nie.
- Jaka jest pańska opinia o Piotrze Szczerbińskim?
- Bydlę.
- Dlaczego pan był tak niechętnie usposobiony do tego człowieka?

- Omotał drań moją ciotkę, chciał się z nią żenić i zgarnąć całą forszę.

- A pan postanowił nie dopuścić do tego małżeństwa.

Konarzewski zamrugnął oczami i położył na blacie biurka

swe wielkie porośnięte rudym włosem dłonie.

- Ja go nie zabiłem.

- Na razie nikt pana o to nie podejrzewa - powiedział łagodnie Grabicki.

- To dlaczego sprowadziliście mnie do Warszawy?

- W celu wyjaśnienia pewnych szczegółów. Proszę nam powiedzieć co pan robił we wtorek dziesiątego października?

- Nie pamiętam.

- Niech pan sobie przypomni. To ważne.

- Nie pamiętam.

- Obecny tu porucznik Stasiewicz ustalił, że do Madejkowic przyjechał pan dwunastego października wieczorem. Gdzie więc pan był dziesiątego października?

- Nie pamiętam.

- Panie Konarzewski - głos Grabickiego zabrzmiał energiczniej. - Chciałbym, żeby pan sobie uświadomił pewne fakty. Otóż we wtorek dziesiątego października w godzinach wieczornych został zamordowany we własnym mieszkaniu Piotr Szczerbiński. Pan nienawdził tego człowieka. Jego małżeństwo z pańską ciotką przekreślało pańskie nadzieje na ogromny spadek. Jest więc rzeczą oczywistą, że za wszelką cenę chciał pan przeszkodzić temu związkowi.

- Ja nie zabiłem Szczerbińskiego.

- Sprawa się trochę komplikuje - powiedział Grabicki głosem, w którym wyczuwało się pewne zakłopotanie. - Nie chciałbym, broń Boże, wysuwać żadnych sugestii, które mogłyby pana postawić w złym świetle. Byłoby jednak dobrze, gdyby pan postarał się przypomnieć sobie, gdzie pan się znajdował i co pan robił we wtorek dziesiątego października.

- Chodzi o moje alibi?

- Można by to tak określić. No więc... gdzie pan był we

wtorek dziesiątego października?

- Byłem w Warszawie - padła niechętna odpowiedź.
- Ale konkretnie gdzie?
- To są moje prywatne sprawy.

- Tłumaczę panu przecież - powiedział cierpliwie Grabicki - że dziesiątego października w godzinach wieczornych został zamordowany niejaki Piotr Szczerbiński, którego śmierć była dla pana rzeczą nad wyraz pożądaną. Jeżeli więc nie zechce pan ustalić swojego alibi, to automatycznie może stać się pan podejrzanym o popełnienie tej zbrodni. Zupełnie nie rozumiem, że pan nie zdaje sobie z tego sprawy.

Konarzewski, zdjął z biurka swe dłonie, obejrzał je, wyjął z kieszeni pilnik i zaczął czyścić sobie paznokcie. Najwyraźniej chciał zatuszować zakłopotanie i zyskać na czasie.

- No więc? - przynaglił go Grabicki. - Może mi pan wreszcie odpowie na moje pytanie. Gdzie pan był we wtorek dziesiątego października?

- Byłem u dziewczyny.
- U jakiej dziewczyny?
- U takiej jednej.
- Proszę mi podać jej imię, nazwisko i adres.
- Czy to konieczne?

- Oczywiście, że konieczne. Chyba nie muszę tego panu tłumaczyć. Zupełnie nie rozumiem, skąd się u pana biorą tego rodzaju opory. To chyba zupełnie naturalne, że młody niezonaty mężczyzna ma jakąś przyjaciółkę.

- Nie chciałbym, żeby ciocia się dowiedziała - bąknął ichtiolog.

- Może pan być zupełnie spokojny - zapewnił Grabicki. - Pani Widzewska o niczym się nie dowie. Ta rozmowa zostanie między nami. Pod warunkiem oczywiście, że zdecyduje się pan

wszystko szczerze powiedzieć. W przeciwnym bowiem razie będę zmuszony porozmawiać z panią Widzewską na temat pańskich sympatii.

Konarzewski poruszył się niespokojnie.

- Błagam, niech pan tego nie robi. Powiem... wszystko powiem... gdzie byłem... z kim byłem... Tylko ciotka nie może o tym wiedzieć. Ona by... Ciotka ma takie przestarzałe uprzedzenia klasowe.

Grabicki pokiwał głową ze zrozumieniem.

- W porządku. A teraz może mi pan powie u kogo pan spędził dzień dziesiątego października. To był wtorek.

Iwona Kaczmarek była osobą pełną optymizmu i radości życia. Nikt jej nigdy nie widział w ponurym nastroju, przygnębionej czy choćby z czegoś niezadowolonej. Lubiła się śmiać i z niczego nie robiła tragedii. Każdą, nawet niezbyt miłą sytuację przyjmowała z humorem jako dopust boży. Przebywając parę miesięcy w więzieniu za jakąś drobną kradzież, potrafiła rozśmieszyć najbardziej posępnego strażnika. Darowano jej część kary za dobre sprawowanie.

Niespodziewana wizyta oficerów milicji wcale jej nie spieszyła. Błyskawicznie sprzątnęła pokój, chowając różne części garderoby beztrąsco porzucane na meblach i spytała z czarującym uśmiechem:

- Czy można panów poczęstować herbatą albo kawą, a może wolą panowie Coca-Colę. Mam świeżutkie krakersy. Te stare zjełczałe właśnie wczoraj wyrzuciłam. Nawet piesek sąsiadów nie chciał ich jeść. Zostało mi jeszcze trochę śliwowicy. Może panowie pozwolą po kieliszeczku. Niewiele tego jest, ale na trzy kieliszki wystarczy.

Podziękowali za poczęstunek i Grabicki, nie tracąc czasu, przystąpił do meritum sprawy.

Twarz panny Iwony rozjaśniła się pełnym serdeczności uśmiechem.

- Czy znam Zenka? Ma się rozumieć, że go znam. Bardzo dobrze. Można powiedzieć, że się przyjaźnimy. To bardzo solidny mężczyzna. Wygląd ma trochę nie tego. W pierwszej chwili, jak się na niego spojrzy... to aż człowieka ciarki przechodzą, ale przy bliższym poznaniu ogromnie zyskuje. Porządny człowiek. Wcale nie skąpy. Tylko się cholernie ciotki boi. Podobnież stara strasznie bogata, a Zenkowi chodzi o spadek. I trudno mu się dziwić.

- Dawno pani zna Zenona Konarzewskiego? - spytał Grabicki.

- O, będzie już ze dwa lata. Jak tylko uda mu się urwać od tych ryb, to zaraz do mnie. Nieraz to i parę dni u mnie pomieszka, ale zawsze tak, żeby ciotka nie wiedziała. Jakoś się umie wyłgać. Coś jej tam naopowiada, że za interesami jeździ. A zresztą... pies z nią tańczył. Co mnie to obchodzi?

- Czy dziesiątego października pan Zenon Konarzewski był u pani? - spytał Grabicki.

Zmarszczyła brwi.

- Dziesiątego października? Zaraz... zaraz... niech sobie przypomnę.

- To był wtorek - podpowiedział Grabicki.

- Chwileczkę - podbiegła do stoliczka, stojącego pod oknem i wyjęła z szuflady duży kalendarz. - Wszystko mam zapisane w terminarzu. Żeby nie było nieporozumień - dodała z uśmiechem. - Trudno pamiętać - pośpiesznie przerzuciła kartki. - Tak, tak, zgadza się. Zenek był u mnie trzy dni, dziewiątego, dziesiątego i jedenastego października. Ma chłop zdrowie. To mu trzeba przyznać. Ale bardzo grzeczny i delikatny. Nie mogę powiedzieć. Ma szeroką rękę, tylko że się przed ciotką musi z forsy rozliczać. Na jego wydatki to mu nie

żałuje, ale niechby się dowiedziała, że mi bursztyny kupił...
Rany boskie.

- Czy przez te trzy dni Zenon Konarzewski był bez przerwy w pani towarzystwie?

- E, tak bez przerwy to znowu nie. Wyskakiwał sobie wieczorkiem na karty. Lubi sobie w pokera pograć. Przeważnie przegrywa. Ale tak przed dwunastą to zawsze wracał. Musiałam mu kanapki szykować, bo głodny był jak wilk. Zawsze po kartach dostaje cholernego apetytu.

- A czy we wtorek dziesiątego października także chodził na karty?

- Dobrze nie pamiętam; ale chyba tak. Tak, tak, codziennie chodził. Koniecznie chciał się odegrać, ale mu nie szło.

- I wracał koło północy?

- Nawet i wcześniej. Między jedenastą a dwunastą.

- A o której wychodził na tego pokera?

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem. Chyba jakoś przed dziewiątą. Zaraz po kolacji.

- Czy on pije alkohol?

- Żeby pił, tak jak to u nas piją, to nie powiem. Owszem, czasami sobie trzaśnie setę, ale bez specjalnej chęci. Raczej do towarzystwa. Wódka go nie ciągnie. To i lepiej, bo to jest taki silny chłop, że jakby się upił, to bym się go bała. Czort go wie, co by wtedy mógł wyrabiać. Ale, ale... zapomniałam się zapytać. Czego to panowie tak się Zenkiem interesują? Narozrabiał coś?

- Sprawdzamy pewne fakty - odparł wymijająco Grabicki.

- Czy Zenon Konarzewski nie zostawił przypadkiem u pani jakichś drobiazgów, może coś z garderoby, coś z ubrania?

- Jakby pan zgadł - ucieszyła się. - Zostawił u mnie

marynarkę. Tak się raptownie ciepło zrobiło, że wziął tylko sweter, płaszcz i pojechał do tych swoich ryb. Powiedział, że marynarkę zabierze następnym razem. Kiedy przyjedzie, nie wiem, ale on zawsze daje mi znać. Przeważnie przysyła widokówkę. Mam prawie wszystkie.

Marynarka Zenona Konarzewskiego była z brązowego tropiku, mocno już wytarta na łokciach. Grabicki natychmiast przystąpił do przeszukiwania kieszeni, co nie spowodowało najmniejszego sprzeciwu panny Iwony Kaczmarek.

Notes, jakieś luźne kartki, bilety tramwajowe, trochę bilonu, grzebień, pilnik do paznokci... I wreszcie palce kapitana natrafiły na długi, twardy przedmiot. Klucz. Wystarczył jeden rzut oka, żeby stwierdzić, że był to klucz od mieszkania Szczerbińskiego.

Stasiewicz nie mógł opanować wrażenia, jakie na nim zrobiło to odkrycie. Gwizdnął cicho i powiedział: - Bomba...

Grabicki zgromił spojrzeniem młodszego kolegę i zwrócił się do pogodnie uśmiechniętej dziewczyny: - Zabierzemy ten klucz.

- A może będzie potrzebny Zenkowi? - zauważyła.

- Porozmawiamy na ten temat z panem Konarzewskim. A żeby panią uspokoić, mogę zapewnić, że ten klucz nie będzie mu potrzebny.

Nagle spoważniała.

- To nie może być, żeby Zenek włamał się do cudzego mieszkania.

- Czy pani nie przeszukiwała tej marynarki? - spytał Grabicki.

- Nie. A po co? Na tę parę groszy przecież nie lecę. Grubszą forszę zawsze Zenek nosi przy sobie, w portfelu. Portfela nigdy nie zapomni. Spokojna głowa.

- Czy pani nie orientuje się przypadkiem do kogo Zenon

Konarzewski chodzi na karty?

- Nie mam pojęcia. Nie interesuje mnie to. Tłumaczyłam mu nieraz, żeby sobie dał spokój, bo zawsze przegrywa, ale do niego można gadać jak do słupa. Jak panowie będą się z nim widzieli, to może by panowie zabrali tę marynarkę. Może mu się przydać.

Grabicki pomyślał chwilę.

- Dobrze. Oddamy mu marynarkę. Ale co to ona taka poplamiona? - dodał, obejrzawszy uważniej rękawy.

- Faktycznie. Powinien dać do pralni. Chociaż czy to warto? Stary łach. Ale jak już tak sobie szczerze o Zenku rozmawiamy, to muszę panom w zaufaniu powiedzieć, że niechluj to on jest.

- Czy Zenon Konarzewski pali fajkę? - spytał Grabicki. Spojrzała zdziwiona.

- A skąd pan wie?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- Dawniej palił papierosy, ale od jakiegoś czasu pali fajkę. Mówi, że to zdrowsze. Ale ja tam nie wierzę. Jaka różnica.

- Od jak dawna pan Konarzewski pali fajkę?

- O, będzie już parę miesięcy, może trzy, może cztery...

- Czy pani ma zamiar wyjechać teraz gdzieś z Warszawy?

Była zaskoczona.

- Wyjechać? Z Warszawy? A po co? Teraz, na jesień? Właśnie w Warszawie najlepszy sezon. Nie, proszę pana, nigdzie nie wyjeżdżam.

Grabicki miał ogromną ochotę dowiedzieć się o jakim to „najlepszym sezonie” mowa, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Nigdy nie zadawał drażliwych pytań, jeśli nie było to niezbędne dla śledztwa.

- Cieszę się, że pani nie wyjeżdża z Warszawy. Być może, że jeszcze będziemy chcieli któregoś dnia z panią porozmawiać.

Twarz jej się rozjaśniła uśmiechem zupełnie tak jakby ta wiadomość była dla niej niesłychanie pomyślna.

- Bardzo proszę. Na wszelki wypadek podam panom numer mojego telefonu.

To były ślady krwi. W Zakładzie Kryminalistyki nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Grabicki odbył z szefem krótką naradę.

- Z tego wynika, że w tej chwili jesteśmy w posiadaniu wszystkich kluczy od mieszkania Szczerbińskiego - powiedział pułkownik.

Grabicki skinął głową.

- Tak. Klucz znaleziony w kieszeni tego ichtiologa należał niewątpliwie do jego ciotki. Karoliny Widzewskiej.

- A ten, który Pastusiak wyciągnął spod windy?

- Podrobiony. Nie ulega wątpliwości.

- Czyli mamy komplet kluczy od zasuw plus podrobiony.

- Zgadza się.

- Hm... - pułkownik przesunął palcami po siwiejącej czuprynie - Musisz dowiedzieć się do kogo Konarzewski chodził na pokera. Sądzę, że to nie będzie takie trudne.

- Mnie także tak się wydaje - przytaknął Grabicki. - Mam zamiar porozmawiać także z panią Karoliną Widzewską.

- I chyba słusznie. Popieram tę inicjatywę. A co ze śladami krwi na rękawie marynarki?

- Grupa A. Tę samą grupę miał Szczerbiński.

Pułkownik zamyślił się.

- Słuchaj, Antosiu, poszlaki chyba dosyć poważne. Jeżeli nie uda ci się ustalić jego alibi...

- To jeszcze nie wszystko - uśmiechnął się Grabicki. - Tytoń...

- Jaki tytoń?

- Tytoń fajkowy. W mieszkaniu Szczerbińskiego, w szafie na rzeczy, znaleźliśmy odrobinę tytoniu fajkowego. Szczerbiński fajki nie palił. Teraz w kieszeni Konarzewskiego natrafiłem również na tytoń fajkowy. Mikroskopijna ilość. Musiał wysypać się z paczki. Dałem oczywiście do zbadania. Obiecali mi to załatwić w przyspieszonym tempie.

- A co z tymi pamiątkami? - spytał pułkownik. Grabicki wzruszył ramionami.

- Na razie nic. Ani śladu. Nie wiem czy w ogóle istnieją.

- Czyżby ten Arab fantazjował?

- Nie wiem. Nie znam się na Arabach.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Wszedł Pastusiak.

- O co chodzi? - spytał ostro pułkownik, zły, że mu przeszkadzają w rozmowie.

Sierżant wyprężył się słuźbiście.

- Melduję posłusznie, obywatelu pułkowniku, że znaleźliśmy Güntera.

- Güntera? Gdzie?

- W Jeziornie. W knajpie. Zalany w pestkę.

- Można z nim rozmawiać?

- Można, ale nie za bardzo.

Pułkownik spojrzał na Grabickiego.

- Spróbuj go przesłuchać. Może ci się uda. Konarzewskim zajmiesz się w następnej kolejności.

Grabicki westchnął.

- No cóż... Spróbuję.

Karol Günter, niegdyś zdolny, a nawet utalentowany pilot, przedstawiał sobą obecnie przysłowiowy obraz nędzy i rozpacy. Twarz obrzęknięta, pokryta ciemnym, dawno nie

golonym zarostem, oczy przekrwione, zasnutę alkoholową mgłą, włosy zmierzwiłone, posklejane w tłuste strączki. Ubranie straszliwie zmięte, poplamione, niechlujne. Szedł sztywny. Widać było, że czyni ogromny wysiłek, żeby się nie zataczać, co mu się niezupełnie udawało. Cuchnął niemożliwie wódką, brudem i wielodniowym potem.

Grabicki w pierwszym odruchu chciał odesłać go do łaźni, ale zaraz zrezygnował z tego. Uważał, że po pijanemu Günter będzie może bardziej skłonny do szczerzej rozmowy.

- Pan nazywa się Karol Günter?
- Jawohl.
- Czy mówi pan po polsku?
- Ma się rozumieć, że mówię.
- To proszę po polsku odpowiadać na moje pytania.
- Jawohl.

Grabicki machnął ręką.

- Pan przebywał przez dłuższy czas w Algierii.
- W różnych miejscach przebywałem, panie naczelniku.

W Algierii tożę. I w kryminale przebywałem. Aussi, jak powiadają Francuzi. A pan naczelnik w kryminale bywał?

- Znał pan niejakiego Piotra Szczerbińskiego? Günter czknął z taką siłą, że Grabicki mimo woli cofnął się razem z krzesłem, na którym siedział.

- Czy znałem tego skurwysyna? A któż by go nie znał? Ma się rozumieć, że go znałem. Bydłę. Należało mu się.

- Co mu się należało?

- A w łeb.

- Piotr Szczerbiński został zamordowany.

- I dobrze. Na nic innego nie zasłużył. Przecież mówię, że bydłę.

- Pan go nienawidził.

- No chyba, że go nie kochałem.

- A może to pan go trzasnął w łeb.
- Może - odparł z całkowitą obojętnością Günter. Robił takie wrażenie jakby nagle wytrzeźwiał. Utkwił spokojne spojrzenie w oczach swego rozmówcy. - Motyw zbrodni zupełnie wyraźny - dodał po chwili, a na jego wargach pojawił się pogardliwy uśmiech.

Grabicki był trochę zaskoczony, ale oczywiście nie okazywał tego. Zachowywał się tak, jakby przed chwilą usłyszane słowa były rzeczą najzupełniej normalną.

- Ma pan rację. Motyw zbrodni zupełnie wyraźny. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie się pan znajdował we wtorek dnia dziesiątego października?

- Pan żartuje, panie naczelniku. A skąd ja bym takie rzeczy pamiętał? Ja nie bardzo wiem, gdzie się w tej chwili znajduję, a cóż dopiero dziesiątego października.

- Obecnie znajduje się pan w komendzie milicji - wyjaśnił Grabicki.

Günter pokiwał głową.

- Tak też sobie pomyślałem. Nie byłem tylko pewien czy przyprowadzili mnie do komendy milicji, czy prosto do pudła. Ale teraz już wiem. Dziękuję. Merci.

- Czy to pan uderzył wtedy Szczerbińskiego? - spytał ostrożnie Grabicki.

Günter zasepił się. Zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć.

- Nie pamiętam. Ale chyba nie ja. Ja miałem inny pomysł. Wykombinowałem sobie, że razem z tym draniem wsiądę do samolotu, a przedtem uszkodzę jego spadochron. Podczas lotu podpalę maszynę i krzyknę „skacz!” Skoczy i koniec. Dobrze, no nie? Zbrodnia doskonała.

- Czy to pan uderzył Szczerbińskiego? - powtórzył pytanie Grabicki.

- Nie pamiętam. Słowo honoru. Dużo piłem. Nie pamiętam. Ale możliwe. Głowy nie dam. Taki miałem zamiar. To fakt. Tak sobie kombinowałem, że jak nie będzie chciał wsiąść ze mną do samolotu to w łeb go.

- Dawno pana w domu nie było - zauważył Grabicki.

- A czy to ja muszę ciągle w domu siedzieć? Mam dosyć. Dosyć domu, dosyć żony, dosyć wszystkiego. Rozumie pan?

- Żona pana szukała.

- Żony są od tego, żeby szukały mężów - roześmiał się głupekowato Günter.

- Gdzie się pan podziewał przez ten cały czas?

- Gdzie? Wszędzie. Byłem nawet i w Radomiu. W Górze Kalwarii, w Lublinie, w Lubartowie. W różnych miejscowościach. Już nawet nie mogę sobie przypomnieć. W Polskę poszedłem. Piękny kraj nasza kochana ojczyzna. Życie nie umierać.

- Gdzie pan był we wtorek dziesiątego października? - spytał Grabicki.

Günter znowu się roześmiał.

- Pan sobie ze mnie żartuje, panie naczelniku. Ja nie pamiętam, gdzie byłem dzisiaj rano, a co dopiero dziesiątego października. Skąd mogę wiedzieć?

- We wtorek, dziesiątego października, w godzinach wieczornych został zamordowany Piotr Szczerbiński - powiedział z naciskiem Grabicki. - Byłoby bardzo dobrze, gdyby pan przypomniał sobie, gdzie się pan w tym czasie znajdował.

Günter wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Film mi się urwał. Mam duże luki w życiorysie. Pan myśli, że to ja wykończyłem Piotrusia, prawda?

- Musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności -

wyjaśnił Grabicki. - Może pan jednak spróbuje przypomnieć sobie, gdzie pan był we wtorek, dziesiątego października. I byłoby rzeczą niezmiernie pożyteczną, gdyby ktoś mógł potwierdzić pańskie zeznanie.

Günter wahadłowym ruchem zaczął się kiwać na krześle. Jego zmięta, poszarzała twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Przekrwione oczy znowu zaszyły mgłą, jakby po nowej dawce alkoholu.

- Alibi... Alibi...

- To jest właściwe słowo - przytaknął Grabicki. - Potrzebne by nam było pańskie alibi. - To bardzo ułatwiłoby sytuację, która jest nieco skomplikowana.

Günter nie zareagował. Zapatrzył się tępo przed siebie i dłuższą chwilę milczał.

- Chciałem go zabić. Chciałem. Ale chyba tego nie zrobiłem. Nie pamiętam. Chciałem. Nie pamiętam. Piłem. Dużo. Film mi się urwał. Luka w życiorysie. Understand? Ładne dziewczyny. Algier. Przekłęci Arabowie. Każdy ma nóż za pasem. Piękne dziewczyny. Dużo o nich myślałem w kryminale. W celi jest ciasno, cholernie ciasno. Pyta pan czy zabiłem Szczerbińskiego? Nie wiem. Może go i zabiłem. Chciałem się zemścić. To był kawał drania. Jak pan chce, mogę się przyznać, że go zabiłem. Chciałem. Nie pamiętam. Powieszają mnie? Niech wieszają. Nie zależy mi na życiu. Nie pozwolili mi latać, nie zależy mi na życiu. - Oburącz chwycił się za głowę. - Nie pamiętam, nic nie pamiętam. Dajcie mi coś do picia. Nie, nie wodę. Dajcie mi wódki. Może sobie coś przypomnę. Dajcie mi wódki.

- Coś panu zaproponuję - powiedział spokojnie - Grabicki.

- Teraz pan pójdzie się przespać, a jutro spokojnie sobie porozmawiamy. Mam nadzieję że dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Może sobie pan coś przypomni.

Kiedy wyprowadzono Güntera, Grabicki podniósł słuchawkę i wydał polecenie, aby zatrzymanym zaopiekował się lekarz.

Zenon Konarzewski robił wrażenie człowieka zupełnie załamane. Pochylił się, przygarbił, stracił swą posturę atlety ciężkiej wagi. Jakby zmałał.

Grabicki z dużym zainteresowaniem przyglądał się siostrzeńcowi pani Widzewskiej. Był pewien, że rozmowa nie będzie trudna.

- Byliśmy u pańskiej znajomej, u pani Iwony Kaczmarek.

Ciemne oczy ichtiologa pozostały całkowicie obojętne.

- Tak? No i co?

- Zeznała, że był pan u niej dziewiątego, dziesiątego i jedenastego października.

- Mówiłem przecież panu.

- Owszem - przytaknął Grabicki. - Z tym wszakże, że pańska przyjaciółka twierdzi, iż wieczorami wychodził pan gdzieś na karty.

Konarzewski wzruszył ramionami.

- To nie jest zabronione. W karty każdy może sobie pograć.

- Oczywiście. Tylko widzi pan... W tej całej historii jest jeden poważny feler. Piotr Szczerbiński został zamordowany we wtorek dziesiątego października mniej więcej około godziny dwudziestej drugiej. O tej porze pana nie było w mieszkaniu Iwony Kaczmarek. Ta dziewczyna nie może panu zapewnić alibi.

- No to co z tego? Czego wy właściwie chcecie ode mnie. Ja nie zabiłem Szczerbińskiego.

Grabicki wyjął z szuflady klucz, znaleziony w marynarce Konarzewskiego.

- W mieszkaniu Iwony Kaczmarek znaleźliśmy pańską marynarkę, a w kieszeni tej marynarki znajdował się klucz od mieszkania Piotra Szczerbińskiego. To jeszcze nie koniec. Prawy rękaw tej marynarki został powalany krwią, a grupa tej krwi jest identyczna z grupą krwi Piotra Szczerbińskiego.

Konarzewski zbladł gwałtownie i zaczął: się trząść.

- Ja nie zabiłem... Nie zabiłem... Jak Boga kocham. Błagam pana. Niech mi pan wierzy. Nie zabiłem Szczerbińskiego.

- Może wyjaśnimy sobie wszystko po kolei - zaproponował Grabicki. - A więc... skąd w pańskiej kieszeni znalazł się klucz od mieszkania Szczerbińskiego?

- To mojej ciotki. To klucz mojej ciotki. Moja ciotka miała ten klucz.

- I pan go jej wykradł?

- Wyjąłem z torebki.

- Do czego był panu potrzebny ten klucz?

Konarzewski zawahał się.

- Proszę mówić prawdę - upomniął go Grabicki. - Żadne wykrety na nic się tu nie zdadzą.

- Ja wiem... ja wiem. Ja nie mam zamiaru się wykręcać.

- Więc? W jakim celu wykradł pan ciotce klucz od mieszkania Piotra Szczerbińskiego?

- Nie chciał mnie wpuszczać. Rozmawiał ze mną tylko przez łańcuch. A ja przecież musiałem mu wybić z głowy małżeństwo z moją ciotką. To był hochsztapler, oszust, opryszek, łajdak.

- I po prostu chciał mu pan solidnie wlać - odpowiedział Grabicki.

Konarzewski skinął głową.

- Chciałem, ale nie zdążyłem. Ktoś go zabił. Ale nie ja! Nie ja!

- A ta krew na rękawie marynarki?
- Skaleczyłem się. Każdy się przecież może skaleczyć.
- A w jakich to okolicznościach pan się skaleczył?
- Otwierałem cioci puszkę konserw. I wtedy się skaleczyłem. Ciocia może poświadczyć, że mówię prawdę.

- Zostawmy na razie tę sprawę - powiedział Grabicki. - Chciałbym jednak wyjaśnić dokładnie sprawę pańskiego alibi w dniu dziesiątym października w godzinach wieczornych. Podobno grał pan wtedy w karty.

- Grałem.
- U kogo? Z kim?
- Ze znajomymi.
- Jak się nazywają ci znajomi?
- Nie pamiętam.

Grabicki pochylił się nad biurkiem.

- Panie Konarzewski, mam wrażenie, że pan ciągle jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że jest pan podejrzany o zamordowanie Piotra Szczerbińskiego. Ja usiłuję ustalić pana alibi, a pan mi w tym nie chce dopomóc. Niechże się pan chwilę zastanowi. Czy to ma jakiś sens?

Ichtiolog patrzył ponuro na mówiącego.

- Ma pan rację. Ale ja naprawdę nie znam nazwisk tych facetów, z którymi grałem. Spotkałem się z Feliksem w „Gongu”...

- Z jakim Feliksem? Jak się nazywa?
- Nazywa się Małczyżyk.
- To u niego pan grał?
- Tak. U niego w mieszkaniu, w Alejach Jerozolimskich.

Tam niedaleko „Gongu”.

- Porozmawiamy z nim. Spróbujemy ustalić pańskie alibi. Konarzewski pokręcił głową.
- Bardzo wątpię. On nic nie powie. Nie powie nawet, że

mnie zna. Z tym alibi to, panie kapitanie, będzie trudno. Rozumiem doskonale, że panowie podejrzewacie mnie o popełnienie tego morderstwa. Motyw zbrodni zupełnie wyraźny. Ja nienawidziłem tego człowieka. To był łajdak, skończony łajdak. Omotał moją ciotkę. Rozkochał ją w sobie. Świata za nim nie widziała. Byłaby wyszła za niego. Teraz nareszcie już spokój. Tylko zapomnieć o tym wszystkim. Skończyć z tym, przekreślić. Powiedziałem ciotce, żeby wszystkie te papiery spaliła, żeby nie było śladu po tym łotrze.

- Jakie papiery? - zainteresował się Grabicki.

- Nie wiem - mruknął niechętnie Konarzewski. - Jakies notatki, zapiski czy pamiętniki. Nie wiem. Nie interesowałem się.

Grabicki nie dał poznać po sobie, jakie te słowa wywarły na nim wrażenie.

- Czy pańska ciotka, pani Widzewska, jest obecnie w Warszawie czy też w Madejkowicach?

- Jak wyjeżdżałem z Madejkowic to jej nie było. Pewnie jest w Warszawie. Czy pan ma zamiar mnie zaarrestować?

Grabicki skinął głową.

- Na razie zatrzymuję pana na dwadzieścia cztery godziny. Musimy sprawdzić pańskie alibi.

- Otwierać! Milicja!

Za drzwiami zapanowało grobowe milczenie. Podniesione głosy ucichły nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Otwierać! Milicja! - Tym razem rozkaz zabrzmiał energiczniej.

Zachrobotął zamek. Szczęknęła zasuwka. Przez wąską szparkę błysnęły niespokojnie ciemne oczy.

- O co chodzi? Co się stało?

Grabicki pchnął energicznie drzwi i w towarzystwie porucznika Stasiewicza oraz sierżanta Pastusiaka wszedł do mieszkania.

W dużym pokoju było szaro od dymu tytoniowego. Czterech mężczyzn siedziało przy kwadratowym stoliku, pokrytym brudnym, niegdyś zielonym suknem. Trzech ulokowało się w wygodnych, ale już solidnie wysłużonych fotelach. Dwie młode, ładne dziewczyny, skulone na szerokim tapczanie, wpatrywały się przerażonymi oczami w przybyłych.

- Widzę, że dobrze się bawicie - powiedział Grabicki.

- W brydża sobie nie można pograć? - warknął od stolika barczysty blondyn, którego twarz nie wzbudzała zaufania.

Karty były rozdane rzeczywiście tak jak do brydża.

- Gdzie zapis? - spytał Grabicki.

Blondyn jakby się trochę spieszył.

- Jeszcze nie ma żadnego zapisu. Dopiero zaczynamy grę.

Pierwszy rober.

- I już tyle dymu - uśmiechnął się Grabicki. - Ale mniejsza z tym - machnął ręką. - Który z was jest Feliks Małczyżyk?

- To ja - powiedział niepewnie ten, który otworzył drzwi. Był niskiego wzrostu, szczupły i zupełnie łysy. Ciemne, błyszczące oczy wyrażały niepokój i zakłopotanie.

- To pan jest właścicielem tego lokalu?

- Tak, proszę pana. To ja właśnie...

- Czy mógłbym z panem porozmawiać gdzieś na osobności?

Niepokój Feliksa Małczyżyka jeszcze się powiększył.

- Ale o co chodzi? Co się stało? Czym mogę służyć?

- Chciałbym z panem porozmawiać w cztery oczy.

- No to... no to... Proszę uprzejmie. Może przejdziemy do tamtego pokoju.

Stasiewicz i Pastusiak zostali przy zielonym stoliku.

Drugi pokój był mniejszy, nędznie umeblowany. Na środku stał okrągły stolik, a koło niego trzy bardzo zniszczone wyściełane krzesła. Pod oknem kanapa w stylu prawie madame Recamier. I wreszcie obdrapana szafka, której uchylone drzwi zdradzały jej butelkową zawartość.

Małczyżyk wskazał krzesło i powiedział z uprzejmym ukłonem:

- Pan kapitan będzie łaskaw spocząć.
- Więc to pan prowadzi tę szulernię?
- Jaką szulernię? - zaoponował z ożywieniem łysy człowieczek. Błyskawicznie podbiegł do szafy i zamknął ją starannie. - Jaką szulernię, jak pragnę Boga? Przychodzą znajomi, koledzy pograć sobie w brydżyka, to zaraz szulernia? Jakżeż tak można, proszę pana. Przecież ja, człowiek zasłużony, odznaczony...

- Panie Małczyżyk - przerwał to święte oburzenie Grabicki. - W tej chwili nie przyszedłem do pana, żeby rozmawiać na temat szulerni. Chodzi mi zupełnie o coś innego.

- A o co, panie kapitanie? O co?
- Chodzi mi o niejakiego Zenona Konarzewskiego. Łysa głowa poruszyła się energicznie.
- Nie znam. Grabicki skrzywił się.
- Dajże pan spokój. Dostyc już tych głupich żartów. Jeżeli pan w tej chwili nie zacznie ze mną rozmawiać poważnie, to zabieram pana do komendy na oficjalne przesłuchanie. Być może, że będą zmuszony zatrzymać pana.

- Ale o co chodzi? Na miłość boską. O co chodzi?
- Zna pan Zenona Konarzewskiego?
- Poniekąd. Taka przypadkowa znajomość. Właściwie...
- Konarzewski grywał tu u pana. - Zabrzmiało to nie jak pytanie, ale jak stwierdzenie faktu.

- Zdarzało się - bąknął Małczyżyk.

- Chodzi nam o ustalenie, czy Zenon Konarzewski był u pana we wtorek dnia dziesiątego października w godzinach wieczornych?

- Dziesiątego października? We wtorek? Nie pamiętam. Ale zaraz... zaraz. Ja mam tutaj wszystko zanotowane. - Podeszedł do szafy i spośród butelek wyjął gruby zeszyt, wsunięty do plastikowej torby. - Zaraz, zaraz... chwileczkę. Tak, tak, Zenek grał u mnie dziesiątego października. To był faktycznie wtorek. Teraz sobie dokładnie przypominam. Pokłócił się z Wackiem. Mało się nie pobili.

- Czy tego wieczora Konarzewski przez cały czas był u pana? Powiedzmy od godziny dwudziestej do północy.

- Jak przychodzi, to zwykle tak między ósmą a dziewiątą i siedzi do jedenastej, dwunastej.

- A w tamten wtorek, dziesiątego października?

- Wtedy to wyszedł wcześniej, bo zrobiła się ta awantura. Chciał bić Wacka. Ledwieśmy go odciągnęli. Silny chłop. Może zabić. Wy tłumaczyliśmy mu, żeby poszedł się przejść.

- I poszedł?

- Poszedł, ale wrócił i został do dwunastej, a może i dłużej.

- A o której wyszedł?

- Dokładnie nie pamiętam, ale było chyba gdzieś po dziewiątej.

- A wrócił?

- Około jedenastej.

- To pan jednak wszystko dosyć dobrze pamięta - zauważył Grabicki.

- Przez to nieporozumienie z Wackiem zapamiętałem. Jeszcześmy żartowali, że wtorek jest dla Zenka pechowy, bo albo przegrywa, albo się z kimś awanturuje. We wtorki powinien w domu siedzieć.

- Czy pan jest zupełnie pewien, że we wtorek, dziesiątego października między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią nie było Zenona Konarzewskiego? - spytał Grabicki.

Małczyżyk skinął głową.

- Jestem zupełnie pewien. Mogę przysięgać przed sądem.
- A czy ten Wacek, z którym wynikła awantura, jest dzisiaj u pana?

- Nie, dzisiaj go nie ma. Wyjechał na prowincję.
- Kiedy wróci?
- Nie mam pojęcia. Powiedział mi tylko, że wyjeżdża i na tym koniec. Ale nie musi go pan sprawdzać, panie kapitanie. Zapytaj pan Zenka i on powie jak było. Ja powiedziałem świętą prawdę, jak na spowiedzi.

Konarzewski potwierdził zeznanie Feliksa Małczyżyka.

Grabicki był szczerze zakłopotany.

- Z tego wynika, że pan nie ma alibi.
- Nie mam.
- Wtedy, po wyjściu z tej szulerni, dokąd pan poszedł? Może ktoś pana widział? Ktoś ze znajomych?

- Łaziłem po mieście. Nikt mnie nie widział.

- Może pan wstąpił do jakiegoś lokalu?

Ichtiolog z ponurą miną potrząsnął głową.

- Nie. Nie byłem w żadnym lokalu.
- Z tego wynika, że pan nie ma alibi - powtórzył Grabicki.
- Nie mam.
- Sprawdziliśmy konto dewizowe Szczerbińskiego - powiedział pułkownik. - W ostatnich czterech miesiącach trzy duże wpłaty po cztery tysiące dolarów każda.

- O! - zainteresował się Grabicki. - To ciekawe. Gdyby przywiózł tyle forsy z Algierii, to dlaczego nie wpłaciłby całej kwoty od razu?

- Właśnie - przytaknął pułkownik. - A może to nie on wpłacał te pieniądze na swoje konto, może otrzymywał od kogoś ratami.

Grabicki podniósł brwi do góry.

- Szantaż?

- Sądzę, że nie możemy wykluczyć takiej ewentualności - uśmiechnął się pułkownik. - A teraz porozmawiasz z pewną sympatyczną damą.

ROZDZIAŁ XI

Robiła wrażenie osoby, zdającej sobie sprawę z tego, że jest jej do twarzy w żałobie. Artystycznie wykonany maquillage podkreślał pełen melancholii wyraz ciemnych oczu. Smętny półuśmiech błąkał się wokół starannie uszminkowanych warg.

- Pan zapewne znowu w sprawie tragicznej śmierci Piotra - powiedziała z głębokim westchnieniem.

- Proszę, pan będzie łaskaw spocząć, panie kapitanie. Grabicki usiadł i odchrząknął.

- Właściwie to ja przyszedłem w sprawie pani siostrzeńca.

- W sprawie Zenusia? A co się stało?

- Został przez nas zatrzymany.

- Zenuś? Aresztowany? Za co? Dlaczego?

- Pani siostrzeniec jest podejrzany o zamordowanie Piotra Szczerbińskiego.

- Ależ to nonsens! - wykrzyknęła z oburzeniem pani Widzewska. - Ten chłopiec nie skrzywdziłby nawet muchy.

Na wspomnienie tego „chłopca”, przypominającego potężnego goryla, Grabicki uśmiechnął się leciutko.

- Istnieją, proszę pani, poważne poszlaki, obciążające

pana Zenona Konarzewskiego.

- Jakie poszlaki? Co za poszlaki? Zenuś jest w tej chwili w Madejkowicach. Co pan opowiada?

- Ściągnęliśmy pani siostrzeńca z Madejkowic do Warszawy.

- Bez porozumienia się ze mną?

- Nie uważaliśmy za konieczne niepokoić panią.

- Co to wszystko znaczy? Wiem, że Zenon nie był zbyt życzliwie nastawiony do Piotra, ale to jeszcze nie dowodzi, żeby zamordował.

Grabicki powoli, spokojnie opowiadał o wykradzionym kluczu, o poplamionej krwią marynarce oraz o tytoniu fajkowym w kieszeni. Dokładna analiza wykazała, że był to ten sam gatunek tytoniu, jaki znaleziono w szafie w mieszkaniu Szczerbińskiego.

Pani Widzewska słuchała tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczami.

- Niemożliwe... niemożliwe... Zenuś nie jest mordercą, panie kapitanie. Jestem najświęciej przekonana, że on nie zabił. To jakiś fatalny zbieg okoliczności. To tylko pozory.

- To są fakty, bardzo poważnie obciążające pani siostrzeńca - stwierdził Grabicki. - Być może, że uda nam się to jakoś wyjaśnić, ale do tego potrzebna jest pani pomoc.

- Moja pomoc? Nie rozumiem.

Grabicki uznał, że nadszedł odpowiedni moment, aby zaatakować. Wydało mu się, że grunt jest dostatecznie przygotowany.

- O ile mi wiadomo, w pani domu, w Madejkowicach, znajdują się jakieś notatki, dokumenty, które tam ukrył Piotr Szczerbiński.

- Nie wiem o żadnych dokumentach - zaoponowała z ożywieniem pani Widzewska.

Grabicki zmarszczył brwi i energicznie spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy pani chce, żeby Zenon Konarzewski został oskarżony o popełnienie morderstwa?

- Oczywiście, że nie chcę. Błagam pana.

- Te dokumenty, zdeponowane w Madejkowicach mogą mieć zasadnicze znaczenie dla sprawy, mogą ze wszystkich podejrzeń oczyścić pani siostrzeńca. Czy zgadza się pani pojechać z nami natychmiast do Madejkowic?

- Zgadzam się - padła cicha odpowiedź.

Jesienny wiatr zamiatał zeschnięte liście, kołysząc obnażonymi gałęziami smutnych drzew. Od poprzecinanych groblami stawów szedł wilgotny powiew. Pomarszczona powierzchnia wody przypominała twarz starego człowieka.

Dom był ciężki, solidny, wsparty na wysokiej podmurówce, pokryty poczerniałą blachą. Po paru kamiennych schodkach wchodziło się na obszerny taras, ozdobiony grubymi kolumnami, które niezbyt harmonizowały z całą budowlą.

Pani Widzewska grzecznościowo zaproponowała swym gościom herbatę, a kiedy odmówili, zaprowadziła ich na strych. Stasiewicz szedł wolno za Grabickim i podejrzliwie rozglądał się dokoła. Był rad, że zabrał ze sobą pistolet, chociaż zdawał sobie z tego sprawę, iż w danej sytuacji jest to uczucie całkowicie irracjonalne.

W końcu strychu, pomiędzy różnymi rupieciami, stał potężny okuty kufer, pamiętający zapewne czasy, kiedy to z Warszawy do Paryża jeździło się kareta zaprzęzoną w czwórkę koni.

W zardzewiałym zamku zgrzytnął tajemniczo potężnych rozmiarów klucz i pani Widzewska, przy pomocy dwóch mężczyzn, dźwignęła okazałe wieko, z którego tu i ówdzie zwieszały się jeszcze strzępy skóry dziczej czy jeleniej,

przybitej do góry włosem.

W dużej plastikowej torbie znajdował się kwadratowy pakunek, zawinięty w grube żaglowe płótno. Po odwinięciu tego płótna ukazała się oprawna w ceratę książka. Już pobieżny rzut oka na pierwsze strony pozwolił stwierdzić, że był to dziennik pisany w czasie podróży.

- Właściwie to ja zupełnie o tym zapomniałam - powiedziała pani Widzewska takim tonem, jakby się chciała usprawiedliwić. - Biedny Piotr zostawił to u mnie na przechowaniu. Prosił, żebym do tego zajrzała dopiero po jego śmierci.

- I nie czytała pani? - spytał Grabicki.

- Niech sobie pan wyobrazi, że nie. Kobiety także potrafią być dyskretne.

Grabicki ani jednym słowem nie wyraził swych wątpliwości.

- Gdzie mógłbym przestudiować „annały”? - spytał.

Pani Widzewska zaprowadziła swego gościa na parter do dużego mrocznego pokoju, umeblowanego ciężkimi starymi meblami.

- Proszę. Tu panu nikt nie przeszkodzi.

Grabicki usiadł za potężnym dębowym biurkiem i pogrążył się w lekturze.

„DZIENNIK Z PODRÓŻY W GŁĄB AFRYKI

ROBERTA KIEŁBIŃSKIEGO

...Jestem niezmiernie wdzięczny Konradowi, że mnie dokooptował do tej pasjonującej wyprawy. To może być rzeczywiście doniosłej wagi odkrycie naukowe. Istnienie ruin pradawnych świątyń, które niegdyś zniknęły zasypane piaskami pustyni, a które znajdowały się u zbiegu Algierii,

Mali i Nigru, jest całkowicie prawdopodobne. Badania, prowadzone przez profesora Gaetana Copettiego, potwierdzają w całej rozciągłości tę hipotezę. Profesor Armand Jouvet również wierzy w powodzenie naszego przedsięwzięcia. W całym zespole panuje doskonały duch. Wszyscy są jak najlepszej myśli...

...Jesteśmy świetnie wyekwipowani. Niczego nam nie brakuje. Możemy natychmiast po przybyciu na miejsce przystąpić do pracy. Zapasów żywności i wody mamy dużo. Na pewno wystarczy. Przewodnicy sympatyczni i życzliwi. Tragarze, jak to tragarze, trochę mrukliwi. Ale z czasem zżyją się z nami. Wielbłądy w doskonałej formie, spasio, wypoczęte. Wspaniałe zwierzęta...

...Uważam, że Konrad, jako kierownik wyprawy, jest niezastąpiony. Co za energia, jaka szybkość orientacji, jaka znajomość terenu i tutejszych ludzi. Chyba nikt by lepiej nie nadawał się do tej roli. Wspaniały facet. Wierzę głęboko, że on nas poprowadzi do archeologicznego zwycięstwa”...”

Dalej następowały suche informacyjne notatki ze zwykłego codziennego życia, marsze, obozowiska, posiłki, rozmowy, dyskusje naukowe.

Grabicki niecierpliwie przerzucał poźółkłe już nieco kartki. Dopiero pod sam koniec pamiętnika znalazł coś, co przykuło jego uwagę.

„...*Wtorek, 7marca.*

Przed samym zachodem słońca, kiedy zatrzymaliśmy się na nocleg, zaatakowali nas. Nie wiedzieliśmy, kim byli i czego chcieli. Doszło do strzelaniny. Profesor Jouvet ranny. Na domiar złego zranili śmiertelnie dwa wielbłądy i przestrelili parę bukłaków z wodą. To nam zdecydowanie odebrało niedawny wigor i pewność siebie.

Środa, 8 marca.

Ponownie nas zaatakowali. Znowu strzelanina. Tym razem ja zostałem ranny i profesor Copetti.

Mnie postrzelili w nogę. Nie mogę iść. Konrad wsadził mnie na wielbłąda i przywiązał sznurem. Zdaje się, że z profesorem Copettim jest niedobrze. Mówi, że wszystko w porządku, ale ja nie wierzę.

Czwartek, 9 marca.

Uciekli poganiacze wielbłądów, tragarze i przewodnicy. Zostaliśmy sami. Jest bardzo niewesoło.

Piątek, 10 marca.

Burza piaskowa. Źle się czuję, bardzo źle. Chyba mam wysoką gorączkę.

Sobota, 10 marca.

Z trudem posuwamy się naprzód.. Jedyne nadzieje w tym, że natrafimy na jakąś osadę. Na szczęście Konrad nie jest ranny.

Niedziela, 12 marca.

Stało się coś strasznego. Nie mogę w to uwierzyć. Konrad? W nocy zabrał ostatnie dwa wielbłądy, cały zapas wody i żywności i uciekł. Zostawił nas. Co za łajdak. Jouviet jest konający. Ja mam wysoką gorączkę. Chwilami tracę przytomność. Położenie nasze jest beznadziejne. Musimy umrzeć. Chyba cud. Chyba, żeby jakiś sanitarny albo patrolowy samolot... Siły mnie opuszczają. Nie mogę już pisać... To koniec. Żal mi życia. Koniec. Żal mi Ewy i dzieci. Konrad... Morderca... Zostawił nas na pewną śmierć. Morderca... Boże. Nic nie widzę.... Tracę przytomność... Koniec... Śmierć...”.

Grabicki skończył czytać i zamknął pamiętnik docenta

Roberta Kiełbińskiego. Twarz miał skupioną, poważną, brwi zmarszczone. Widać było, że ta lektura zrobiła na nim ogromne wrażenie. Starannie zapakował rękopis i poszedł na poszukiwanie pani Widzewskiej. Znalazł ją w saloniku na pierwszym piętrze. Rozmawiała ze Stasiewiczem.

- No i co? - spytała.
- Zmuszony jestem zabrać te materiały do komendy.
- Proszę, niech pan tego nie robi. Piotr prosił, żebym nikomu tego nie pokazywała, absolutnie nikomu. Ale teraz, kiedy on nie żyje, a Zenusiowi grozi więzienie, uznałam za konieczne wydać panom ten pamiętnik.

- Więc pani jednak orientuje się, że to jest pamiętnik, a raczej dziennik z podróży - zauważył Grabicki.

Zmieszła się.

- To znaczy... Tak przypuszczałam. Domyślałam się, że to coś w tym rodzaju... Ale oczywiście...

Grabicki machnął ręką.

- Mniejsza z tym. To w tej chwili nie ma istotnego znaczenia. Jedziemy, poruczniku.

Zengier był zupełnie spokojny i opanowany. Zapalił fajkę. Zmrużonymi oczami przyglądał się uważnie swemu rozmówcy, siedzącemu po drugiej stronie biurka.

Grabicki także ani jednym ruchem, ani jednym spojrzeniem nie zdradzał najmniejszego podniecenia, chociaż napięcie nerwowe było duże. Prawie całą noc nie spał, przygotowując się do tej rozmowy. Wiedział, że jego przeciwnikiem będzie człowiek bardzo inteligentny, sprytny i gotowy absolutnie na wszystko.

- Czy dokładnie przeczytał pan dziennik docenta Kiełbińskiego? - spytał, wskazując rękopis leżący na biurku.

Zengier wyjął z ust fajkę, obejrzał ją i położył na

popielniczce. Następnie nieznacznie wzruszył ramionami.

- To jest nieudolny falsyfikat, panie kapitanie. Komuś po prostu zależy na tym, żeby mnie skompromitować w oczach opinii publicznej. Nie muszę chyba wyjaśniać panu, jak dalece ludzie są zawistni. Wyrażam nadzieję, że zdołacie stosunkowo szybko odnaleźć właściwego autora tego dziennika

Grabicki miał zafrasowaną minę.

- Bardzo żałuję, ale muszę pana wyprowadzić z błędu. Paru wybitnych rzeczoznawców zajmowało się tą sprawą i nie ulega żadnym wątpliwości, że jest to pismo docenta Roberta Kiełbińskiego.

Zengier nie speszył się.

- Po pierwsze, pismo człowieka ciężko chorego jest niewątpliwie w pewien sposób zdeformowane, a po drugie, gdyby nawet autorem tego dziennika był Kiełbiński, to czy pan nie sądzi, że mogą to być po prostu majaczenia, spowodowane bardzo wysoką temperaturą? Kiełbiński był ciężko ranny. To wszystko, co ewentualnie napisał, może być przecież wytworem chorej wyobraźni. Mogło mu się to po prostu zdawać.

- Mogło - zgodził się Grabicki. - Natomiast mnie się na pewno nie zdaje, że została zamordowana Magdalena Wysznacka oraz Piotr Szczerbiński.

- A co to ma do rzeczy? - zdziwił się Zengier. - Nie rozumiem, dlaczego pan łączy ze sobą te fakty.

Z kolei zdziwił się Grabicki.

- Rzeczywiście pan tego nie rozumie?

- Nie.

- To mnie zaskakuje: Nie sądziłem, że taki bystry i inteligentny człowiek jak pan... - Grabicki poprawił się w swoim fotelu. Odchrząknął i napił się wody. - Wobec tego spróbuję to panu wyjaśnić. Otóż najprawdopodobniej sytuacja

wyglądała następująco: pańscy towarzysze, pozostawieni przez pana na pustyni, zmarli od ran oraz z braku wody i żywności. Zauważono ich z samolotu czy też z helikoptera, pilotowanego przez Piotra Szczerbińskiego. W samolocie tym znajdowała się także lekarka, Magdalena Wysznaacka. Wylądowali. Obejrzeni zwłoki, których już nie sposób było zidentyfikować. Szczerbiński znalazł dziennik docenta Kiełbińskiego i starannie ukrył ten rękopis. Po powrocie do kraju zaczął pana szantażować. Panu bardzo zależało na opinii. Zgodził się pan płacić.

- To jest wytwór pańskiej fantazji - uśmiechnął się Zengier. - Żeby twierdzić takie rzeczy, trzeba mieć konkretne dowody Nie sądzi pan?

- Bardzo słusznie - przytaknął Grabicki. - Trzeba mieć dowody Otóż niech pan sobie wyobrazi, że, za zgodą władz prokuratorskich, sprawdziliśmy pańskie konto walutowe oraz konto Piotra Szczerbińskiego. Z pańskiego konta podjęto w trzech ratach dwanaście tysięcy dolarów i dokładnie w takich samych ratach pieniądze te wpłynęły na konto Szczerbińskiego. To chyba wiele mówiący zbieg okoliczności. Nie sądzę, żeby pan był skłonny dawać w prezencie dwanaście tysięcy dolarów.

Zengier jakby się trochę speszył. Wziął fajkę z popielniczki i powtórnie próbował ją zapalić. Po zużyciu paru zapalek otoczył się wreszcie aromatycznym dymem.

- Ja, panie kapitanie, żadnych pieniędzy Szczerbińskiemu nie dawałem. To rzeczywiście bardzo dziwny zbieg okoliczności.

- Tak dziwny zbieg okoliczności, że aż mało prawdopodobny - uśmiechnął się Grabicki. - Ale może porozmawiamy o pewnych faktach w kolejności chronologicznej. Chciałbym zacząć od sprawy zamordowania

Magdaleny Wyszackiej. Podczas naszej pierwszej rozmowy twierdził pan, że pan jej nie znał, że słyszał pan tylko o niej od pani Nowackiej.

Zengier skinął głową,

- To jest zgodne z prawdą. Tak było w istocie.

Grabicki skrzywił się z powątpiewaniem.

- Bardzo chciałbym panu wierzyć, przeszkadza mi jednak w tym fakt, że w mieszkaniu Magdaleny Wyszackiej znaleźliśmy odciski pańskich palców.

- To niemożliwe!

- To nie tylko możliwe, ale nawet nie ulegające wątpliwości. Pańskie linie papilarne są całkowicie czytelne.

Zengier coraz bardziej tracił swą początkową pewność siebie. Fajka mu zgasła, ale jej nie odkładał na popielniczkę, tylko mocno ścisnął zębami.

- Dokładnie był pan poinformowany o dniu przyjazdu Magdaleny Wyszackiej. Dowiedział się pan o tym od pani Nowackiej. Postanowił pan działać błyskawicznie. Bał się pan, że Wyszacka pana skompromituje, że zna treść dziennika docenta Kiełbińskiego. Zaraz na drugi dzień po przyjeździe zamordował ją pan.

- To kłamstwo! - krzyknął Zengier tracąc panowanie nad sobą. Zapomniał o fajce, która potoczyła się pod biurko. - To oszczerstwo! Nie macie żadnych dowodów! Żadnych!

- A odciski pańskich palców w mieszkaniu Magdaleny Wyszackiej? - zauważył spokojnie Grabicki. - A teraz może przejdziemy do następnego punktu programu naszej dzisiejszej rozmowy, a mianowicie do zabójstwa Piotra Szczerbińskiego. Otóż Szczerbiński, jak to już powiedziałem, szantażował pana dla pieniędzy. Jednak po zamordowaniu Magdaleny Wyszackiej sytuacja nieco się zmieniła. Szczerbiński był jednym z podejrzanych o popełnienie tej zbrodni. Domyślał się

oczywiście, że to pan zamordował Wyszacką i bardzo poważnie rozważał możliwość opowiedzenia nam o całej sprawie, żeby ratować własną skórę. Być może, że żądał od pana dużej kwoty, którą pan nie dysponował. Tak czy inaczej Szczerbiński stał się dla pana śmiertelnym zagrożeniem. Często się zdarza, że jedna zbrodnia pociąga za sobą drugą. Powziął pan decyzję.

- Co to za brednie! - wrzasnął Zengier - Nie pozwolę...!

- Niech pan siedzi spokojnie. Ja jeszcze nie skończyłem - głos Grabickiego zabrzmiał twardo i zdecydowanie. - Żeby stworzyć sobie alibi udał pan chorobę. Zastrzyk panodiny wystarczy, aby wywołać wysoką temperaturę. Zatelefonował pan do pani Nowackiej z prośbą o pomoc lekarską. Przyszła, zmierzyła panu gorączkę, rzeczywiście była wysoka. Grypa. To najprostsza diagnoza w okresie jesiennym. Tym bardziej, jeśli pacjent skarży się na ból gardła, ból głowy, łamanie w kościach. Ale jedźmy dalej. Pani Nowacka dzwoniła z pańskiego mieszkania do Szczerbińskiego, prosząc go, żeby zobaczył się ze swoją eks-narzeczoną, Joanną Markowską. Szczerbiński powiedział, że jest bardzo zmęczony, ponieważ parę nocy nie spał i że postanowił zażyć środek nasenny i wcześniej się położyć. Pan był świadkiem tej rozmowy. To była ogromnie sprzyjająca okoliczność. Po wyjściu pani Nowackiej ubrał się pan i około godziny dwudziestej drugiej pojechał pan do Szczerbińskiego. Ale, ale... zupełnie zapomniałem. Pan się starannie przygotował do tej wizyty u Szczerbińskiego. Po pierwsze dorobił pan sobie klucz do jego mieszkania, a po drugie dobrze się pan zorientował, kto z naszych ludzi obserwuje mieszkanie Szczerbińskiego i o jakiej mniej więcej porze zmieniają się. Nie przewidział pan tylko jednej niespodzianki, a mianowicie, że Joanna Markowska tego samego wieczora postanowiła odwiedzić swego byłego

narzeczonego. Kiedy posłyszał pan dzwonek, pukanie, błyskawicznie ukrył się pan w szafie, znajdującej się w przedpokoju. Weszła pani Markowska, podniosła z podłogi statuetkę, którą pan zamordował Szczerbińskiego, a zaraz potem wszedł nasz funkcjonariusz. Podczas ich rozmowy pan dyskretnie ulotnił się zagrożonego terenu. Poszedł pan na wyższe piętra i zjechał pan następnie windą na dół.

Twarz Zengiera poszarzała, ale nie dawał za wygraną. Zachnął się.

- To są wszystko bajki wyssane z palca, panie kapitanie. Nie ma pan na to żadnych dowodów, absolutnie żadnych.

Grabicki uśmiechnął się leciutko. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego rozumowanie jest prawidłowe.

- Bardzo mi przykro, ale pan jest w błędzie. Mamy na to wszystko dowody. Pod windą znaleźliśmy ten podrobiony klucz do mieszkania Szczerbińskiego, czwarty klucz. Do tego typu zasuw sprzedają przeważnie trzy klucze. A, co ważniejsze, na tym kluczu odbiły się odciski pańskich palców, a konkretnie pańskiego kciuka oraz palca wskazującego. Również w szafie, w której pan się ukrył, pozostawił pan ślady swych linii papilarnych. Nie mówiąc o odrobinie tytoniu, który się wysypał z pańskiej fajki. Jak zdołałem zauważyć, ma pan zwyczaj noszenia fajki w górnej kieszeni marynarki. Wprawdzie tytoń znaleziony w szafie Szczerbińskiego był częściowo zwęglony, ale mimo to zdołano ustalić, iż jest to tytoń arabski, bardzo popularny na terenie Algierii. Czy chciałby pan może coś dodać do tego, co powiedziałem?

Zengier milczał. Ręce mu drżały. Nie zdołał zapalić fajki.

ROZDZIAŁ XII

Relaks. Po wielu dniach nerwowego napięcia nastąpiło nareszcie całkowite odprężenie. Siedzieli spokojnie w wygodnych fotelach i popijali siemię lniane. Grabicki także cierpiał obecnie na nadkwasotę żołądka. Śledztwo w sprawie dwóch morderstw nie wyszło mu na zdrowie. Obecnie oddychał pełną piersią, rad, że to wszystko ma już za sobą.

- No i co, Antosiu? - powiedział pułkownik Kazanowski. - Doczekałeś się wreszcie swojej wielkiej przedemerytalnej sprawy. Zadowolony jesteś?

Grabicki skrzywił się i odstawił szklanę z siemieniem na stół.

- Jeżeli mam być zupełnie szczery, to muszę ci powiedzieć, że wolałbym coś mniej krwawego. Dwa trupy, nie licząc tych archeologów, których Zengier wykończył na pustyni.

- Trudno ci dogodzić - uśmiechnął się pułkownik. - Jeden trup za mało, pięć trupów za dużo. Sprawa przecież była rzeczywiście trudna i skomplikowana. Powinieneś być zadowolony.

- Niewątpliwie - przytaknął Grabicki. - Sprawa była bardzo interesująca i nie taka prosta. Ale wiesz, co ci powiem? Im jestem starszy, tym większe robi na mnie wrażenie czyjaś gwałtowna śmierć. Zdawać by się mogło, że powinienem się przyzwyczaić, ale nie. I wyobraź sobie, że teraz żal mi i zamordowanych, i morderców. Tylko oczywiście niech to zostanie między nami. Nieraz myślę o tym, że bardzo ciężkie może być życie mordercy, jeżeli nawet nie zostanie zdemaskowany. Nie takie proste jest żyć mając świadomość, że... Chyba jednak istnieje coś takiego, co popularnie

nazywamy sumieniem. Nie mówię oczywiście o jakichś zupełnych prymitywach, wyzutych całkowicie ze wszystkich ludzkich uczuć.

Pułkownik pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że cię rozumiem, Antosiu. Muszę ci jednak powiedzieć, że w naszej robocie nie ma zbyt dużo miejsca na filozofowanie. Musimy się ściśle trzymać paragrafów Kodeksu karnego, w przeciwnym bowiem razie moglibyśmy się z czasem przekształcić w towarzystwo opieki nad żałującymi za grzechy mordercami.

Roześmieli się.

- Ogromnie cenię to twoje poczucie humoru - powiedział Grabicki. - Przyjemnie się z tobą gawędzi. À propos, kiedy wpadniesz do nas na działkę? Dostaniesz wspaniałe jabłuszko.

Pułkownik pociągnął spory łyk siemienia lnianego.

- Październik nie jest takim najlepszym miesiącem do przesiadywania na działce. Wilgoć. Ale może kiedyś się wybiorę. Zdzwonimy się. A wracając jeszcze na chwilę do naszej sprawy, chciałbym cię o coś zapytać. Powiedz, ale tak zupełnie szczerze, czy ty w jakimś momencie zacząłeś podejrzewać Zengiera?

Grabicki wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. No cóż... Właściwie od samego początku Zengier był w kręgu tych ludzi, którzy mieli coś wspólnego z Algierią, a ponieważ ja jednak byłem skłonny łączyć te obydwie zbrodnie z tamtejszym terenem... Poza tym przez cały czas zastanawiał mnie pewien pozornie drobny szczegół, a mianowicie dlaczego Zengier, kiedy mu pokazałem sztylet, znaleziony przy zwłokach Magdaleny Wyszackiej, nie powiedział, że to jest sztylet tego Araba. Dopiero za drugim razem, kiedy ja mu zwróciłem uwagę na te inicjały...

- Masz rację - przytaknął pułkownik. - To było

zastanawiające. Jaka jest twoja koncepcja w tej sprawie?

- Wydaje mi się, że po prostu Zengier nie chciał z własnej inicjatywy rzucać podejrzania na tego Araba. Być może bał się, żeby to nie zrobiło takiego wrażenia, iż pragnie odwrócić uwagę od swojej osoby, typując Algierczyka na ewentualnego autora zbrodni.

- To prawdopodobne - powiedział pułkownik.

- Tym bardziej - mówił dalej Grabicki - że Zengier usiłował mnie przekonać, że Ali Selim Tahelen na pewno nie zabił Wyszackiej. Sprytna i podstępna taktyka. W gruncie rzeczy miał nadzieję, że my właśnie bardzo poważnie zaczniemy podejrzewać „syna pustyni”.

- A pozostali twoi kandydaci na morderców? Co tak naprawdę myślałeś o Günterze i Konarzewskim?

Grabicki skrzywił się.

- Czy musimy akurat dzisiaj wracać do tej sprawy? Pozwól mi trochę odsapnąć i przestać myśleć o tym wszystkim. Pogadamy sobie innym razem. Może jak przyjedziesz do nas na jabłka. Zdaje się, że lubisz szare renety.

- Bardzo lubię. Zachęciłeś mnie, Antosiu. Przyjadę. Może nawet w tę niedzielę. Zadzwoń do ciebie.

Rozdział XIII

Pani Jadwiga radośnie powitała męża.

- Nareszcie przychodzisz punktualnie na obiad. Ugotowałam coś, co bardzo lubisz.

- Pierogi ruskie.

- Skąd wiesz?

Grabicki zrobił tajemniczą minę. - Metoda dedukcyjna -

powiedział szeptem i rozejrzał się podejrzliwie dokoła, jakby się chciał przekonać czy „wróg nie podsłuchuje”. - I wyobraź sobie, Dziuniu, idę na emeryturę.

- Mówisz poważnie?

- Najzupełniej poważnie. Zakończyłem sprawę pod tytułem „Czwarty klucz” i żegnam się z komendą. Będziemy sadzić truskawki, maliny i agrest.

KONIEC